

N 135

STAN TRZECI.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z CZASÓW SEJMU CZTEROLETNIEGO.

PRZEZ

Zygmunta Lucyana Sulimę.



WARSZAWA.

Nakład i druk A. Pajewskiego, wydawcy „Koleców”,

ulica Niecała Nr. 12 nowy.

—
1889.



ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.

Варшава, 12 Июля 1888 года.

118562

K182/81/133853

I.

Późną już jesienią, pamiętnego w dziejach naszych 1789 roku, nad samym wieczorem, wążką dróżyną wśród puszczy kozienieckiej wiodącą, jechał zaprzężony w dwa piękne, ale mocno zmęczone konie — powóz, a raczej landara oszklona i zakryta. Ktoś, coby się znał na tem dobrze, mógłby poznać w elegancyi i mocy karety, bardzo ładnie i zręcznie zrobionej, choć teraz obryzganej błotem i zasypanej śniegiem, że pochodziła ona ze sławnych w tej dobie na całą Rzeczpospolitą warsztatów Dangłowskich. Czas był szkaradny. Deszcz połączony ze śniegiem, wichrem szalonym, który posępnie wył wśród ciemnej, sosnowej puszczy kozienieckiej, smagał nielitościwie konie, które znużone nadzwyczajnie, ledwie wlokły za sobą ciężką karekę po wąskiej błotnistej, pełnej wyboi i korzeni drodze. Woźnica, otulony w wilczurę, na włosach której wieszały się szkliste krople śniegu i deszczu, kłął pod nosem na pogodę i co chwila spuszczać lejce na kolana, bił się po plecach zmarzniętymi rękami, chcąc się nieco rozgrzać. Z sosen spadały uschłe igły, a na szybach karety leżała gruba, błyszcząca warstwa na pół zmarzniętego, na pół mokrego śniegu. Wieczór szybko zapadał, po puszczy poczęły się rozwłóczyć leniwie ponure ciemności nocy. Oprócz wycia wихru nie słychać nie było. Gdzieś tylko, w głębi boru wyrwała się groma-

da wron i rysując się ciemnymi plamami na mętnej, ołowianej niebie, kracząc melancholijnie, biegła na nocne legowisko.

W karecie siedziało dwóch mężczyzn. Obaj dobrze okryci futrem, wglębieni w karetę, w milczeniu, od czasu do czasu rzucali oczami przez napół śniegiem zasypane szyby, na smutny świat i na zawieruchę.

— Widocznieśmy pobłądzili — rzekł jeden. — Co za przebrzydły czas i co za drogi w tej naszej Polsce.

— W końcu przecie dobijemy się do jakiej wioski! — odpowiedział drugi.

I znowu między nimi zapanowało milczenie. Pierwszy z młodzieńców, silny brunet o czarnych, ognistych oczach, bladej twarzy i zaciśniętych mocno purpurowych ustach, kręcił się niespokojnie na siedzeniu.

— Dobić się, dobijemy, ale to czasu szkoda. Pan prezydent nalega, żeby pospieszać. Sprawa jest ważna, wiesz o tem dobrze, a przytem trzeba korzystać z dobrej woli stanów. Jeżeli teraz nie się nie robi, to już nigdy.

— Czy ty Adasiu — spytał drugi — masz jaką nadzieję?

— Nadzieję? gdybym jej nie miał, tobym przecież nie tłukł się po tych paskudnych drogach aż do Lublina i tam nie starał się o to, żebyś ty ostał jednym z deputatów.

— Ja, bo wątpię.

— Ej! boś ty mazgaj, mój Dominiku. Nie gniewaj się, proszę ja ciebie, ale to jest prawda. Czemuś ty nie chciał przyjąć mandatu, he?

— Bo nie wierzę temu wszystkiemu — odrzekł Dominik.

— No! wierzę, wierzę! Nie ma bo nic na świecie, czemuby wierzyć można i czegooby być pewnym należało.

Ale widzisz, tu trzeba brać w rachubę tylko prawdopodobieństwo. Żyjemy, proszę ja ciebie, w takim wieku, który wszystko z gruntu wstrząsa i zmienia. Jest to tak, jak kiedy na wiosnę pod grubą powłoką lodu, pokrywającego rzekę, poczynają przebiegać cieplejsze prądy i jeno patrzeć, jak ta powłoka pęknie i zajaśnieje wiosna. Otóż to taki czas teraz. Czytałeś że ty dzienniki, co się we Francji dzieje?

— Czytałem.

— A widzisz? świat się odradza, powiadam tobie. Czemuż by i nasza Rzeczypospolita odrodzić się nie miała. Ja przecie patrzę na sejm i na to co się tam robi. Owszem jest teraz jedyny moment, ażeby to polskie mieszczaństwo, ten stan trzeci, jak go we Francji nazywają, wywindykował sobie przynależne prawa.

— Czy tylko wywindykuje?

— A! już mój kochany jesteś jak owe wrony, co teraz kraczą nad nami! Puszczyk, zupełny puszczyk! oburzył się młodzieniec zwany Adasiem.

Zwrócił się twarzą do swego towarzysza a przy tym ruchu roztworzyła mu się delia futrzana i z pod niej ukazały się śnieżnej białości żaboty.

— Cóż ty myślisz, że tylko my dwaj i pan Dekert trzeci, staniemy przed sejmem?

— No, tego nie myślę.

— Stu czterdziestu jeden będzie delegatów! — zawołał Adam — stu czterdziestu jeden! To coś przecie znaczy, i nie ma takiego sejmu, któryby się z tem rachować nie musiał. A przytem inne to czasy teraz. Teraz nie jakieś szlacheckie prerogatywy, ale prawa człowieka, nieśmiertelne prawa człowieka mają znaczenie. Cóż my jesteśmy gorsi od szlachty?

— Ale ja o tem nie mówię!..

— I proszę cię, gdyby tak o to szło, to ja może lepszy jestem od wielu szlachty, choćem tylko mieszczanin, łyk warszawski, jak oni to mówią. Withofowie także srokom z pod ogona nie wypadli. Dwieście lat jak o nas piszą kroniki miejskie. I gdyby nie mój stryj, który cały majątek, kamienicę na Starym Mieście na siedemdziesiąt łokci długą, zapisał tym cheiweom Jezuitom, to ja bym, ja ostatni z Withofów, nie potrzebował służyć Dekertowi. Ale to wszystko głupstwo jest i nie warto o tem mówić.

Poruszył się niecierpliwie na siedzeniu, wyjrzał przez okno i mówił dalej:

— Tu nie o to idzie, czy kto pochodzi ze starego lub nowego rodu, ale o prawa człowieka. Każdy człowiek powinien być wolny i brać udział w sprawach swego kraju. O to idzie i to się musi zrobić!

— I jakże wy to myślicie zrobić, bom nawet w tym pośpiechu nie miał czasu o to się ciebie zapytać!

— Ja nie wiem jak się to robi, nie moja w tem głowa. Czytałeś przecie książkę pana Mędrzeckiego, p. t. „Prawa miast.“

— Nie czytałem.

— No, i chciejże co z tymi ludźmi zrobić! Jak Pana Boga kocham, ręce z wami opadają. Ja bo przyznam ci się otwarcie mój Dominiku, nie a nie, cię nie rozumiem. Jak to? jedziesz do Warszawy, jako deputat miasta Lublina, masz dopominać się na sejmie o prawa miast i nie znasz książki, która te prawa jasno i wyraźnie określa.

— Ale gdzież i kiedy ja ją miałem czytać? — odrzekł na to Dominik. — Ja zajęty jestem sklepem i gdyby nie ty,

nigdybym nie przyjął tej deputacyi. I cóż to, proszę ja ciebie, za książka?

— Ja tu mam w tłomoku dwa egzemplarze. Dam ci jeden, to sobie na popasie przeczytasz.

— A któż to jest ten pan Mędrzecki? Mądrze się nazywa i książki pisze...

— Oczywiście, że to mądry człowiek i taki, że całe lubelskie mieszczaństwo zbić na kupę i wycisnąć w prasie, to jeszcze nie dobędziesz z niego dziesiątej części tego oleju, jaki ma pan Mędrzecki w głowie.

— Owa! mój Withofie, przesadzasz!

— Nie przesadam, wcale nie przesadam. Mędrzecki jest adwokatem i nie on jeden pisał tę książkę, o której mówimy. Dokładał się tam do niej i pan prezydent Dekert, i ksiądz referendarz litewski Kołataj, i pan Bars, i pan Rafałowicz, Paschalis i inni. Książka powiadam ci ciekawa i warto ją czytać! Wydrukowali jej dwadzieścia tysięcy egzemplarzy, i po całej Koronie i Litwie rozesłali, żeby mieszczaństwo wiedziało, czego się ma trzymać.

— Ale cóż tam w niej jest?

— Hm! jest tam napisane, że miasta królewskie w Rzeczypospolitej dawnej, tworzyły stan wolny, wspólnym jedynie prawom podległy, że na równi ze szlachtą brały udział we wszystkich obradach, traktatach, elekcyach, że więc do rządu, administracyi i własnego sądownictwa odwieczne mają prawa.

— A! to jest dobrze napisane!

— Oczywiście, że dobrze, choć to wszystko jest mało. Tu idzie głównie o prawa człowieka. Ale powoli wszystko się robi, trzeba tylko zacząć. Byle raz jeno poruszyć to martwe morze przesądów...

Nie skończył, bo nagle karetą się zatrzymała i woźnica zastukał w okno.

— A co tam Janie? — zawołał Withof i spuścił szynę w karocy.

Robiło się już ciemno i zawierucha z każdą chwilą się wzmacniała. Gdy Withof głowę wychylił, dostrzegł tylko majaczące po obu stronach ścieżki drzewa, miotane wicherem, a przed karocą stojącego w błocie woźnicę.

— Czego chcesz? — spytał tego ostatniego.

— Niewiem gdzie jechać! Drożyna się kończy i las jeno i las. Noc zaraz będzie i konie się pomachały. Tu ani karczmy, ani wsi niema w tym kraju. Co panie czynić?

— Przecież tu ostać w puszczy nie możemy! — odezwał się na to z gniewem Withof — jechać gdzie oczy poniosą.

— Ba! a konie?

— A niech je diabli wezmą! Siadaj i jedź!

Woźnica pomrukując, niechętnie odwrócił się i już miał ruszać do koni, gdy nagle wiatr przyniósł dalekie naszczekiwanie psów.

— Panie, psy szczekają! — zawołał.

— To jedź tam; gdzie są psy tam i ludzie być muszą.

Jakoż Jan ruszył zaraz w tym kierunku i tłukąc się jeszcze z pół godziny po lesie, w końcu z odrapaną karocą, z zepsutem kołem, które ledwie się trzymało, wydostał się na gościniec wysadzony drzewami. Zaraz też i las się skończył, a za lasem w odległości dwóch pacierzy drogi, wśród szybko zapadającej, czarnej nocy, dostrzeżono światła, czerwieniące w oddali jak oczy jakiegoś bajecznego potwora. Wieś więc była niedaleko i wiatr przynosił coraz donioślejsze ujadanie psów.

Wreszcie dostano się do niej. Czas już był wielki, bo najprzód konie formalnie upadały ze znużenia, a potem koło u karocy wyraźnie wypowiadało posłuszeństwo. Przed najpierwszą chatą Jan zszedł z kozła i biczyskiem stukając w okienko, wywołał chłopą.

— Co to za wieś?

— Janikowo.

— A czyja ona?

— Najprzód Boska, a potem Pańska! — odrzekł chłop przypatrując się z podełba karocy i koniom.

— To się wie, że Boska, ale jak się wasz pan zwie?

— Janikowski.

— A jest tu dwór?

— A jużci że jest, jakżeby bez dwora!

— A dziedzic jest?

— Niema, pono do Warszawy na sejm pojechali.

— A któż jest we dworze?

— Ano, starsza pani i panienka.

— Daleko do dworu?

— Ano... zara... na prawo, kole Sikorowej chałupy.

— Prowadź że nas!

Chłop poprowadził. Dwór, duże kamienne domostwo, o ile dostrzedz można było wśród nocy i wzmagającej się ciągle zawieruchy, wznosił się na małym wzgórzu nad stawem, przytykając jednym bokiem do lasu, który się zaraz zaczynał. Cały dom był ciemny, oprócz dwóch okien, znajdujących się w dwóch przeciwnych stronach ganku, wspartego na słupach.

Kiedy karoca zajechała przed bramę, zamkniętą teraz, psy na dziedzińcu zaczęły ujadać i zaraz potem z za bramy ozwał się głos ostry i surowy.

— A kto tam?

— Podróżni, którzy zabłądzili i proszą o gościnność — odrzekł Withof.

— Co za podróżni?

— Ano... podróżni. Nie chcecie przyjąć, to pojedziemy do karczmy. Karczma tu przecie być musi.

— A jest — odrzekł ów głos i dodał, ale to tam nocleg nie wygodny. Pójdę zapytać się pani podkomorzyny.

I poszedł.

— Hm! — mruknął Withof — dziwny to tu widzę obyczaj i wcale nie polski. W Polsce zwłaszcza w taki psi czas, gdy gościa obaczą, to mu są radzi jak zbawieniu. Jakież tu sknery mieszkać muszą w tym dworze.

Ale nie długo czekali. W pół pacierza może rozległo się na dziedzińcu głośnie chrząkanie i krzyki.

— Walek! Walek! psia jucho, otwieraj bramę!

Otworzono bramę i w niej ukazał się wysoki mężczyzna w kurtce baranami podbitej, w wysokich butach juchtowych i z latarką w ręku, od której krwawy blask padał. Mężczyzna ten rzekł:

— Jaśnie pani podkomorzyna prosi!

Wjechało więc na dziedziniec i obaj młodzi ludzie, zziębnięci i znudzeni złą drogą, z radością wyskoczyli z karoicy na ganek, a ztąd do sieni, gdzie dwóch olbrzymich hajduków przyjęło od nich futra, i otworzyło im drzwi do dużej, słabo jedyną lampką oświeconej sali.

II.

Sala to była pusta. Na kominku z czarnego rzeźbionego marmuru tlił się słaby ogień, od którego mętny, niejasny, migotliwy blask padał na lśniąca posadzkę. Hajduk, ubrany w barwę czarną i karmazynową, wszedłszy za młodzieńcami, ogień ten podsycał i w komnacie zrobiło się jaśniej i raźniej.

Była to wielka, o czterech oknach izba, obita ciężką nieco spłowiałą makatą, pełna staroświeckich sprzętów i gracyków, w jakich lubował się wiek XVIII, a świadczących o dostatniej zamożności właściciela. Ściany zawieszono byłymi portretami wąsatych i zbrojnych kontuszowców. Staroświecki zegar w szafie pełnej złocen i wykretów, wydzwaniał właśnie siódmą godzinę.

— Patrz, już siódma — rzekł Withof — cały więc dzień jedziemy z Puław. Ciekawy jestem gdzie my się znajdujemy.

Withof ubrany był po francuzku. Miał na sobie czarny frak ze złoceniami guzikami, jasną kamizelką, której szerokie wyłogi pokrywały przód fraka, śnieżnej białości zaboty koronkowe, jasno kanarkowego koloru spodnie wpuszczone w niskie, lakierowane buty z żółtymi sztylpami. U boku wisiała mu szpada, a w rękę dzierżył stosowany kapelusz. Była to najświeższa moda, przyniesiona przed pół rokiem z Francji, buntującej się przeciw swemu królowi i ustalonemu porządkowi rzeczy. Włosy czarne, krucze prawie, miał długie, spadające na ramiona i czoło, gdzie były przystrzyżone krótko i równo. Twarz jego w tej opr-

wie z włosów czarnych, blada już z natury, wydawała się jeszcze bledszą. Szczupła, mała, niezmiernie ruchliwa, o kątach ostrych i czarnych, ognistych oczach nadawała mu jakiś dziwny, nieswojski wyraz. Wszedłszy do sali, niespokojnie się po niej kręcił, drepcząc z kąta w kąt i skrzypiąc uginającą się pod nim posadzką.

Towarzysz jego pan Dominik różnił się z nim pod każdym względem. O ile Withof był szczupły, mały, cienki i ruchliwy, o tyle ten wysoki, okazały, dobrze zbudowany i powolny. Ubrany był po polsku, w dostatni żupan ciemno-granatowy i w żółte, futrem podbite buty. Twarz rumiana, okrągła, spokojna, czysto-polskiego typu, miała w sobie wyraz dobroduszości i zadowolenia. Zdobił ją jasny wąs i włosy białe, podgolone polskim obyczajem. Kiedy Withof się kręcił i nieomal w każdy kąt sali już zajrzał, pan Dominik wszedłszy, obejrzał się dokoła, przysunął do kominka i stał tam spokojnie wygrzewając się przy silnym ogniu.

Upłynął dość znaczny przeciąg czasu i Withof począł się już niecierpliwie i wygadywać na szczególną według jego mniemania gościnność tego domu, gdy roztworzyły się drzwi w głębi i do sali weszła kobieta niska, otyła, w ciemnej sukni i czepcu na siwiejącej już głowie. Twarz jej stara, pomarszczona, nosiła na sobie piętno niezwyklej dumy i energii. Zbliżywszy się do środka sali, rzekła do kłaniających się młodzieńców głosem suchym i na pół męzkim.

- Kogóż mam honor witać w domu mego syna?
- Jam jest Adam Withof!
- A ja Dominik Pieprznicki!
- Jak? przepraszam, ale nie dosłyszę dobrze.
- Withof Adam.

— Withof? czyś waćpan szlachcie?

— Nie!

— Nie? hm... proszę aćpana, ja jestem Janikowska, podkomorzyna Janikowska i tak mię tu wszysey nazywają. A jakże się kompan aćpana zwie?

— Pieprznicki.

— Także nie szlachcie? co?

— Nie szlachcie pani podkomorzyno—odrzekł Withof.

— Proszę aćpana, nieszlachta zowie mię jaśnie wielmożną. Trzeba zawsze oddać, co się komu należy. Zkądże aćpanowie jadą?

— Z Lublina — mówił Withof krzywiąc się jakoś i kręcąc niespokojnie — mój kompan, pan Pieprznicki jest deputatem miejskim, by się upominać o prawa mieszczańskie przed skonfederowanymi stanami Rzeczypospolitej.

— O prawa miejskie? hm! proszę ja aćpana, cóż to są za prawa miejskie? czegoż to wy chcecie? Słyszałam ja coś o tem i podobno książdz referendarz litewski macza tam w tem ręce. Ale to jest głupie, bardzo głupie.

Usiadła wygodnie, nie zapraszając wcale gości by to samo uczynili. Stali przed nią i nawet Withof nie śmiał usiąść w obec dumy i zimna, wiejącego od podkomorzyny.

— Czemuż mam zawdzięczać honor odwiedzenia naszego domu? — pytała.

— Poblądziliśmy i prosimy o gościnność. Złamało się koło u karocy, czas jest okropny...

— Hm! proszę ja aćpana, zaraz tu przyjdzie mój marszałek imćpan Kwiatkowski, ten się wami zajmie. Aćpan jak się zowie? — spytała Withofa.

— Zdaje mi się, że już mówiłem, nazywam się Withof.

— Czy acpan jesteś Niemiec?

— Nie, Polak.

— A czemuż po niemiecku się ubierasz? Farmazoni-ski jakiś strój masz acpan na sobie i patrzysz na djabła a nie na człeka. Czyś acpan katolik?

— Katolik.

— Fe! taki djabelski strój. Kompan acpana, choć także taki sam szewczyk jak i ty, przynajmniej po ludzku się ubiera.

Withofowi krew uderzyła do głowy. W oczach zapaliły mu się jakieś iskry złowrogie, a blada twarz zarumieniła się cała i usta drgały. Chciał coś widocznie odrzec, coś takiego, coby zapewne nie małą wywołało burzę w tym starym, szlacheckim dworze, gdy znowu cicho otworzyły się drzwi w głębi i w nich ukazała się nowa osoba. Była to także kobieta, ale młoda i niezwykle piękna. Nie liczyła zapewne więcej nad osiemnaście lat; jasna blondynka, niebieskooka, różowa i biała. Szła wolno w ciężkiej i ciemnej sukni i patrzyła w czarne, błyszczące ogniem oczy Withofa, rumieniąc się jak wiśnia. Śliczna była jak zjawisko. Od ognia na kominku na jej jasne włosy padał purpurowy odblask i zapalał w nich jakieś oślepiające, migotliwe, niby roztopione złoto, światło. Kibić jej w obcisłej sukni rysowała się wydatnie, zdradzając przepyszne kształty tej dziewczyny. Posuwała się wolno, spokojnie i stanęła za krzesłem podkomorzyny, oddając zgrabny, niewymuszony ułkon na ukłony obu młodych ludzi. Podkomorzyna zaraz do niej się zwróciła i rzekła swym ostrym, surowym głosem.

— Tekluniu, pójdziesz i każesz mi tu zawołać marszałka!

— Dobrze babciu—odezwała się na to Teklunia głosem miękkim, pieszczonym, śpiewnym i rzuciwszy jeszcze raz okiem na Withofa wyszła, kłaniając się znowu młodzieńcom. Zjawisko to tej ślicznej dziewczyny, słodkie jak marmurzenie, jej głosik srebrny, jej wdzięk, dziwnie jakoś oddziaływały na Withofa. Kiedy przed chwilą w oczach mu gorzały pioruny, wywołane dumem i obrażającym obejściem podkomorzyny, kiedy już był w takiej pasyi, że gotował się do odpowiedzi ostrej i może niegrzecznej, a koronki żabotu trzęsły się na nim, jakby febry dostał, teraz uspokoił się zupełnie, odetchnął ciężko, pobladł a w jego oczach zajaśniało jakieś rozmarzenie, jakaś łagodność i łzy niemal. Odechodzącą Teklunię ścigał wzrokiem aż do drzwi i weale nie zwracał już uwagi na to, co mówiła podkomorzyna.

A ta wyrażała się z uderzającą pogardą i oburzeniem na zamiary mieszczaństwa.

— Byłoby bardzo dobrze—prawiała—żeby stany sejmujące kazały kilku łyczków oddać straży marszałkowskiej i osieć różgami. Im się zachciewa wolności! Małpują Francuzów i innych Farmazonów. Dałabym ja im deputacye!

Ale Withof tego wszystkiego nie słuchał. On ciągle jeszcze patrzył we drzwi, które Teklunia wyszła i wciągał ruchliwymi nozdrzami swemi woń różanego olejku, jaki po sobie dziewczyna w sali zostawiła. Koło serca zrobiło mu się dziwnie miękko i żałośliwie; i choćby go nie już słowem ale kijem z tego domu wypędzano, onby ztąd nie oddalił się. Jak żyje nie widział takiej pięknej, takiej słodkiej, takiej słonecznej dziewczyny. Zresztą on tak mało się dotąd zajmował kobietami. Cały dzień przepędzał w kantorze i sklepie pana prezydenta Dekerta i jeżeli patrzył kiedy na ko-

biety, to chyba na jego piękną, bardzo zapewne piękną, ale już nie młodą żonę. W niedzielę znów lub święto wybiegał z pryncypałem na polowanie, i takie życie mu wystarczało, gdy był młodszy. Pieprz warzył, sprzedawał roźdzynki, pisał rachunki, polował, ot wszystko. Później, gdy począł dojrzewać, Dekert podniósł sprawę mieszczaństwa. To go żywo zajęło, zaabsorbowało zupełnie. Wielkie sceny rozgrywające się we Francji oddziaływały na niego jak narkotyk i wierzył w to, że świeży podmuch wiatru zachodniego odezwie się także w Polsce. Wszak akcja się już zaczęła i spodziewał się, że lada chwila mała iskierka buchnie wielkim płomieniem. Czyż w obec tego, w obec tak poważnych, tak wielkich zagadnień mógł myśleć o kobietach, mógł się nimi zajmować, choć Warszawa tysiące mu potemu dawała sposobności? Ale teraz ujrzał cudowną, jakby zdjętą ze świętego obrazka dziewczynę i uczuł, jakby się w nim coś przewracało, waliło, rwało. Nie zważał już na słowa podkomorzyny, na jej obelgi rzucane sprawie, którą uważał za świętą. Podeszedł do okna, zagłębił się w cień i marzył.

Podkomorzyna tymczasem swoje prawa dalej, a Pieprznicki słuchał jej z twarzą obojętną, nie zresztą nie odpowiadając. Jego tępa natura nie obrażała się niczem. Na koniec podkomorzyna wstała i rzekłszy.

— Zaraz tu do acpanów przyjdzie mój marszałek.

Nie skłoniła się nawet i wyszła. Obaj młodzieńcy zostali sami, Pieprznicki wciąż wprost kominka, Withof oparty o okno i wpatrzony w nie tak pilnie, jakby tam w tej czarnej, burzliwej, listopadowej nocy mógł być co dojrzyć ciekawego. W sali była wielka cisza, tylko na kominku trzaskało głośno smolne drzewo, zegar tykał spokojnie

i ze dworu dochodził posępny szum burzy. Pieprznicki stał przy piecu i ukradkiem ziewał, myśląc sobie:

— A to Herod baba! niechże ją kule biją!

Nagle od okna skoczył ku niemu Withof i chwytając kompana za rękę, spytał półszeptem:

— Widziałeś ją?

— Ano... oczywiście...

— Prawda, że śliczna?

— A niech ją kat spali!

Withof zżymnął się.

— Cóż ty, Dominiku, oszalałeś?

— Nie, tylko mi się spać chce.

— Wiesz że o kim ja mówię?

— A no... o tej podkomorzynie.

— Ale gdzie tam! — skrzywił się Withof, ty widzę całkiem tępy jesteś.

W tejże chwili roztworzyły się drzwi od antykamery z trzaskiem i ukazała się w nich nowa osoba.

III.

Ten który wszedł teraz do sali, był to mężczyzna, wysoki i chudy jak szczapa, z wielkimi wąsiskami jak wiechcie i starannie, polskim obyczajem, wygoloną czupryną. Ubrany był w kusy żupan bernardyńskiej barwy, podbity zrudziałami mocno lisami, suto na przedzie szamerowany, w pas wytarty i wystrzępiony i wysokie buty. Wszedł, rzucił dokoła maleńkimi swemi oczkami, pokłonił się obu młodzieńcom i rzekł głosem grubym, chrapliwym nieco:

Stan trzeci.



— Czołem mości panowie. Jam jest Rafał Kwiatkowski, marszałek dworu jaśnie wielmożnego pana chorążego Janikowskiego.

Obaj młodzieńcy przedstawili mu się nawzajem, a on mówił:

— No, co my tu będziemy robili? W tej sali zimno jak w psiarni. Jak Boga kocham tak prawda! chodźcie waszmość panowie do mnie.

— I owszem — rzekł Withof — nie mamy tu co robić.

— Karoca waszmościów z kretešem popsuta, a szkoda, bo ładny to i kosztowny zapewne sprzęt. Ale to się naprawi, naprawi. Co? do Warszawy panowie jedziecie?

— Do Warszawy.

— Hm! jaśnie wielmożna pani podkomorzyna mówiła mi, że waszmościowie to łyki warszawskie czy lubelskie. Prawda li to?

— Prawda.

— Hm! mnie tam wszystko jedno, byle człek był polityczny. Jak Boga kocham prawdę mówię. A pić umiecie?

— Troszeczkę — mruknął Pieprznicki.

— Troszeczkę? no, to nie wiele. Ja znam w Warszawie mieszczanina bogatego, co się zwie Lancbark. Ten pije jak gąbka. Krajeży koronny mógłby się u niego uczyć. Jak Boga kocham tak prawdę mówię. Znacie Lancbarką?

— Znam go — odrzekł Withof.

— Otóż to... choć on łyk, ale lepiej pije od niejednego szlachcica. Ile razy jestem w Warszawie z jaśnie wielmożnym panem chorążym, zawsze zachodzę do Lancbarka i pijemy sobie setnie. Ale pójdźcież do mnie, tu w tej sali w gardle zamarza.

Poprowadził ich przez antykamerę, sień i korytarz do niewielkiej izby, dobrze ogrzanej i zastawionej najrozmaitszemi sprzętami. Pełno tu było brudu i kurzu, łóżko okryte podartą kołdrą, a nad łóżkiem szabla i bizun boćkowski. Na stoliku świecił wielki gąsior, a koło niego szklanica.

— To moje locum — rzekł Kwiatkowski — siedzę sobie jak u Pana Boga za piecem. A oto tam, za temi drzwiami jest komnata waszmościów. Kazałem wam posłać i ogień też napalić. Siadajcież mości panowie. Napijemy się, co? Mam tu zieleniacek, wart buzi. Jak Boga kocham tak prawda. Dostałem go od księdza opata z Sieciechowa za to, że mu dałem drzewa na budowę tam jakąś w klasztorze. Siadajcież sobie.

Usiedli, a on odkorkował gąsior i ponalewał wina.

— Cienkusz trochę, ale nie idzie nic w głowę, jeno w nogi. No! nasze kawalerskie!

— To waszmość kawaler? — spytał Pieprznicki.

— He! he! he! — zaśmiał się rubasznie Kwiatkowski — kawaler, kawaler! Bóg mnie ustrzegł od żony i nikt mi też kołków nie ciosa na łbie. Żeby nie podkomorzyna — szepnął cicho nachylając się i oglądając do koła — byłbym sobie szczęśliwy jak sam król. Jak Boga kocham tak prawda. Ale cóż? trudno mieć wszystko na świecie. No, pijcież!

— A cóż podkomorzyna? — spytał Withof — czy taka ostra?

— Heród baba — powiadam waści — istny Heród. Ho! ho! ho! żeby nie ona, inaczej by tu było w Janikowie. Żylibyśmy sobie jak panowie. Ano... trudno. He? czemu nie pijesz, ty, jakże się tam zowiesz?

— Pieprznicki.

— Tfu! psie nazwisko, jak Boga Kocham psie nazwisko!

Wypił ze cztery szklance półkwartowe, zaczerwienił się cały i widocznie we łbie się mu mąciło. Pieprznicki na ostatnie słowa marszałka zarumienił się trochę i zrobił taką minę, jak gdyby chciał szklankę, którą trzymał w ręku, cisnąć w Kwiatkowskiego, ale go Withof powstrzymał, szepcząc:

— Daj pokój!

Marszałek tymczasem prawil, połykając szklanicę za szklanicą:

— To ty musisz pieprz zawijać, co? ha! ha! ha! — śmiał się — i od tego cię przewali. Ale ja cię Kocham, bo ty łeb masz podgolony i ubrany jesteś po ludzku, jak się patrzy. Ale to djable niemieckie — tu wskazał na Withofa — we fraczku i kuso, całkiem mi się niepodoba. Żeby nie podkomorzyna, to wiesz ty, pludrze — zwrócił się do Withofa — żebym ci kazał na twoje pluderski sto bizunów wsypać i wygnałbym cię jak stoisz na mróz i śnieg. Niechby cię djabli wzięli! Jak Boga Kocham tak prawda. No, czemuż nie pijesz... ty, jakże tam, co pieprz zawijasz!

Trącił się szklanicą, wypił ją duszkiem, otarł wąsy, odetchnął ciężko i rzekł:

— Cienkie wino, zieleniaczek, ale w głowę nie idzie, jeno w nogi.

Tymczasem była to najzupełniejsza nieprawda, bo ze łba mu się kurzyło i widocznie był pijany.

Pieprznicki trochę zżymał się na to wszystko, zwłaszcza że i on wypił parę szklanek, ale Withof śmiał się głośno i szczerze. Bawiła go ta zamaszysta, kordyalna postać szlachecka.

— Powiedz mi panie marszałku, to pan chorąży Janikowski jest posłem na sejm? — pytał Withof.

— A posłem, siedzi w Warszawie, a podstarości mu jeno pieniądze posyła. Bierz djabeł takie poselstwo. Ale i my jedziemy do Warszawy przed świętami, to ja tam będę u ciebie, ty pludrze jak się zwiesz?

— Withof.

— A! Wiktor!.. he! he! he! jeszcze też nie słyszał, żeby się kto Wiktor nazywał. Toć to jest imię, ale nie nazwisko. Ale pal cię tam djabli pludrze, farmazonie, pij, kiedyś ze szlacheicem jest, pij, bo ci w twój cienki gardziel wleję...

— Przecie ja piję...

— No, to ty dobrze czynisz, bo inaczej, to ja bym ciebie...

— Słuchajno waszmość — przerwał mu Withof, — więc jedziecie do Warszawy?

— A jedziemy, i ja tam będę u ciebie i u Lanebar-ka. Powiadam tobie, on pije jak gąbka.

— I kiedyż jedziecie?

— Kiedy? hm!.. czekajno, jeno sobie skalkuluję, bo mi się we łbie plącze. Zieleniaczek dobry, ale w głowę całkiem nie idzie, tylko w nogi.

— Kiedyż więc jedziecie do Warszawy?

— Do Warszawy? jak Boga Kocham, tak prawda! jedziemy, jedziemy... o! przed Świętami nakupić różnych bakalii i zabrać jaśnie wielmożnego... jaśnie!.. Hej! ty, co pieprz za... jadasz, czemu nie pijesz?

Był zupełnie pijany i trudno już było się z nim dogadać. Szczęściem gąsior świecił już dnem. Withof, którego widocznie bardzo jakoś obchodziła sprawa wyjazdu dwo-

ru Janikowskiego do stolicy, znowu po jakimś czasie rozpoczął rozmowę o tem samem z marszałkiem.

— I któż jedzie do Warszawy? — pytał.

— Kto jedzie? — spojrzał na Withofa — a tobie co do tego pludrze jakiś? Cóż to, na konfesatę mię bierzesz? Ty myślisz, że ja się upiłem, a ja się nie upiłem, ja wiem co ty chcesz? Zieleniaczek od księdza opata z Sieciechowa jest dobry i w głowę nie idzie, tylko w nogi. Ja też boję się wstać z zydlu, bo bym zaraz padł... a ten psubrat Józik nie pokazuje się. Hultaj, za dziewczkami lata, a o mnie zapomina. Weźmie jutro bizuny, jak Boga kocham.

Poruszył się na krześle.

— O, widzisz ty... tam... w nogi mi idzie.

— A, to wielka szkoda, rzekł Withof, bo nam się jeść chce, a waś jeno pić dajesz...

— Jeś wam się chce? Jak Boga kocham... prawda, wam się jeść chce. Ha? psubrat Józik, żeby go kat spalił... Czekaścież, ja pójdę, spędzę go, jeno mi ten bizun oto dajcie. Jest comber sarni, caluteńki... dajcie ten bizun.

— Po co bizun? lepiej waś zawołaj!

— Zawołać! ano dobrze. Zawołam.

I wyprostowawszy się krzyknął swym chrapliwym głosem.

— Józik! Józik!

Na ten krzyk do komnaty wpadł jak szalony młody chłopak, trochę z kosaacka ubrany, wesoły śmiejący się, żywy jak iskra.

— Jestem panie.

— A ty psi synu! — zawołał marszałek — gdzie ty się włóczysz? Nie widzisz czy co, że mnie zieleniak w nogi włoży! Bizuny weźmiesz, jak Boga kocham weźmiesz.

Chłopak nie zdawał się być wcale tem wzruszony, co mówił jego pan. Szczerzył zęby, wiercił się na miejsu, i zwracając się do obu młodzieńców, pytał:

— Czy panowie czego chcą?

— Jeś daj co.

— W mig! i frunął za drzwi.

Withof znowu zwrócił się do marszałka:

— Jak Waszmość będziesz w Warszawie proszę do mnie zajrzeć. Mieszkam na starem mieście w domu prezydenta Dekerta. Mam też parę beczulek prawdziwego tokaju. Napijemy się.

— Tokaj masz? hm! hm! i stary?

— O stary! a z kimże waś jedziesz do Warszawy?

— Jak to z kim? my wszyscy jedziemy i jaśnie wielmożna podkomorzyna i panna chorażanka i panna Terlecka... wszyscy... jak Boga kocham, wszyscy. A ja zawsze mówię, że panna Terlecka powinna jechać... i pojedzie jakem Kwiatkowski!

— A któż to jest panna Terlecka?

— Nie znasz jej? hm! hm! gdzieżeś ty się chował, mój pludrze... u! zieleniaczek idzie w nogi, idzie... a w głowę ani krzty. Twój tokaj to pewno w głowę idzie.

— Trochę w głowę, a trochę w nogi.

— Ej, to psu na budę się nie zdało. Wino powinno iść zawsze w jedną stronę.

Oparł się oburącz na stole i mówił:

— Żebyś ty widział pannę Scholastykę Terlecką, to byś ty skamieniał, chociaż pluder i farmazon ostatni. Jak Boga kocham... oczki ma jak tarczki i stateczna jest i grosiwa ma trochę, ale cóż, kiedy mię nie chce. Słuchajno, dopomóż ty mi w afecie, a ja ciebie ozłocę...

— Owszem, uśmiechnął się Withof, czemu nie?

— O mój królu! — krzyknął Kwiatkowski obejmując rękami młodzieńca i całując go, a łyż mu przy tem ciekły jak groch — ja, jak Boga kocham, jabym ciebie... no... przysięgam Bogu, wszystko ci uczynił co zechcesz, wszystko, bo ja taki afekt do panny Terleckiej czuję, że nie zdzierzę bez niej...

— Tu nic nie trzeba, tylko dwóch rzeczy — rzekł na to Withof.

— Jakich?

— Nie każ waś reperować naszej karocy, żebyśmy tu mogli parę dni zabawić...

— Parę dni... dobrze... jak Boga kocham, dobrze... o! zieleniaczek w nogi idzie... panna Scholastyka!..

Kiwał się na wszystkie strony i głośno płakał...

— Powiedz że mi waś, pannie chorążance to Teklusia na imię?..

— A Teklusia... a pannie Scholastyce... Scholastyka... jak Boga kocham tak prawda... zieleniaczek... ksiądz opat...

Mruczał coś jeszcze, położył głowę na stole i usnął snem twardym, chrapiąc donośnie.

Zaraz też zjawił się Józik z combrem sarniny, chlebem i masłem. Withof kazał mu to zanieść do przeznaczonych dla nich komnaty. Gdy się już sami z Pieprznikiem znaleźli, Withof rzekł:

— I cóż ty na to Dominiku?

— Na co?

— Że my tu, w tej wsi zostaniemy parę dni.

— Ale po co?

— Po co? no, ja sam dobrze niewiem, ale widzisz... jak żyję niewiedziałem tak ślicznej panny, jak chorążanka...

— Więc dla niej zostaniem?

— Dla niej.

— A cóż sprawa miejska... taka pilna i ważna?

— Sprawa miejska? hm!.. ładne oczy dziewczyny to podobno rzecz najważniejsza na świecie. Ale co tu gadać. Zobaczmy jutro. Zjedzmy co nam dali i idźmy spać. Zmęczony jestem bardzo.

IV.

Istotnie, nazajutrz nie można było nawet myśleć o podróży w tym kraju leśnym, pokrytym puszczeniami, pamiętającymi jeszcze Jagiellowe czasy. Naprzód śnieżna zawieja wciąż trwała, pokrywając świat jakąś mętną, białą płachtą, a następnie koło u karocy delegatów mieszczańskich z kretemsem było popsute. A że kołodzieja dobrego we wsi nie było i trzeba było posyłać po niego aż do Lublina lub Zwolenia, więc nasi młodzieńcy zostali w Janikowie w gościnie u dumnej pani podkomorzyny. Tego tylko pragnął Withof i kiedy mu to wszystko rano przedstawił Kwiatkowski, o mało, że go nie uściskał.

— Cóż ty myślisz, mój Dominiku—gadał do Pieprznickiego, gdy ten dziwił się jego radości—teraz czasy są takie, że wszelkie przesady runąć muszą jak stare, zmurzałe mury. Niema takiej głowy, któraby przed naciskiem potężnych, nowych idei nie uległa. I żebyś mi ty nie wiem co gadał, to ja jestem pewny tego, co mówię. Podkomorzyna jest dumna szlachecianka, to prawda, ale dziwić się temu wcale nie należy, bo żyjąc jeno w puszczy i patrząc tylko

na sosnowe bory człek całkiem nie wie, co się tam dzieje na wielkim świecie, jakie zasady i jakie wierzenia biorą się za bary i komu przynależy zwycięstwo.

Tak prawił młody Withof i śmiał się do siebie i zacierał ręce. Kwiatkowski wytrzeźwiony po wczorajszej pijatce, okazał się być szlachcicem dobrym, trochę rubasznym i wyśmiewającym się z mieszczańskich synków, ale swoją drogą bardzo kordyalnym i wesołym.

— Już to mości panie — prawił do Withofa — dobry ty masz łeb, kiedyś się wczoraj nie upił. Jak Boga kocham, ty masz szlachecki łeb. I żebyś ty mi tam niewiem co nie gadał, to ja jestem przekonany, że w tobie płynie choć odrobina krwi szlacheckiej.

Jednakże Withof choć na wszystkie strony zajeżdżał i zachodził, żeby się dowiedzieć coś o pięknej, jasnowłosej córce dziedzica, pannie Teklusi, nie się nie dowiedział okrom tych słów:

— Panna chorążanka mój mości panie—mówił Kwiatkowski—to taka przylepeczka, że ją do rany przyłożyć. Jak Boga kocham, tak prawda.

Zresztą nie więcej, i na naleganie Withofa, szlachcic nawet spojrział na niego jakos dziwnie i milezał jak zakłęty. Śniadanie zjadł razem z gośćmi i mówił, że we dworze Janikowskiego jest stary, polski obyczaj, że do stołu z państwem zasiadają wszyscy domownicy, że za tem i obaj młodzieńcy będą proszeni. Z niecierpliwością więc Withof oczekiwał tego obiadu, Pieprznicki zaś nudził się piekielnie i mruczał.

— Djabli mi nadali jakieś tam delegacye. Nie lepiejże mi siedzieć było w ciepłym moim sklepie w Lublinie

i pilnować tego, co mi chleb daje, jak włóczyć się po szlacheckich dworach, gdzie człeka jak psa traktują.

Na obiad Withof przybrał się w nowe niezmiernie wykwintne szaty. Włosy sobie białą mąką obsypał, wąski czarne zakręcił do góry, żaboty ze ślicznych francuzkich koronek włożył. Frak z długimi z tyłu szosami był wiśniowego koloru z aksamitu, suto wyszywany złoceniami. Kamizelka była biała atłasowa i także białe spodenki, ukryte w pończochy i trzewiki niebieskie ze złotymi sprzączkami. Do tego mnóstwo spinek brylantowych, guzów z krwawniku w złoto oprawnych, zegarków i dewizek, i nakoniec szpada z porcelanową rękojeścią. W rękę miał trójgraniasty kapelusz i w tym stroju wyglądał na jakiego markiza lub diuka francuzkiego. Kiedy szedł, to atłasy szeleściły i woń jakąś zamorską wydawał z siebie. Pan Dominik dziwił się temu i głową kiwał i pytał:

— Do kogóż ty się tak stroisz? Co tobie w głowie, mój Adasiu! Czyżby tobie nawet dali tę dziewczę, która ci widzę w głowę zalazła, chociaż ją raz jeno widział? Ty mieszczanin, tyk jak gada ten pijak marszałek, a ona szlachcianka.

— Ej, mój Dominiku, ty nie a nie nie rozumiesz, i chcesz rezonować. — odpowiedział na to Withof. — Świat jest dziś inny jak przed kilkunastu laty i kiedy ty przybędziesz do Warszawy, to dopiero zobaczysz, jakie to świeże powiało powietrze po tej szlacheckiej Rzeczypospolitej. Tobie się wtedy wiele ciemnych rzeczy wyjaśni i wiele zagadek wytłumaczy, których teraz weale nie rozumiesz. Co zaś do mnie, to ja nie nie chcę i nie nie myślę jeszcze. Panna chorążanka podobala mi się, nie przeczę, bo też tak ślicznej panny jak żyję nie widziałem. Ale od podobania do miło-

ści, a cóż dopiero do małżeństwa, jest bardzo daleko. Ustro-
iłem się zaś dla tego tak suto, żeby ta dumna podkomorzy-
na widziała z kim ma do czynienia, i chce także byś i ty się
suto ubrał.

Pieprznicki znudzony tem wszystkim, sprzeciwiał się
zrazu żądaniu swego towarzysza, ale wkrótce uległ. Roz-
tworzył więc swe tłumoczki, wyjął z nich śliczny, biały, atła-
sowy w złote muszki żupan, papuzi kontusz, żółte buty ze
złotemi podkówkami, pas lity kapiący od złota, i kiedy się
w to wszystko ustroił, to patrzył na setnego szlachcica,
a nie na kupezyka lubelskiego, sprzedającego pieprz i imbir
po groszu.

Kiedy marszałek Kwiatkowski przyszedł po nich na
obiad i zobaczył tak ustrojonych, dziwił się temu niezmier-
nie. Zwłaszcza Withofa oglądał na wszystkie strony.

— Ki djabeł! — gadał — tu w tym paskudnym nie-
mieckim stroju krocie być muszą!

— Ba! ba! — odpowiadał na to Pieprznicki — te bry-
lanty mości panie i to złoto, to wszystko po przodkach
Withofa.

— Po jakich przodkach mosanie? alboż to mieszczą-
nie mają przodków?

— Mości panie, stryj Withofa mógł być dziesięciu ta-
kich jak waś i jak Janikowo kupić.

— Owo, przesadasz.

— Nie przesadzam, to jest święta prawda.

Tak prawiąc szli do sali, gdzie obiad był zastawiony.
Tam już zastali wszystkich. Podkomorzyna siedziała na
pierwszem miejscu, mając po prawej Teklusię, a po lewej
jakąś starą, pomarszczoną, suchą jak szczapa z żółtymi na
siwiejącej głowie wstążkami, kobietę. Teklusia, ubrana

w ciemną sukienkę, w granatowy kontusik z wylotami, obło-
żony kunami, wyglądała prześlicznie. Swemi szafirowemi
oczami obrzuciła Withofa, który w swym pięknym stroju
istotnie był bardzo przystojnym młodzieńcem, i zarumieniła
się silnie. W ogóle strój obu delegatów zrobił wrażenie,
które zaraz się okazało na samej podkomorzynie. Kiedy
bowiem Withof ukłoniwszy się jej po kawalersku, począł
z wielką rewerencyą tłumaczyć się dlaczego nadużywają jej
gościńności, uśmiechnęła się łaskawie i rzekła:

— Proszę, niech waszmość siada; mój dom zawsze
dla wszystkich jest otwarty. Proszę, niech waszmość
siadają.

Nie nazywała ich już acpanami. Withof był tem
wszystkiem rozpromieniony. Wśród ogólnego milczenia,
kiedy wszyscy przypatrywali się jego sukniom, niezwykłym
i rzadko widzianym w tych stronach, oddalonych od życia,
zagłębionych w puszczech, Withof ze swobodą człowieka
wielkiego miasta, począł opowiadać swą podróż, jej wypad-
ki, w końcu przeszedł na swe „wojaże,“ jak to wtedy mó-
wiono, po obcych krajach. Słuchano go w milczeniu, ale
z widocznym zajęciem. Teklusia wpatrywała się w niego,
jak w obrazek i rumieniła się, gdy oczy ich ze sobą się spot-
kały. Od czasu do czasu podkomorzyna się odzywała, nie-
kiedy owa chuda panna Scholastyka, rzadko Teklusia. Gło-
sik jej miękki, łagodny, o srebrnym, metalicznym dźwięku,
robił na Withofie silne wrażenie. Sam się sobie dziwił, że
jest taki rozmowny, taki wesoły, taki swobodny.

Po obiedzie, gdy wszyscy wyszli, podkomorzyna za-
trzymała obu towarzyszy. Przeszli więc do wielkiej sali,
gdzie podkomorzyna wkrótce ich opuściła dla poobiedniej
drzemki. Został tylko Withof, Pieprznicki, panna Schola-

styka i Teklusia. Wieczór się już robił, wczesny w tej porze roku i przy dmącej wciąż zamieci śnieżnej i po tej wielkiej, ciemnej sali włóczyć się poczęły duże, czarne cienie. Pieprznicki usiadł w kącie i zdaje się zdrzemnął się, panna Scholastyka umieściła się przy oknie i wyjąwszy różaniec modliła się. Zostali więc prawie sami Withof i panna chorażanka.

Z początku w rozmowie obojętnej o podróżach, o Warszawie i królu, Teklusia mało brała udziału. Więcej słuchała jak mówiła, Withof za to był mocno ożywiony. Szafirowe oczy dziewczyny ciskały na niego jakiś urok tajemniczy. Od czasu do czasu spoglądała na niego i odpowiadając paru słówkami, milczała. Ale kiedy wieczór począł zapadać, kiedy mroczne cienie tłukąc się po kątach w końcu ogarnęły całą tę wielką salę z portretami rycerzy i matron, dziewczyna zdawała się ożywiać i rozmarzać. Otaczała ich cisza poważna, przerywana tylko wyciem zawiei na dworze, szeptem panny Scholastyki i monotonnem kukaniem zegaru. Świerszcz ukryty pod piecem przy mroku wieczornym począł odzywać się smutno, melancholijnie.

— Więc pani jedzie do Warszawy?—pytał Withof.

— Jedziemy z cicią i panną Scholastyką. Ojciec jest posłem na sejmie, a ja ciekawa jestem sejm.

— Tem ciekawsze to będzie teraz, że właśnie niedługo rozegra się tam scena, jakiej sejmy Rzeczypospolitej nigdy nie widziały.

Pytała, co takiego było, a on jej opowiadał. Z zapalem i ogniem, z niezwykłą wymową począł jej tłumaczyć prawa miast i prawa człowieka. Był to dla niej całkiem nowy świat i jej umysł młody, świeży, wrażliwy został ol-

śniony potęgą tych nowych myśli. Słuchała Withofa jak zachwycona.

— Jeżeli panie będą w Warszawie za jakie dwie niedziele, to właśnie trafią na wniesioną do stanów sprawę miejską. Proszę przyjść wtedy do sali sejmowej. Arbitrum wstęp jest dozwolony. Okaze się, czy Rzeczpospolita ma w sobie życia choć krzynek, czy to jest trup tylko. Ja mam czytać przed stanami memoriał miast, wygotowany przez p. Mędrzeckiego, Barsa, ks. Kołłątaja i pana prezydenta Dekerta.

— Pan będzie czytał?

— Tak, ja.

Uważała go teraz za wielkiego człowieka. Nigdy nie podobnego nie słyszała. Nie miała przesądów szlacheckich, jej dobre serce nie bardzo pojmowało różnice kastowe, ale to wszystko co jej mówił Withof, było dla niej czemś całkiem nowem, olśniewało ją jak słońce. On jej mówił teraz o wielkiej chwili w jakiej żyje, o rewolucyi francuzkiej, o prawach człowieka. Powoli ogarniał ją entuzjazm.

— Świat się odradza, — mówił Withof — i ludzkość wróci do złotego wieku, do jednej wielkiej sielanki.

Tę rozmowę, te zachwyty, ten entuzjazm przerwała służba, wnosząca światło i pojawienie się pani podkomorzyny. Przepędzono cały wieczór na rozmowie bardzo przyjemnie.

V.

Delegaci w Janikowie bawili jeszcze parę dni, dopóki zawieja śnieżna nie uspokoiła się i koło do karocy nie było gotowe. Z kołem tem Kwiatkowski nie spieszył się wcale, bo mu Withof przyrzekł, że byle pare dni zabawił we dworze, to potrafi ku staremu marszałkowi skłonić serce suchej panny Scholastyki. Starania te jednak młodego Withofa były bezowocnymi. Jakkolwiek w tym domu, dzięki swej elegancji, zdolnościom i pieniądзом, jakie sypał między służbę, potrafił wszystkich, nie wyłączając nawet podkomorzyny, przeciągnąć na swą stronę, przecież kiedy zagadał do panny Scholastyki o Kwiatkovskim, ta się oburzyła.

— Nie mów mi wacpan o tym potworze i tyranie. Nie mów mi, bo i ciebie znienawidzę!

Ponieważ jednak Withofowi szło o to, żeby nie był znienawidzonym przez pannę Scholastykę, pilnującą ciągle Teklusi, więc dał pokój swym tentaeyom i zostawił imcipana Kwiatkovskiego jego losowi. Zresztą Bogiem a prawdą, delegat miejski zajęty był całkiem czem innem przez ten czas, który przepędził w Janikowie. Jemu się ciągle uśmiechały błękitne oczka Teklusi. Przepędzali ze sobą prawie większą część dnia w towarzystwie panny Scholastyki, która albo różaniec odmawiała albo pończochę robiła. Była ty zresztą bardzo dobra kobiecina. Raz nawet powiedziała do młodej pary.

— Gruchajcie sobie, gruchajcie moje turkaweczki, bo tyle i waszego. Już ja to dawno widzę, że się kochacie, ale to z tego nie nie będzie.

Teklusia zarumieniła się jak wiśnia i odwracając spłoniłą twarzyczkę, rzekła:

— Co też Scholasia mówi!

Withof usłyszawszy te słowa jednak, porwał się z krzesła z iskrzącymi oczami i pobiegłszy do cerującej spokojnie pończochę panny Scholastyki, zawołał:

— Dla czego nie nie będzie?

Wieczór się właśnie robił trzeciego dnia pobytu młodych delegatów w Janikowie i zawierucha śnieżna ustawała. Niebo powoli pozbywało się ołowianej, mętnej swej powłoki, i tu i owdzie przeglądało już bladym błękitem. Zachodzące za lasy słońce krwawymi promieniami przedarło się do wielkiej sali domu, w którym właśnie siedział Withof i dwie kobiety i oświeciło jasną purpurą wielki portret na ścianie. Na portrecie tym z ciemnego tła wystawała postać jakiegoś mężczyzny w hiszpańskim stroju, ze szwedzką bródką, z oczami pełnymi surowości i powagi. Jego usta wydęte i cała postać wreszcie, znamionowała dumę i siłę woli niepospolitą. Słońce zimowe, krwawe, oświecało krwawo tę postać pełną grozy i majestatu.

Kiedy Withof z widocznem uniesieniem podbiegł do panny Scholastyki i pytał jej: dla czego z jego miłości nie nie będzie, ta podniosła powoli swe blade, wypełzłe oczy, spojrzała na niego, potem mimowoli zatrzymała wzrok na portrecie, który zdawał się pioruny ciskać ze swych wielkich, czarnych pełnych surowości źrenic.

— Mój mości panie — rzekła w końcu stara panna — pytasz, jakbyś nie wiedział. Powiedzże mi, jakże to może być, żeby szlachcianka szła za mieszczanina?

A kiedy Withof zżymnął się, dodała:

Stan trzeci.

— Czekajno waszmość i wysłuchaj mnie do końca. Ja to dobrze widzę, że się kochacie jako dwa gołąbki, i taka miłość jest piękną, bardzo piękną. Kochanie zresztą nie nowina w tym rodzie. Niewiasty tej familji zawsze były skore do kochania i krew miały gorącą. Czemużby Teklusia miała być inną?

Teklusia różowa jak to słońce, które oświecało portrety jej antenatów, znowu przerwała:

— Moja Scholasiu, mówisz niedorzeczności!

— Ale! niedorzeczności. Starsza ja jestem od wać panny i wiem, co mówię. Cóż to ślepa jestem albo głucha? Kochacie się jak amen w pacierzu. Ale co innego kochanie, a co innego małżeństwo. Otóż ja wam powiadam, że tego małżeństwa nie będzie.

— A dla czego? — pytał znów Withof, hamując widocznie swoje uniesienie.

— Boś jest mościpanie nie szlacheic. Oto przypatrz się waszmość temu portretowi — wskazała chudą, kościstą ręką na owego w hiszpańskim stroju męża — to jest imci-pan Kalikst Janikowski, skarbnik radomski. On już dawno żył, będzie temu ze dwieście lat. Jego córka, także Teklusia, bo w tej familji zawsze najstarsze córki chrzczą imieniem tej świętej męczenniczki, zakochała się podobno jak i nasza Teklunia w jakimś mieszczaninie Krakowskim i pobrali się bez woli i wiedzy pana skarbnika. I cóż waszmość powiesz? Pan skarbnik kazał owego łyczka chwycić i ściąć go przez kata na rynku w Zwoleniu a pannę oddał na całe życie do klasztoru.

Mimowoli Withof i Teklusia spojrzeli na owego straszne skarbnika ciągle krwawo oświeconego przez zachodzące słońce. Jego surowa, groźna twarz, straszne brwi

zmarszczenie nad czarnemi, okrutnemi oczami, zdawała się na nich spoglądać w tej purpurowej poświacie słonecznej.

Teklusia zakryła twarz białemi rączkami i zdawała się łkać mocno, a Withof otrząsnąwszy się z chwilowego wrażenia, rzekł:

— To były inne czasy i inni ludzie. Dziś sam król, nie dopiero jakiś tam skarbnik, nie mógłby tak łaćno bez sądu ściąć głowy mieszczaninowi warszawskiemu.

— Jakto bez sądu? — przerwała panna Scholastyka swym zimnym, suchym nieco i spokojnym głosem, zajęta wciąż mocno pończochą — kto waści powiedział, że bez sądu? Sąd był mościpanie. Wiem ja dobrze, co w statutach mówią o porwaniu panny. To statut, a nie pan skarbnik ściął głowę owemu mieszczaninowi.

— Ale teraz inne czasy! — mówił Withof — teraz nikt nie uważa na jakieś tam szlachectwa. Tylko patrzeć jak stany Rzeczypospolitej zmieniają te rzeczy i wszystkich ludzi zrównają...

— Stany to uczynią! hm! hm! hm! — mruczała panna Scholastyka. — Nie widzi mi się to wcale, bo by to było bardzo głupie. Sam pan Bóg ustanowił szlachectwo, pan Jezus nawet, jak powiada ksiądz Anzelm z Sieciechowa był polskim szlacheicem, a wy chcecie to zmieniać co Bóg uczynił. Już mi tam wać tego nie gadaj. Gdzieby znowu stany Rzeczypospolitej mogły coś podobnego zrobić?

— Choćby nawet nie zrobiły tego, to powtarzam czasy są inne i wyobrażenia inne. Dziś już niema nikogo, chyba jakiś zaśniedziały szlacheic, coby uważał się za coś lepszego od nieszlacheica z edukacją i rozumem...

— Gadaj sobie wać zdrów! Wszystko to jest pięknem, ale co szlacheic to zawsze szlacheic. I wiesz, co ja

ci powiem mój mości panie? Oto mnie włosy pierwej wyrosną tu na dłoni, niż Teklusia będzie twoją...

Teklusia zapłakała głośno i wybuchając łkaniem, szepnęła:

— O! nie mów tego Scholasiu!

— A czemu ja nie mam mówić? Miłość, to jest taka choroba serca, że miłszą się staje, im przeszkody są większe. Obaczycie to, obaczycie! I co to za miłość, co się poznali, pokochali, pan ojciec i pani matka pobłogosławili i do ołtarza. Taka miłość zaraz ostygnie. Owóż, wy się sobie kochajcie i choć się nie pobierzecie, będziecie smutni zawsze, jak w książkach. Ty Teklusi! będziesz sobie wzdychała, rączki łamała, oczki zapłakała, jak w śpiewce i supiry czyniła. Taka białogłowa nazywa się heroina, ja to wiem; bo czytam książki, romanse.

Te rady starej panny, ten obraz melancholijnej heroiny romansu, nie pocieszał jednak wcale Teklusi. Ciągłe płakała.

— Panno Teklo — zawołał Withof — niech waćpanna temu wszystkiemu nie wierzy. Choćby tam nie wiem co było, my się pobrać musimy. Ja nie śmiałem waćpannie powiedzieć tego, że czuję dla niej afekt gorący, ale kiedy panna Scholastyka to powiedziała, to już i ja przytwierdzam z całego serca... Nie płacz waćpanna, proszę bardzo, bo mnie łzy waćpanny tak bolą, jakby mnie kto nożem krajał.

Usiadł przy dziewczynie, wziął jej białą rączkę i całował ją namiętnie.

— Wszystko to, co panna Scholastyka nam tu powiedziała, wszystko to jest nieprawdą. Co innego się widzi w Janikowie a co innego w Warszawie. Tam, żeby człek nie wiem jaki zaśniedziały, to przy tehnieniu świeżego po-

wietrza, nowych wyobrażeń, wypolerować się musi. Przecież to sejm jest, i my na niego jedziemy i wszystko zrobimy, co jeno zecheemy. Obaczy waćpanna. A gdy się to zrobi, to i pan chorąży, którego nie mam jeszcze honoru znać, ale który nie musi być takim zatwardziałym szlachciem, jakim go panna Scholastyka maluje...

— Gadaj waćpan zdrow! — wtrąciła się znowu panna Scholastyka. — Jakim jest pan chorąży, to ja wiem najlepiej, i żeby tam nie wiem jakie sejmy i jakie wyobrażenia nowe były, to on córki za mieszczanina nie da...

— Hm! — zauważył Withof — kiedy już mamy tak gadać, to należy, bym i ja też o sobie coś powiedział. Nie jestem ja znów taki mieszczanin pospolity. Withofowie od dwiestu lat siedzą już w Warszawie i do patrycyatu należą. Byliśmy kiedyś bardzo bogaci i gdyby nie mój stryj, który wstąpił do Jezuitów i cały majątek, krocie wynoszący, im zapisał, to bym ja był bogacz. Ale i tak nie jestem ja znów bez grosza. Mam pięć tysięcy dukatów u Teppera. Moja stryjeczna poszła za męża, za barona francuzkiego Riaucou-ra, a szlachcie to nie gorszy od wszystkich skarbników radomskich.

— Ej! farmazoński to jakiś szlachcie — rzekła no to panna Scholastyka — i waćpan sam stroisz się po farmazońsku, choć bogato. Widziałam ja twoje kamienie, twoje spinki i guzy, ale to zawsze strój niemiecki, a nie polski...

— Jest to strój oświeconego wieku — odparł Withof — ale jeżeli od tego ma zależeć moje szczęście, gotów jestem ubrać się w kontusz.

— Będzie to lepiej, choć mości panie kiepsko ty będziesz wyglądał w kontuszu i tem nie skaptujesz pana chorążego...

— Ja go tem kaptować nie myślę. Skaptują go nowe wyobrażenia, wielki akt, jaki się rozegra na sejmie. Obaczmy! ja jestem pewny siebie i choćby mi przyszło przez ogień i krew iść do panny Tekli—to dojdę,—tak mi Boże dopomóż!

— Po rycersku to waść mówisz i masz w sobie ducha rycerskiego, ale zawsze z tego nic nie będzie.

— Obaczymy, powiadam!

Tak sobie rozmawiali i Withof już prosił tylko Teklusi i panny Scholastyki żeby uczyniły to, by pani podkomorzyna jak najprędzej wybrała się do Warszawy.

— Delegaci od stanu miejskiego, od stanu trzeciego, jak to teraz we Francyi nazywają, lada chwila — mówił — zjadą się do Warszawy. Trzeba, żeby panie były. Ja bo mam taką plantę. Kiedy delegacya mieszczeńska przyjdzie na sejm i uczyni to, co będzie chciała, wtedy ja poproszę pana chorążego o rękę panny Tekli.

— O mój Boże! — zasłoniła znów zapłakaną twarzyczkę Teklusia.

— Jestem pewny, że chorąży się zgodzi. Kiedy stany sejmowe ulegną, czemużby pan chorąży nie miał uledeć?

— Bóg by to dał, ale mnie się nie widzi! — zauważyła panna Scholastyka.

— Ej! waćpanna bo czarno na świat patrzysz. I czemużby, powtarzam, pan chorąży nie miał się zgodzić? Gdzież jest taki człowiek, któryby nie zachwiał się w obec nowych, wielkich wyobrażeń?.. Takich ludzi na świecie nie ma. Zrobię ja to, że cała Warszawa, jak będzie trzeba, pójdzie do pana chorążego.

— Cała Warszawa? ejże?.. — zawołała panna Scholastyka — hetman Branicki hajdukami was wypędzi...

— Hetman Branicki? a cóż on ma do tego?

— A no, bo pan chorąży należy do jego partyi, do partyi „prawych republikanów“ jak sam gada. Słyszałam to nieraz.

Markotno się trochę zrobiło Withofowi na tę wiadomość. Wiedział on dobrze, jakie zacofane, ściśle szlacheckie i anarchiczne wyznawał przekonania hetman Ksawery Branicki i jego partyzanci. Ale nie tracił nadziei. On był najszcześliwszym z ludzi. Widział, że jest kochanym przez tę śliczną, niebieskooką Teklusię, a to mu wystarczało za wszystko. Niech się co chce dzieje, a ją mieć musi. Minęły już te czasy, kiedy pierwszy lepszy szlachetka mógł ścinać głowy mieszczanom. Jemu chorąży nie zetnie głowy, choćby pannę porwał nawet mocą. On żartuje sobie z tego, teraz szlachta niech się pilnuje ze swemi głowami, a nie mieszczanie. Wesół był więc cały wieczór, strzelał oczkami do panny i był w siódmym niebie. Otrzymałszy przyrzeczenie, że w kilka dni po nim panna wraz z ciotką przyjedzie do Warszawy, oraz umówiwszy się z Teklusią że ta nazajutrz po swem przybyciu będzie na rannej mszy u Bernardynów, pożegnał się z paniami.

Nazajutrz wyjechał z Pieprznickim do Warszawy, a wyjeżdżając zobaczył w oknie Teklusię ślącą mu nieme znaki pożegnania.

VI.

Warszawa niezwykłym w tym czasie wrzała życiem. Sejm szykujący się właśnie, słynny sejm czteroletni sprowadził do stolicy wszystkich prawie ludzi wybitniejszych

w kraju, wszystkich wreszcie którzy interesowali się jego losami. Marzono o odrodzeniu Rzeczypospolitej, o podparciu jej zmurszałych i chylących się do upadku ścian. Przez głowy i serca przebiegały jakieś świeże prądy, jakieś wielkie nadzieje, rozkoszne sny. Pulsa były przyspieszonym tętnem, krew goręcej przebiegała przez żyły, śniono najcudniejszą, potężną i szanowną przyszłość. Zawotowano stutysieczną armią i zdawało się, iż Rzeczpospolita z tą armią, na papierze dotąd, może już stawić czoło wszelkim niebezpieczeństwom i wszelkiej burzy. Niestety! marzenie to, ziścić się nie miało; i nikt w tem świetnym, błyszczącym, ożywionem mieście nie przypuszczał, że stoi w przededniu strasznej katastrofy.

Zaraz nazajutrz po swoim przybyciu do stolicy, Withof poszedł do sali sejmowej, żeby zobaczyć ojca swej ukochanej. Wskazał mu go jeden z posłów z województwa Inflanckiego, Kubicki, którego Withof znał jako gorącego zwolennika sprawy mieszczańskiej. Stary Janikowski siedział między posłami sandomierskimi milezący, w ciemne suknie ubrany, w kontusz czarny i żupan jakiś szary. Był to starzec już, chudy, szczupły, zawiędły, z wielkimi, szpakowatemi wąsiskami, łysy, wysoki tak, że kiedy wstał z ławy, to przenosił głową wszystkich innych. W ogóle patrzył on na męża pełnego powagi i surowości. Z pod dużych, nastroszonych brwi, siwiejących już trochę, spoglądał on groźnie na wszystkich. Zauważył przy tem Withof, że chorąży dawał jakieś znaki hetmanowi Branickiemu, który właśnie wszedłszy z trzaskiem do izby, oglądał się do koła i spostrzegłszy Janikowskiego kiwnął mu przyjaźnie głową. To oczywiście znamię należało, że pan chorąży należy do partyzantów hetmana, który był zaciętym wrogiem mieszczaństwa.

— Zły to znak! pomyślał sobie Withof jeżeli istotnie chorąży jest partyzantem Branickiego, to trudno będzie z nim dojść do ładu.

Nie należało wszelako rozpaczać. Zresztą w tej chwili Withof o tem nie myślał. Jemu ciągle tylko w głowie stały szafirowe oczy Teklusi, a przytem zajęty był mocno sprawą mieszczańską, losem stanu trzeciego, jak zwykł był za przykładem Francuzów mówić. Powoli zjeżdżali się delegaci i przygotowywano memoriał, który miano złożyć stanom sejmującym. Ponieważ Withof pięknie pisał, więc on memoriał ten kopiował i był obecnym na wszystkich naradach, jakie u prezydenta Dekerta w ratuszu na Starem Mieście się odbywały. Rojono sobie wielkie rzeczy i ogromne na wszystkich znać było ożywienie.

Withof nie omieszkiał też co dzień na ranną mszę zaglądać do kościoła OO: Bernardynów, choć spodziewał się przybycia Teklusi dopiero za parę dni; wszelako serce go tam ciągnęło—tam, gdzie miał swą ukochaną znów ujrzeć. Nie kiedy rozmyślał nad swem położeniem, a chociaż rozum mu mówił, że z małżeństwa tego nic być nie może, przecież nie rozpaczał, liczył na wypadki, na zmianę wyobrażeń odbywającą się w świecie, na przewagę, jaką począł zyskiwać na zachodzie stan trzeci.

— Czas już niedaleki—mówił sobie—gdy z nami rachować się będą musieli, a rachując starać się o nasze względy. A wtedy... Zresztą chorąży niepodobna, żeby się zbyt mocno opierał, jeżeli kocha swą jedynaczkę.

Przepytował on się o tego chorążego u znajomych sobie posłów, Kublickiego, Niemcewicza, Weissenhofs. Ci jednak nie wiele mu umieli powiedzieć, Mowili, że Janikowski należy do tak zwanej partyi republikańskiej, a wła-

ściwie anarchiczej, że wreszcie jest osobistością weale nie wybitną, na sejmie rzadko się odzywa, a jeżeli się odezwie, to zwykle krótko i nie jasno. W końcu nie wiele go osób znało. Uchodził za człowieka surowego, upartego i ciasnego umysłu. Był zamożny, ale nie bogaty. Z posłami nie wiele się komunikował. Od czasu przyjazdu hetmana prześadywał u niego prawie ciągle, a nawet podobno mieszka w pałacu.

To było wszystko, co się mógł Withof dowiedzieć o ojcu Teklusi. Wkrótce atoli miał go lepiej i z bardzo smutnej strony poznać.

Trzeciego dnia po jego przyjeździe wezwał go do siebie pan prezydent miasta Dekert. Było to nad wieczorem i posłaniec mówił, że pan prezydent czeka niecierpliwie na przybycie Withofa. Żywo pospieszył na to wezwanie. Dekert mieszkał wówczas w ratuszu, stojącym na środku rynku staromiejskiego. W wielkiej sali radnej zastał prezydenta, kilku wybitniejszych mieszczan, Mędrzeckiego, Barsa, bankiera Teppera, Paschalisa i innych. Zgromadzenie było bardzo poważne i wszyscy siedzieli koło wielkiego stołu, zielonym suknem pokrytego, zarzuconego papierem i książkami. Dwie woskowe świece słabo oświecały tę wielką, trochę przyciemną salę, o wysokim łukowatym sklepieniu o oknach ukrytych w szerokich niszach. Wśród wielkich cieni, włóczących się po kątach, błyszczały tu i owdzie złoczone ramy portretów zawieszonych na ścianach, a z ram tych przy niepewnym blasku migotały wąsate, groźne, lub też w wielkie peruki przystrojone postacie prezydentów, rajców, marszałków wielkich koronnych i królów. Sala była mroczna, trochę wilgotna i posępna. Cisza w niej pano-

wała; słychać było tylko szelest papierów, przerzucanych niespokojną ręką Barsa i wrzawę miejską, uliczną.

Sam Dekert siedział na wielkim, prezydenckim krześle, bokiem obrócony do stołu, wspartą mając głowę na białej, w koronki ubranej ręce i czytał coś cicho, kręcąc się niespokojnie, do ucha Barsowi. Prezydent był już nie młody człowiek, ale w samej sile wieku. Liczył zapewne nie więcej nad czterdzieści kilka lat. Ubrany był całkiem czarno, we frak, długą kamizelkę atłasową, takżej pludry, czarne jedwabne pończochy i trzewiki ze srebrnymi sprzączkami. Od tej czarności dziwnie odbijały śnieżnej białości żaboty, suto koronkami obszyte, takżej rękawy i wielka peruka na głowie, obficie pudrem obsypana. Na ręce, na której się wspierał, jasno oświeconej od świec, błyszczał tylko wielki sygnet z krwawnikiem. Zresztą w całym tym stroju poważnym, surowym, trochę smutnym i żałobnym, nie widać było nigdzie żadnych ozdób, żadnych świecideł, nigdzie ani odrobiny nawet złota. Odwrócony bokiem od światła ukazywał swój piękny profil. Twarz to była spokojna, okrągła, biała, starannie wygolona, a wielkie, niebieskie oczy świeciły powagą, dobrocią i rozumem. Na ustach rumianych jeszcze i świeżych wieszał się lekki, do brotliwy uśmiech.

Na trzask otwierających się drzwi żwawo zwrócił się i spostrzegłszy Withofa wołał głosem miękkim, pełnym ujmującej słodyczy.

— Ach! to ty Adasiu! nakoniec doczekaliśmy się ciebie.

— Jak tylko pacholek przyniósł mi nakaz, zaraz przybiegłem — tłumaczył się Withof.

— Proszę ja ciebie — rzekł Dekert, nie słuchając wcale tłumaczenia i nerwowym ruchem przerzucają papiery na stole — proszę ja ciebie, weźmiesz oto to memorandum, pięknie dziś jeszcze przepiszesz i jutro stawisz się tutaj o godzinie 10-ej rano.

To mówiąc wyciągnął z pośrodku papierów, jakiś skrypt i podał go Withofowi.

— Ubierzesz się czarno, całkiem czarno, bez żadnych świecideł. Ot tak jak ja i stawisz się tu o dziesiątej rano. A przepiszesz pięknie.

— Trzeba przecie panie prezydencie — wtrącił grubym, basowym głosem Mędrzecki. ażeby imci pan Withof wiedział, o co idzie. Łacniej mu będzie przygotować się jak należy.

— Tak, tak... pan prezydent musi powiedzieć! — powiedział z wyraźnym cudzoziemskim akcentem bankier Tepper, mężczyzna ogromnego wzrostu ubrany w karmazynowy, aksamitny frak ze złotymi guzami, w białą kamizelkę suto szytą złotem, cały z resztą kapiący od złota i świecideł.

— Słuchajże — ozwał się na to Dekert do stojącego wciąż w środku sali Withofa — i zapamiętaj dobrze, co ci powiem.

Poruszył się niespokojnie na krześle wstał wreszcie, odsunął ciężki sprzęt nogą i żwawo podbiegł do Withofa, wziął go za guz od fraka i mówił swym żywym, miękkim, słodkim głosem.

— Proszę ja ciebie... widzisz... my jutro rano o dziesiątej jedziemy w deputacy do pana hetmana koronnego. Wszyscy deputaci miejscy, którzy już są w Warszawie, pojedają. Ławą, ławą trzeba iść, bo inaczej nic nie będzie..

Puścił guzik od fraka Withofa, odwrócił się, założył ręce w tył i począł się przechadzać po sali niespokojnie, z głową spuszczoną, jak gdyby wielkie jakieś myśli się tam kotłowały.

— Ja zawsze mówię, że tylko ławą się coś uczyni. Panie Mędrzecki! — nagle zawołał zatrzymując się na środku sali — czytałeś Waś ostatnią Gazetę kolońską?

— Nie, nie czytałem.

— A to proszę ja ciebie, wielkie są zmiany! wielkie! Przywieźli mi ją z Gdańska. Hm! powiadam ci, bodaj to Francuzi! Cały stan trzeci trzyma się kupy, jak jeden mąż i on dziś rządzi tem królestwem. I u nas tak trzeba. Jenó zgodą można coś uczynić. Każę poszukać i dam ci tę gazetę! Przyślę ci ją dziś jeszcze!..

— Panie prezydencie, przerwał mu Bars, człowiek niski, krępy, okragły i mówiący spokojnie, panie prezydencie, później będziemy rozgadywali się o Francyi a teraz trzeba myśleć o Polsce. Powiedźże waszmość wszystko jak należy imcipanu Withofowi.

— Albożem mu już nie powiedział?

— A nie!..

— Patrzajcież! z kretesem zapomniałem, ale bo tyle mam na głowie. Król jegomość dziś wzywał do siebie księdza referendarza... i nie wiem co tam gadali, więc jestem niespokojny, jakbym stał na rozżarzonych węglach. Mój Adasiu, proszę ja ciebie, przepiszesz że pięknie ten skrypt i przybądź tu jutro o dziesiątej rano, pojedziemy do hetmana...

— Warto, żeby imcipan Withof — wtrącił Bars — przyuczył się gładko i płynnie czytać owe memorandum. Wiedź że bo, mój mości panie, że je będziesz czytał hetmanowi.

— A tak! tak! będziesz je czytał, mój Adasiu — zawołał Dekert. — A czytaj go pięknie, żeby wzruszyć serce tego człowieka. On nam dziś najwięcej bruździ. I powiadam waszmościom, obrócił się do obecnych, że jeżeli kogo, to najwięcej się obawiam hetmana.

— Bajki! — ozwie się na to Bars. — Hetman nie ma popleczników na sejmie, a jeśli ma to niewielu i nie nie znaczących. Obawiać się go niema czego, choć polityka nakazuje, że lepiej go mieć za sobą, jak przeciw sobie...

— Otóż to — zawołał Dekert.

— Ale, z drugiej strony — ciągnął dalej Bars — jak nie będzie chciał, to niech nie chce. Nastraszyć go można i nastraszymy go. To jest odwieczna prawda, historią stwierdzona, że gdzie perswazyja nie może, tam krew i miecz swoje zrobi..

— Herr Jezus! co też pan Bars gada! — zawołał Tepper widocznie przerażony, podnosząc ręce do góry.

— A dobrze gada! — odezwał się Dekert — dobrze gada i ja za nim jestem. Co tu po próżnicy w umizgi się bawić? Świat winien do nas, do stanu trzeciego należeć i będzie należał! Ot co jest.

Znowu zaczął chodzić niespokojnie po sali a spos-trzegłszy Withofa, który tymczasem przerzucał wręczony mu skrypt, zawołał:

— Mój Adasiu idź że już, idź i przepisuj. Czasu masz nie wiele i przygotować się trzeba, jak należy. A ubierz się czarno, proszę cię bardzo. No idź już, idź!

Withof w milczeniu skłonił się zebranym i wyszedł. Kiedy stapał po schodach przypomniał sobie o jutrzejszej rannej mszy u Bernardynów i o tem, że chcąc być u hetmana nie może być na mszy.

Co tu czynić? stanął i pytał samego siebie. Stał tak na schodach i myślał a mały kaganiec, zawieszony u sklepienia migotał mu czerwonym blaskiem po twarzy. W końcu wolno, z głową spuszczoną ruszył naprzód.

VII.

Withof mieszkał wprost ratusza w wąskiej kamienicy, gdzie zajmował całe pierwsze piętro, złożone z trzech pokoi. Wrócił smutny trochę. Noc była brzydka, ciemna, dżdży-sta. Wielkie mgły włóczyły się po rynku staromiejskim jak widma, a w ich płaszczu szarym i mętnym kamienice rysowały się ze swemi zębatami szczytami, z jasnymi światłami w oknach, jak fantastyczne jakieś potwory. Latarnia stojąca przed ratuszem słabo oświecała ponure ciemności nocy listopadowej. Wiatr wył przeciągle po ciasnych uliczkach.

Withof szedł klapiąc po błocie smutny i zamyślony. Spodziewał się, był prawie tego pewnym, że jutro chorążanka będzie na niego czekała na mszy porannej w kościele Bernardynów. Być może, że ukochana jego jest już w Warszawie, a on jej nie będzie mógł zobaczyć, nie stawi się na umówioną schadzkę. Stanął na środku rynku i myślał. Drobnym kapuśniaczek smagał go po twarzy. Co on teraz zrobi? nie może, za nic w świecie nie może tej schadzki opuścić. Co by sobie o nim pomyślała chorążanka, w jakim świetle by się jej przedstawił?

Z drugiej strony niepodobna, żeby się nie znajdował jutro w gronie delegatów miejskich, mających stanąć przed

hetmanem. Ma czytać memoriał, ma go przepisać i gdyby na czas nie stanął, wszystko by popsukał. Tamto przecie jest sprawą prywatną, a to drugie publiczną.

Kroplisty pot oblażył mu czoło i czuł jak krew gorąca bije mu do głowy. Co robić? co robić? w tej strasznej alternatywie? Tu serce ciągnie go, a ciągnie gwałtownie ku cichemu kościołowi Bernardyńskiemu, tam rozum nakazuje mu stanąć w pałacu Hetmańskim. Szedł wolno z głową spuszczoną, ściskając konwulsyjnie ręką memoriał, wręczony mu przez prezydenta. Odzywała się w nim ambicja. W głowie poczęły mu się rysować wielkie fakta rozgrywające się we Francji. On może odegrać także wielką rolę. Kto wie? może zdoła zmienić losy i kolejność tej Rzeczypospolitej.

Gdy stanął w progu swego domu, szeptał do siebie:

— Niech się co chce dzieje, ja muszę być u hetmana.

Postanowienie to ulżyło mu na sercu. Swobodniej biegł już teraz po schodach. Wpadł jak wichur do antykamery, gdzie drzemał na ławie jego służący, zrzucił płaszcz i znalazł się w dużej komnacie, w której na kominku palił się ogień, a przed kominkiem siedział na pół rozebrany Pieprznicki i ziewał straszliwie. Lubelski delegat mieszkał u Witthofa, gdyż w owym czasie, w dobie sejmu łatwiej było o złoto w Wraszawie, jak o mieszkanie. Leniwie Pieprznicki podniósł zaspane trochę oczy, ziewnął potężnie i rzekł:

— Gdzieżeś chodził mój Adasiu! chciałem już pójść spać nie czekając na ciebie.

— A to byłbyś głupio zrobił—zawołał Witthof—bardzo głupio, bo właśnie ja muszę z tobą pogadać.

— No, to gadaj, bo ja już ledwie siedzę, ufi! ziewnął znowu, jakże mi się przykrzy w tej Warszawie. I wiesz co Adasiu?

— Nie nie wiem.

— Boję się, żeby mnie ten szelma Dydak nie okradł.

— Jaki Dydak?

— Albo go nie znasz? mój dyspozytor.

— Pal go djabli!

— Ba, dobrze ci tak gadać, kiedy sklepu nie masz. Ale ja to się boję I powiem ci szczerze, że gdyby nie ty, nie byłbym tu przyjeżdżał. Co ja tu będę robił? To wszystko funta kłaków nie warte. Jak Boga kocham tak prawda. Wymyśliście tam jakiś stan trzeci, prawa człowieka, bo ja wiem wreszcie co? ki djabli! a nam co potem? Jesé mi to nie da i ja się tu będę bawił w faramuski, a tam w Lublinie ten hultaj Dydak mię okrada. Wiesz o co głównie się boję?

— Nie wiem — odpowiadał Witthof zajęty zapalaniem świec woskowych i rozkładaniem papierów na stole.

— Bo to widzisz, akurat przed twoim przyjazdem, przysłali mi z Wrocławia dwie skrzynie rodzyneków.

— Rodzyneków?

— Ba! ale jakich rodzyneków! Jak korona polska tak nikt takich rodzyneków u nas nie widział.

— Ee?

— Jak Boga kocham! złoto powiadam ci, czyste złoto. One pochodzą z kraju, co się nazywa Spanien...

— Z Hiszpanji?

— A może! doskonale są rodzynki. Sprzedałem ich zaraz panu Szydłowskiemu z Werbkowic trzy funty, funt po dukacie! I boję się, żeby ten szelma Dydak...

— Słuchajno Dominiku! — przerwał mu nagle Witthof — mam do ciebie wielką prozbę...

Stan trzeci.

— Proźbę masz do mnie? Jakaż to? Może chcesz, żebym ci przysłał tych rodzyneków? Czemu nie?

— Pal diabli wszystkie rodzyнки na świecie!

Usiadł przy panu Dominiku, oparł mu rękę na kolanie i mówił swym żywym, ostrym, przenikliwym głosem:

— Słuchajże mnie pilnie. Ważną mi zrobisz przysługę. Widzisz, zanoszą się tu na wielkie rzeczy. Ja całą noc będę siedział i będę przepisywał memorandum, z którym jutro pójdziemy w delegacji do imcipana hetmana wielkiego.

— A ja nie pójdę do hetmana za nic w świecie! — zawołał z zabawnym przest్రachem Dominik.

— Cóż to? boisz się go?

— A boję! Co mam łączyć? to taki człowiek, że go się bać trzeba. Widziałem go w Lublinie... nie pójdę, nie pójdę i basta!

— O to też właściwie idzie, żebyś nie chodził.

— A więc cóż chcesz?

— Widzisz to taka jest rzecz. Jutro, a nawet dziś może przyjechała do Warszawy panna chorążanka?

— Jaka panna chorążanka?

— Cóż u diabła? — zerwał się Withof — czy ci twoje rodzyńki wszystkie inne myśli wypędziły z głowy? Mówię o pannie Janikowskiej.

— A! no, to tak gadaj. Panna chorążanka. Czy to jedna jest w Polsce panna chorążanka?

— Słuchajże więc. Umówiliśmy się, że nazajutrz po jej przyjeździe zejdziemy się na rannej mszy w kościele Bernardynów,

— Kto się umówił?

— Kto? kto? no, ja i ona...

— Jaka ona?

— Bodaj cię kat spalił! Nie rozumiesz, czy co?

— Jak Boga Kocham nie rozumiem! spać mi się chce tak, że ledwie siedzę...

— Zaraz pójdziesz spać, jeno ci wprzód wszystko wyłożę. Aj, jakże ty masz tępą mózgownicę, mój Dominiku.

— Ale! tępa!..

— Otóż, umówiłem się ja z panną chorążanką...

— Z chorążanką — poruszył się żwawo na krześle Dominik — patrzajże! to już tak daleko zaszło? Schadzki z nią masz! Fiu! fiu! flu! Anim się tego spodział! Jak Boga Kocham... Ale wiesz ty co Adasiu, pluń ty na to wszystko.

— Na co?

— A na te amory. Z tej maki nie będzie chleba.

— Czemu?

— A nie będzie! jak amen w pacierzu nie będzie. Gadałem ja dzisiaj o tem z Kwiatkowskim...

— Z jakim Kwiatkowskim? — skoczył Withof.

— A z tym... znasz go przecie... cośmy to z nim pili w Janikowie, marszałkiem czy tam jak?..

— To on tu jest w Warszawie?

— A jest!.. spotkałem go w winiarni u Fukiera...

— Kiedy?

— Dziś po południu. Piliśmy sobie setnie i samą jeno małmazę...

— Więc i panna chorążanka jest w Warszawie?

— A tego nie wiem, nie gadał mi tego. Ale czkajno, ja ci coś powiem...

Poprawił się na krześle, wyciągnął nogi w złotych butach ku ogniu i począł mówić, nie zważając wcale na straszny niepokój Withofa.

— Powiedziałem ci, że z tej mąki nie będzie chleba i o to z tej racyi. Kwiatkowski opowiadał mi, że kiedy chorążemu pani podkomorzyna powiedziała o naszym pobycie w Janikowie i jak nas tam przyjmowano, szlachcie wpadł w okrótną pasję. Psami ich było wyszczuć wołał, mieszczańskie synki. Oni tu rokosz chcą podnieść, delegaci! Dałbym ja im delegacyą aż by drzazgi leciały.

— Tak chorąży mówił?

— A tak. Okrutnie się sierdził i wygrażał nam a kiwał palcem w bucie. Wielka mi persona jakiś chorąży! Nie stoję ja o niego wcale...

— Więc i podkomorzyna jest w Warszawie?

— Ano jużci, musi być kiedy gadała ze swym bratem.

— To i chorążanka jest?

— A! widać... Kwiatkowski mi opowiadał, że kiedy chorąży się tak szurzył i burezał, to pannie chorążance po białem liczku łzy jak groch kapały.

— Płakała?

— Ano... chyba...

— Aa! — jęknął Withof i zakrywszy twarz rękami począł chodzić po całej komnacie krokiem niespokojnym, nerwowym. Pieprznicki siedział tymczasem nieruchomy przy ogniu i prawil:

— I dla tego to ja ci mówię, mój Adasiu, że z tej mąki chleba nie będzie. Janikowski jest strasznie na mieszczaństwo i na ciebie zażarty. Kwiatkowski podejrywa, że mu tam ktoś szepnął coś do ucha o twoich amorach z pannienką. Widzieli podobno, jakeś ją całował po rękach. Chorąży aż skakał ze złości. Zwymyślał córkę, zagroził jej klasztorem, zwymyślał podkomorzyńkę, nawet pannę Scholastykę. To Kwiatkowskiego tak dotknęło, że poszedł pie

do Fukiera. Więc my sobie pili, ale samo słodkie winko, małmazyę...

Withofowi serce się krajało. Więc chorąży wie o wszystkim, więc tak stoi jego sprawa. Boże mój, co się tam dzieje w duszy tej biednej dziewczyny! myślał sobie. Latał po izbie jak szalony, stękając głośno, klnąc niekiedy, najdziwaczniejsze rojąc projekta. O! on ją musi zobaczyć, nie pójdzie jutro do hetmana, niech djabli wezmą wszystkie memoryały i wszystkie stany trzecie!

— Nie wiesz kiedy przyjechali? — zapytał nagle Pieprznickiego.

— Nie wiem, nie gadał mi o tem Kwiatkowski.

— A niechże ciebie jasny piorun trzaśnie, jakiś ty tępy! Wiesz, jak mię to wszystko serdecznie, głęboko obchodzi i mówisz o tem tak spokojnie, jak o swych rodzajkach. Niech djabli wezmą taki temperament melankoliczny.

Pieprznicki na to obrócił się do Withofa i wpatrzył się w niego swemi dużemi, blademi oczami z wyrazem widocznego zdziwienia.

— Czego ty chcesz odemnie, mój Adasiu? — zapytał w końcu głosem łagodnym.

— Czemuś się nie dowiedział kiedy przyjechali?

— Hm! na myśl mi to nie przyszło. Ale ja kalkuluję z różnych napomknień Kwiatkowskiego, że dziś rano stanęli w Warszawie... Tak mi się widzi...

— A niewiesz, gdzie mieszkają?

— W pałacu hetmańskim mieszkają!

— A to bal! — zawołał Withof i znów począł chodzić niespokojnie po komnacie.

Teraz, to już musi pójść jutro z delegacją do hetmana. Kto wie, co się stać może? A nuż zobaczy Teklusię. A przytem nie można z góry przesądzać, jaki wpływ na hetmana wywrze delegacja, a jeżeli hetman się ułagodzi, da się przekonać, to i wszyscy jego poplecznicy, cała „zgraja hetmańska“ jak nazywano wtedy w Warszawie stronników Branickiego, musi pójść za swym panem. Jeszcze nie straconego! wołał do siebie Withof. Wszystko zależy od jutra. Nadzieja znowu wstąpiła mu w serce, rozjaśniła mu się twarz. Zacierał ręce z radości. Siądzie zaraz i przepisze pięknie memorandum mieszczańskie, a jutro przeczyta je w obec hetmana. O! będzie miał taki głos, że skały poruszy. Zapewne na przyjęciu delegacji znajdować się będzie i chorąży Janikowski. Zobaczy go więc, i jest prawie pewnym, że zyska na stronę nowych idei, nowych myśli, nieśmiertelnych praw człowieka.

Z rozpromienioną twarzą przystąpił do Pieprznickiego.

— Mój Dominiku, jeżeli mię kochasz choć odrobinę, pójdziesz jutro na mszę ranną do Bernardynów.

— Dobrze, pójdę kiedy chcesz. Ja i tak codzień rano chodzę na mszę do Fary, ale jutro pójdę do Bernardynów. Wszystko to przecie jedno.

— Rozumie się, że jedno. Będzie tam zapewne Teklusia...

— O! chorążanka!

— Tak! obaczysz się z nią! i powiesz jej... powiesz... albo czekaj!

Porwał się na równe nogi.

— Ja napiszę małeńki kartelusz i ty go jej oddasz. Tylko tak, żeby nikt nie widział, rozumiesz mój złoty, srebrny Dominiku.

— Dobrze! dobrze! przygotuj kartelusz, przecie mam ja głowę. Od czego rozum? Kiedy tak prosisz, to uczynię wszystko co chcesz, choć powiadam, że to psu na budę się nie zda. No, dobranoc. Dasz mi jutro kartelusz.

Ziewając i przeciągając się wyszedł do swej sypialni.

VIII.

Nazajutrz obaj młodzieńcy od samego rana zajęci jeno byli strojeniem się. Withof ubrał się czarno w perukę i wielką kryzę hiszpańską, w płaszczyk atlasowy i takież pludry, ukryte w jedwabne pończochy i trzewiki ze srebrnymi sprzączkami. Oprócz tych sprzączek i wiszących także srebrnych łańcusków od zegarka, nie miał na sobie żadnych więcej klejnotów. Ze swą bladą twarzą, ognistemi czarnemi oczami, nosem ostrym i rumianemi usty, w tym posępnym stroju wyglądał dziwnie, poważnie i surowo. U boku wisiała mu cienka szpada także w czarnej pochwie i z ciemną, porcelanową rękojeścią.

Pieprznicki nie mniej suto, choć za to weselej się ubrał. Chciał się pięknie przedstawić chorążance. Więć wdział na siebie dostatni kontusz karmazynowy z sajety, wdział wielką delję sobolami podbitą, i takiż kołpak na głowę. Wyglądał jak wojewoda co najmniej.

Withof dał mu małeńki kartelusz.

— Mój Dominiku — zaklinał go — zmiłuj się tylko ostrożnie! Jużci przecie panna Teklusia sama nie przyjdzie do kościoła, jeno z kimś, z ciotką albo panną Scholastyką. Z tą, to jeszcze nie byłoby biedy, choćby nawet

widziała kartelusz, ale z podkomorzyną... nie daj Boże! Bądź że więc ostrożny, zaklinam cię na wszystkie świętości!

Rozeszli się nakoniec, uścisnęli za ręce i Withof z trójkątnym kapeluszem pod pachą, z memorandum w ręku, przeskakując w swych trzewikach błoto na rynku, pobiegł do ratusza, gdzie już karoca za karocą zajeżdżała, zwoząc panów delegatów mieszczańskich. a Pieprznicki do kościoła Bernardynów na ranną mszę, modną podówczas w Warszawie. Na mszę tą, zwłaszcza w dni świąteczne, ściągali się sam kwiat towarzystwa Warszawskiego, wszystkie wielkie damy, w futerkach, pozakrywane welonami, strzelając oczętami na stojących paniczów przy ławkach, zbiegały się do poważnej świątyni niby na modlitwę, a właściwie dla intryg, dla obejrzenia się wzajemnego.

Dziś był to dzień powszedni i do tego dżdżysty i zimny. Przez całą noc drobny deszcz padał i błoto na ulicach, niebrukowanych wcale lub brukowanych źle, w wielu miejscach było nie do przebycia. Mgła wciąż kłębiła się po mieście, mrząc szkaradnie i wieher zimny, przenikliwy przeciągał przez ulice.

Pieprznicki, stanąwszy w progu domu i spostrzegłszy błoto, któreby na nie zniszczyło jego piękne, safianowe, złote buty, namyślił się i posłał służącego Withofa po remizę. Tymczasem oczekując i nie chcąc już wchodzić na piętro, patrzył na zjeżdżających się do ratusza delegatów miejskich. Karoca za karocą zajeżdżała i z niej wyskakowali jeden po drugim czarno ubrani delegaci i znikali w wielkiej, ciemnej sieni ratusza. Tłumy ludu, gapiów wszelkiego rodzaju przypatrywało się temu widowisku. Mnóstwo kobiet, prostych mieszczek w czepecach i kacabajkach przeciśnięło się tuż pod sam ratusz i głośno wydawały swe sądy.

— Istne djabyły! — wołała jedna.

— Niemcy!

— Farmazoni!

Straż marszałkowska musiała rozpędzać to zbiegowisko, a baby wymyślały pacholkom i wygrażały im pięściami. Widowisko to bawiło Pieprznickiego; nareszcie i po niego karoca zajeżdżała, siadł i kazał ruszać do kościoła Bernardynów.

Msza się już rozpoczęła, choć kościół zapewne z powodu brzydkiego dnia, był prawie pusty. Kilka starych dewotek w czarnych jubkach modliło się po ławkach, trzech czy czterech nie młodych kontuszowców mówiło pacierze; w środkowej nawie klęczał żołnierz z gwardyi koronnej, dziad jakiś obdarty głośno się modlił, głośniejsze jeszcze wzdychał i bił się w piersi, to i wszystko. W kościele od mrocznego dnia mroczne włożyły się cienie, tłukły po kątach i wieszały u wyniosłego sklepienia. Przez okna padał błady, mętny blask na złoconych aniołów, na nerwowo powyginane postacie świętych, na złocistą gwiazdę na piersiach żołnierza. Pieprznicki wsunął się cicho, usiadł w ławce przy drzwiach i począł mówić pacierze. Do kościoła mało kto przybywał, choć czas płynął. Panowała tu cisza, tylko słychać było od ołtarza głos księdza, odprawiającego mszę, głośne westchnienia dziada, szepty dewotek i ponury głos organów, odzywających się od czasu do czasu. Niekiedy przez otwarte drzwi od korytarza prowadzącego na ulicę wpadał trzask przejeżdżających wozów, głuchy gwar życia miejskiego.

Pieprznicki zmówił już dwa pacierze i napróżno ogłądał się na drzwi wchodowe, nikt się nie pojawiał.

— Dziś już nie będzie! — mówił sobie — napróżno oto stroiłem się i marznę tutaj.

Kiedy sobie tak myśli, nagle zdało mu się, że słyszy turkot karocy, która jakby zatrzymała się przed kościołem, a zaraz potem po kamiennej posadzce korytarza rozległy się ciche kroki, szelest sukien i we drzwiach kościoła ukazała się Teklusia i panna Scholastyka.

Teklusia ubrana była w jubkę kunami podbitą, otulona do koła futerkiem, śliczna jak zawsze i zaczerwieniona jak wiśnia. Wszedłszy, żywo obrzuciła oczami cały kościół i spotkała się ze wzrokiem Pieprznickiego, który wzruszony sam niewiedząc czego, zerwał się w ławce, zaczerwieniał jak burak, i znowu usiadł. Szczęściem panna Scholastyka owinięta futrami i szalami nie widziała tego, zwłaszcza, że zaraz przy drzwiach przyklęła i bijąc się w piersi, modliła.

Pieprznicki jednak szybko oprzytomniał. Podniósł futrzany kołnierz od swej delji, że mu twarz zupełnie zakrył i będąc pewnym, że go Teklusia widziała, starał się już o to tylko, żeby go panna Scholastyka nie zobaczyła. Wyszedł z ławki i stanął przy niej, czekając aż obie kobiety się podniosą i pójdą dalej. Co chwila rzucił z ukosa wzrokiem na Teklusię, i znowu się ich oczy spotkały. Nieznaczenie pokłonił się głową i otrzymał za to na podziękowanie śliczny uśmiech różowych usteczek.

— Że ładna bestyjka to ładna! — myślał sobie — Adaś ma oczy!

Ścisnął konwulsyjnie kartelusze w rękę. Właśnie obie kobiety się podniosły i szły dalej w głąb kościoła, panna Scholastyka nieco naprzód, a za nią Teklusia, zapewne umyślnie pozostając bardzo w tyle. W chwili gdy przechodziła koło Pieprznickiego spojrzała na niego wyrazistemi

oczętami z błękitu i otworzyła usta, jakby chciała o coś zapytać; Pieprznicki jednak nie czekał na to, tylko wsunął jej w rączkę kartelusze, szepecząc:

— Od Adasia!

Dziewczyna oblała się całą krwią i zachwiała, jak gdyby nogi odmówiły posłuszeństwa. Ale opanowała się zaraz i poszła za panną Scholastyką, która usiadła w ławce. Koło niej pomieściła się Teklusia i zdawała się gorąco modlić. Nie obejrzała się już ani razu na Pieprznickiego, który widząc że misyą swą spełnił, poczekał jeszcze ze dwa pacierze i wyszedł z kościoła.

— Dobrzem się spisał! — mówił sobie zadowolony siadając do karocy — nikt nie widział, chyba jeden Pan Bóg. Withof będzie kontent, ale to wszystko psu na budę się nie zda. Dzieweczka ładna, bo ładna i oczy ma jak gwiazdeczki, a buzia!.. pi! pi! pi! ale cóż, kiedy mu jej ten szlachcie nie da! Pal diabli wszystkich szlachciców. Ale mi Adasia szkoda. Chłop dobry, do rany go przyłożyć i mądry, jeno ma trochę we łbie przewrócone z tym jakimś stanem trzecim. Zmarnuje się tylko przez to kochanie.

Tak sobie gadał Pieprznicki wracając do domu. Właśnie karoca jego na ulicy Świętojańskiej napotkała cały szereg panów delegatów, jadących do hetmana. Powozów tych naliczył Lublinianin dwadzieścia dwa. W jednym z nich mignęła mu się twarz Withofa, jak siedząc przeglądał swój skrypt, a koło niego Dekert coś gadał. Pieprznicki przypatrzył się temu, wrócił do domu, rozebrał się i kazał sobie nagotować wino z korzeniami.

— Na taki psi czas — gadał sobie — to najlepsza rzecz wino grzane z korzeniami. To przerzuje od wszelkich chorób.

Siedział więc w ciepłej komnacie i popijał swe wino, przemyśliwając nad tem, ile mu też rodzyneków hiszpańskich skradnie w Lublinie ten hultaj Dydak.

Tymczasem, kiedy tak Pieprznicki rozmyśla, Teklusia otrzymawszy kartelusz od niego, chwiejącym krokiem poszła do ławki za panną Scholastyką. Bładła i czerwieniała na przemian, a małeńka kartka paliła ją w rączkę. Przechodziły ją wszystkie ognie i myślała nad tem, dla czego sam Adaś nie przyszedł do kościoła. Ona go chciała tylko zobaczyć, nacieszyć się jego widokiem, niczego więcej nie pragnęła. Z taką radością przybyła do Warszawy, oddychała tem samem, co jej ukochany powietrzem, a choć zaraz wczoraj przecierpiała wielką burzę od ojca i całą noc przeplakała, przecie cieszyła się tem, że dziś obaczy Adasia w kościele. Tymczasem ukochany nie przyszedł, tylko przysłał kartelusz. Czy chory? czy mu się co stało? Siedziała jak na rozpalonych węglach i mięła niecierpliwie liścik Withofa. Ona musi ten list przeczytać zaraz, nie wytrzyma, nie może wytrzymać. Kto wie, co się dzieje z jej ukochanym. Coś strasznego się stać musiało, kiedy on nie przyszedł.

Rzuciła okiem na pannę Scholastykę. Ta siedziała nad ołtarzykiem Złotym, książką zabrudzoną i starą, w okularach na oczach, zajęta tylko modlitwą. W kościele też pustym prawie, nikt na obie kobiety nie zważał. Nieznacznie rozwinęła liścik, wsunęła go w książkę od nabożeństwa i zarumieniona, drżąc, rzucając co chwila wzrokiem na swą towarzyszkę, otworzyła książkę. Pierwsze wyrazy, jakie przeczytała, olśniły ją. „Najdroższa, najukochańsza Tekluniu, serca mojego jedyna pociecho!“ Zarumieniła się cała i o mało, że głośnym nie buchnęła płaczem. Łzy jej

ciekły po białej twarzyczce, którą ukryć musiała, pochyle niem się na ławkę. Upłynął kawałek czasu nim przyszła do siebie. Spojrzała po kościele. Nikt na nią nie uważał, wszystko było jak przedtem. Była to dla niej wielka ulga, bo zdawało jej się, że wszyscy na nią patrzą, nią tylko są zajęci. Panna Scholastyka wciąż modliła się gorliwie.

Nakoniec spojrzała znowu na list. O! jakże pięknie do niej pisze, jakimi słodkimi słowami, ile tkliwości w każdym wyrażeniu, jakże on ją gorąco kocha! Choćby umrzeć miała, to go nie zapomni nigdy i tylko jego żoną będzie. Co ją obchodzi szlachectwo, jakieś przywileje, bogactwa, stany, Rzeczpospolita. Ona kocha tego bladego, melancholijnego chłopca i musi być jego żoną, przysięga to sobie tu w kościele, przed ołtarzem Pańskim.

Czytała i odczytywała list. Pisał jej, dla czego nie może przyjść do kościoła, że zatem uprosił Pieprznickiego, by ten list jej oddał. Że postara się jutro być koniecznie, że ją kocha, kocha nad życie, że wie co się wczoraj działo, ale że martwić się nie należy. Los ich zobopólny, szczęście zależy od tego, jak stany sejmujące zapatrywać się będą na sprawę miejską, że jeżeli wszystko tak pójdzie jak on myśli, to nie będzie żadnych przeszkód, że się pobiorą, że będą szczęśliwi.

Rumieniec ją oblał na tę myśl. Już teraz nie łyzy ją zalewały, ale ogarniało ją jakieś niewysławione poczucie radości i szczęścia. Wszystko jej się wydawało piękniejszym. Ponure blaski ponurego dnia włączące się leniwie po kościele, wydawały jej się potokami roztopionego srebra. Złote aniołki z twarzami pulchnemi, zdawały się uśmiechać do niej, święci brodaci zdawali się błogosławić jej. Miała niebo w sercu.

Pisał jej w końcu, że konieczną jest rzeczą, by się mogli często z sobą porozumiewać, że w tym celu umówił się z jedną starą żebraczką, tak a tak wyglądającą siedzącą tuż przy chrzcielnicy w kruchcie kościoła Bernardynów, która będzie miała zawsze ilekroć on nie będzie mógł przyjść, liścik do Tekluni. Żebraczce tej może także Teklunia oddawać swe kartelusze.

— Jaki on mądry, jak wszystko przewiduje! myślała sobie.

Żebraczce tej na imię było Hipolitowa. Opisał ją tak, że poznałaby ją w tysiącu innych. O! jakże się czuła szczęśliwą, jak dumną.

Nakonec msza się skończyła. Panna Scholastyka wstała i szepnęła:

— Chodźmy, tu strasznie zimno, romantyzm mi dokucza.

Wyszły z kościoła. W kruchcie siedziały pod ścianą rzędem stare żebraczki. Teklunia dobiła woreczek i każdej dawała po groszu, a panna Scholastyka szła przodem. Przy chrzcielnicy chorążanka zatrzymała się sama, poznała ową żebraczkę.

— Wy Hipolitowa? — szepnęła nachylając się.

— Ja, panienko.

— Przyjdźcie dziś do pałacu Branickiego hetmana.

— Dobrze. Czy panienka panna chorążanka?

— Tak.

— Dobrze! Zdrowaś Marya, łaskiś pełna...

Z niewypowiedzianem uczuciem szczęścia i pokoju w duszy, siadała chorążanka do karocy, czekającej na nią przed kościołem.

IX.

Trzydziestu kilku deputowanych udało się do hetmana Branickiego. Długim rzędem szły karoce za karami na dziwowisko gawiedzi miejskiej, która tłumnie biegła za powozami i okrzykami witała jadących. Wszyscy deputaci byli czarno ubrani, w peruki i hiszpańskie kryzy, ze szpadami u boków. Withof jechał w jednej karocy z Dekertem i Barsem. Podczas gdy dwaj ostatni ze sobą rozmawiali, a Dekert niespokojnie kręcił się na siedzeniu, wychylał co chwila głowę przez okienko i patrzył daleko li jeszcze do hetmańskiego pałacu, Withof myślał o Teklusi. Polityka i ambicya kazały mu jechać do hetmana, a serce ciągnęło go do kościoła Bernardynów. Tłumaczył sobie to jednak, że w tym razie polityka z jego sprawami sercowemi ściśle jest związana, że tylko przez uzyskanie ustępstw dla stanu mieszczańskiego, on, Withof, może uzyskać rękę Teklusi. Jechał więc także z biciem serca, bo jeżeli hetman deputacyę miejską przyjmie łaskawie i zapewni jej swą pomoc, to rzecz jest prawie skończona. A przytem Withof ciekawy był bardzo zobaczyć bliżej ojca Teklusi, który bezwarunkowo, jako jeden z najgorętszych partyzantów hetmana, znajdować się przy nim będzie na pewno.

Nakonec deputacya przybyła. Jedna za drugą karoca wjeżdżały na obszerny dziedziniec pałacowy i zatrzymywały się przed gankiem. Deputaci wchodzili do dużej sieni, z której szły w górę wschody prowadzące do wielkiej sali. W tej sali zatrzymywano się i oczekiwano ukazania się hetmana.

Sala to była duża, o sześciu oknach, suto złocona, pełna portretów i maleńkich, powyginanych, także złoconych mebelków. Pochmurny, dżdżysty dzień rzucał przez długie, aż do posadzki okna blade, mętne, smutne światło, które migotliwie odbijało się w złoceniach sufitu, w ramach portretów, w zwierciadłach zawieszonych na ścianach. Kiedy deputowani poczęli wchodzić na schody, to najprzód napotkali tu po obu stronach dwa rzędy hajduków hetmańskich, w czerwonych kurtkach i takichże pludrach, uzbrojonych od stóp do głów i z karabinkami w rękach. W sali zaś zastali mnóstwo szlachty przy szablach, w czapkach na głowach, podbitych drutami, w karwaszach na rękach, jak na wojnę. Szlachta ta usunęła się gromadą ku ścianie wprost okien i stała tak z rękami na rękojeściach szabel lub na kolbach pistoletów, bo było wielu, którzy i tę broń mieli za pasem.

Deputaci miejscy w milczeniu, skromnie i cicho wchodzili do sali, z perukami na głowach, z trójgraniastymi kapeluszeniami pod pachę i stawali pod oknami, patrząc na szlachtę, mierzącą ich groźnym i pogardliwym wzrokiem. Tak się ustawili wprost siebie, a między nimi była sala pusta. Milczenie zrazu było wielkie, słyszeć było tylko z dziedzińca turkot odjeżdżających karoc. Dekert, który niecierpliwie się kręcił i szeptał coś od czasu do czasu do Barsa, spojrział w okno i widzi na swe wielkie przerażenie, że bramę kratowaną żelazną od ulicy zamknięto, a na dziedzińcu ustawiono czterdziestu hajduków konno, frontem do ulicy, wyciągniętych w jeden sznur i dzierżących w rękach karabiny, jakby gotowych do bójki. Przed zamkniętą bramą tłoczy się tłumy ludu, wszelkiego rodzaju zbiegowisko i ciekawie zagląda do wnętrza.

— Hm — mruknął Dekert do Barsa — widzisz ty co się tu święci?

— A widzę i źle sobie z tego wszystkiego tuszę o naszym poselstwie.

— Ano... nie bardzo — odrzekł Dekert — boją nas się widocznie, a i to coś warte. Nie prozbą to grozbą, a zawsze swoje zrobić musimy.

Szlachta też, stojąca na przeciwko pod ścianą poczęła między sobą szeptać, uśmiechać się i groźnie spoglądać na deputatów. Withof stał za Dekertem ze skryptem w ręku przypatrując się temu wszystkiemu, zuchwałym i wyzywającym minom szlacheckim, czuł jak w nim krew się gotuje i miał ochotę, dobywszy szpady lecieć na tych junaków, którym głupota i nierząd z oczów patrzyły.

— Czekajcie no! — mówił do siebie — przyjdzie i na was czas, ale wtedy, łby będą zlatywały jak grad, łby szlacheckie!

Ciągle sobie powtarzał, naśladując francuzkich rewolucjonistów, że bez krwi w Polsce się nie obejdzie. Ciekawie przeglądał szlachtę, ażali nie dopatrzy gdzie między nią ojca Teklusi. Ale było to trudnem, zwłaszcza, że większość szlachty wyglądała na dworzan hetmańskich, gdyż miała jęgo barwy na sobie.

To przypatrywanie się sobie wzajemne trwało dość długo, wśród ponurego milczenia i szeptów cichych, stłumionych, zdających się kryć w sobie pioruny. Czuł to dobrze Dekert, że najmniejsza iskra może wywołać burzę. Biegł więc między swojami, którzy poczęli się już trochę niecierpliwić i niepokoić i zaklinał ich na wszystkie świętości, by się zachowali cicho i skromnie.

I zaprawdę, dziwny to był widok tych dwóch grup ludzi, w tej wielkiej złoczonej sali, stojących na przeciw sobie w groźnym i ponurem milczeniu. Deputaci miejscy czarno ubrani, robili dziwnie posępne wrażenie. Szlachta za to w swych różnobarwnych kontuszach, między którymi przeważały czerwone i czarne, barwy hetmańskie—butna, dumna, zdawała się raczej drwić sobie ze wszystkiego, niż obawiać się czegokolwiek. Deputaci miejscy byli milczący, nawet szepty między nimi ustały, poważni, surowi, ze zmarszczonemi gniewnie brwiami.

Nakoniec otworzyły się jedne z drzwi, prowadzących w głąb mieszkania, i w drzwiach tych ukazał się mężczyzna chudy jak szczapa, wysoki, zawiędły i łysy. Miał na sobie czarny z atłasu ługduńskiego żupan i kontusz czerwony mowory, buty żółte i także czapkę czarnym barankiem obłożoną. Przy boku miał szablę rajtarską, zawieszoną na rzemiennych rapciach, a za pasem dwa pistolety. Wyglądał tak jakby wybierał się na wojnę. Wszedłszy, stanął we drzwiach i małemi swoimi, głęboko zapadłemi oczkami, marszcząc przytem groźnie brwi i ruszając zawieszystym, białym jak śnieg wąsem, przyglądał się czarnej deputacyi miejskiej. Rękę lewą, ubraną w łosiowy aż po łokieć karwasz, oparł na główni szabli i stał tak przez chwilę wciąż pilnie przypatrując się mieszczanom i jakby ich liczył. Był to chorąży Janikowski, Withof od razu go poznał.

Wtem z grupy stojącej pod ścianą szlachty wysunął się jakiś szlachcic z miną zuchwałą, junacką i spytał basowym grubym, przepitym głosem.

— Mości chorąży, czy Jaśnie Wielmożny hetman wie o tych acpanach?

Tu wskazał pogardliwie ręką na deputatów.

— Zaraz! — odrzekł chorąży i cofnął się i zamknął za sobą drzwi. Słychać było potem jak zakręcił klucz w nich z trzaskiem.

Między deputatami rozległ się głuchy szmer oburzenia, skierowany głównie przeciw owemu zuchwałemu szlachcicowi, który ich pogardliwie nazwał „acpanami.“ Stał on przed czołem szlachty, dumnie wsparty na szabli i śmiał się głośno a inni mu wtórowali. Deputaci poczęli szemrać, niektórzy nawet sięgali do szpad. Któryś posunął się do okna i chciał je otworzyć, widocznie w celu dania znać rosnącemu tłumowi ludu na ulicy, ale Dekert począł biegać, prosić, zaklinać, tłumaczyć.

— Dajcież pokój, przez Bóg żywy! wszystko zgubicie. Sprawa jest wielka i mamy ją popsuć niewczesnym oburzeniem się na głupie gadanie jakiegoś szlachetki! Wytrzymajmy wszystko, bo tu nie o nas jeno idzie, ale o dzieci nasze, o przyszłe pokolenie.

Pomimo tych słów i zabiegów Dekerta, delegaci szemrali a z oczów ich padały błyskawice w kierunku butnej i zuchwałej gromady szlacheckiej. Od czasu do czasu wymykały się słowa:

— Bodaj was zabito!

— Łyki!

— Kołtuny!

— Damy wam prawo, ale bizunami pisane.

Na to mieszczenie odpowiadali:

— Jeno patrzeć, jak łby wasze będą spadały!

— Szlachetki! skurczybuty!

— Ciarachy! moczygęby!

— Świniopasy! pieczeniarze!

— Poczekajcie, przypieczem wam pięt trochę!

Jednem słowem burza się zbierała, rosła i mogła się krwawo zakończyć, gdy nagle z trzaskiem otworzyły się drzwi na ścieżaj, w nich pojawił się strojny jak z igły dworzanin i zawołał głośno:

— Mości panowie, jasnie wielmożny hetman wielki koronny!

Zrobiła się cisza jak makiem zasiał. Do sali wszedł mężczyzna otyły, olbrzymiego wzrostu, ze łbem wygolonym, czerwony, opasy, z zawieszistym wąsem, ubrany w kontusz karmazynowy ciężki, żupan czarny grodeturowy, żółte buty i takąż konfederatkę z czarnym barankiem. Przy boku miał nie karabelę, ale jak wszysej szablę rajtarską, i na rękach wielkie łośiowe karwasze. Był to mężczyzna okazały, z miną zawadyacką i kiedy wszedł do sali spojrzał zaraz na czarną, mieszczańską deputacyę, zmarszczył brwi i obrócił się do szlachty.

— Czołem mości panowie!

Wszystkie czapki odrazu, jakby na skinienie rószczy czarnoksiężkiej znikły i głowy pochyliły się nisko. Hetman, za którym postępowało kilku poważniejszych szlachty, a między nimi chorąży, przeszedł między szlachtą, z tym i owym ciężkim, chrapliwym głosem pogadał, poczem nagle odwrócił się, postąpił na środek sali i zapytał stojących cicho delegatów.

— A panowie czego chcecie?

Jasnie wielmożny panie hetmanie wielki koronny — począł Dekert wysuwając się naprzód — ci ichmościowie są deputatami od stanu mieszczańskiego z całej Korony i Litwy.

— A czegoż oni chcą?

— To wyrozumieć raczysz Jasnie Wielmożny Panie z tego oto skryptu.

I wskazał ręką na zwój, który Withof dzierżył w ręku.

— Pozwolisz może Jasnie Wielmożny Panie, że ci go mój sekretarz, imcipan Adam Withof odczyta.

— Withof? — krzyknął nagle chorąży.

— Tak Withof — odrzekł Dekert.

— To ten? — zapytał znów chorąży, wskazując palcem na Adasia.

— Tak ten?

— A! to asan byłeś u mnie w Janikowie?

— Tak, ja byłem tam.

— Dziękuj Bogu, że mnie tam nie było, bo bym ci twoje fantazye mieszczańskie batogami wypędził z głowy.

— Mości panie — zawołał Withof, zalewając się całą krwią i chwytając za rękojeść szpady — to obraza!

Miedzy szlachtą rozległ się donośny śmiech.

— Bizunami ich rozegnać! a hultaje! łotry! łyki, kuczyki, psie syny!

Hetman, który dotąd w milczeniu przysłuchiwał się temu, nagle podniósł rękę i zawołał swym donośnym głosem.

— Mości panowie, uciszcie się!

Zapanowała w sali martwa cisza, tak że słyhać było dochodzący z zewnątrz od ulicy szmer coraz bardziej tłoczącego się ku bramie ludu. Hetman obrócił się do Dekerta i rzekł.

— A pan jesteś prezydent warszawski?

— Tak.

— No, to powinienes wiedzieć, że mieszczanie są stworzeni od pana Boga na to, by łokciem płótno mierzyli, kwartą kaszę sprzedawali i pieprz ważyli. Szlachta zaś na to, żeby rządziła. Takie jest prawo Boskie i ludzkie, i ja biedny pacholek Boży sprzeciwiać mu się nie chcę. Tego coś-

cie tam sobie nababrali, ja słuchać nie będę. Nie ciekaw tego jestem. Idźcie sobie z Bogiem i dajcie mi pokój.

Odwrocił się i szedł ku drzwiom wśród wrzawy i okrzyków szlachty, zanoszącej się od śmiechu.

— Jasnie wielmożny hetmanie! — zagrzemiał nagle donośny głos Barsa.

Hetman się wstrzymał i spojrzał na adwokata.

— Czego acpan chcesz?

— Chcę jasnie wielmożnemu panu z całą winną submisją zrobić tę uwagę, że my będziemy jak zawsze łokciem mierzyli, kaszę sprzedawali i pieprz ważyli, ale gdy trzeba będzie, to i za miecz chwycić potrafimy.

Hetman słuchał tego i chciał coś odpowiedzieć, gdy nagle z zewnątrz, z ulicy, tłum, niewiadomo czego, zaczął strasznie krzyczyć i pchać się ku żelaznej bramie. Wrzawa była tak wielka, że dochodziła do sali. Hetman spojrzał na to, pobladł trochę, nie odrzekł na słowa Barsa, jeno żwawo wymknął się z sali, a za nim większość szlachty mu towarzyszącej. Chorąży tylko pozostał na progu i wrzeszczał:

— Idźcie sobie do stu djabłów!

W istocie nie było tu co robić. Dekert zwrócił się do swoich i rzekł:

— Chodźmy moi panowie! Niech ich Bóg ma w swej opiece i niech ma miłosierdzie nad tym biednym krajem.

W milczeniu i z wielką powagą wyruszyli deputaci: zrazu ścigani naigrywaniem się szlachty, ale gdy na to nie odpowiadali i te się uciszyły. Gdy stąpali po schodach z głuchym trzaskiem swych trzewików, szlachta przed chwi-

łą tak wesoła, zrobiła się jakaś markotna, poskoczyła do okien i patrząc na wsiadających do karoc delegatów, gadała:

— Jak Boga kocham, jak trumniarze!

— Myślałby kto, że to pogrzeb!

— Niech ich djabli wezmą!

— Byle nam te psie syny, jak to słyszę, we Francyi się dzieje, nie wydzwoniły śmierci.

— Wyciąć ich było do nogi!

— Ale ba!

— Istne kruki!

Delegaci siedli do czekających na nich karet i powoli wśród okrzyków tłumu wysunęli się z hetmańskiego pałacu.

X.

Delegacya cała w najwyższym oburzeniu wracała do swych domów. Adwokat Bars, który był impetyk wielki, rzucił się w karocy i pięściami wygrażał.

— Żeby jeno słówko pisał! — wołał wskazując na tłumy zalegające ulice — a ten pyszny i głupi warchoł musiałby uciekać jak zając.

Dekert uspakajał go, choć znać było po jego jasnej, wesołej twarzy, że był rozdrażniony i dotknięty do głębi.

Withof czerwieniał i bladł na przemian i mówił sobie:

— Gdyby to nie był ojciec Tekluni, dałbym ja jemu batogi. Krwawo by je popamiętał.

Zresztą był zrozpaczony. Zrobiono pierwszy bardzo ważny krok i ten się stanowczo nie udał. Serce mu się krwawiło. Chciał być jak najprędzej w domu i dowiedzieć

się od Pieprznickiego, czy się widział z Teklunią, czy oddał jej kartelusz, czy mówił z nią, czy mu co powiedziała, jak wygląda? i tysiące tym podobnych pytań. To też kiedy tylko karoca zajechała na rynek staromiejski, przeprosił prezydenta, że wyjść musi.

— Głowa mię boli, muszę odpocząć.

— Idź! idź! — gadał Dekrt — kogóż dziś głowa nie boli?

— Ale, ale, wtrącił Bars, coś ty tam zawinił temu psu wściekłemu Janikowskiemu?

— Com mu miał zawinić? nicem mu nie zawinił. Jadąc do Warszawy z Lublina, popsuła mi się karoca, wstąpiłem do jego wsi, by koło naprawili, do dworu mnie poproszono i tam gadałem z czem jadę. *Inde ira.*

— Bodaj go piorun trzasł! — krzyczał Bars.

Pożegnano się i Withof nie zważając na błoto plamiące jego trzewiki, leciał jak szalony do siebie. Przeskakując po dwa schody, wpadł jak bomba do antykamery. Służący drzemał na ławce pod piecem.

— Jest pan Pieprznicki? — pytał Withof.

— Jest... siedzi przed ogniem i grzeje się.

Ale Withof już nie słuchał nic więcej, jeno jak piorun wpadł do komnaty, gdzie Pieprznicki rozebrany jak do rosołu, siedział przed dużym ogniem na kominku i popijał sobie wino grzane z korzeniami.

— Cóż? widziałeś ją? — pytał Withof.

— Widziałem.

— I co?

— A nic.

— Bodajże cię! z tobą dogadać się nie można...

— Ale czemu nie? powiem wszystko, jeno nie tak nagle. Wpadasz jak wieher, wrzeszczysz mi nad uchem, ażem się wzdrygnął...

— Oddałeś jej kartelusz?

— Oddałem.

— I co?

— A nic.

— No ale cóż? co mówiła, co robiła? gadajże mi do stu rogatych djabłów!

— Oho! już djablami sadzisz!..

— Bom zły, jak pies ostatni.

— Albo co? wygnał was hetman? he?

— Niech piorun spali hetmana i wszystką szlachtę! Ty mi gadaj o Tekluni.

— A nie mówiłem, że te wasze nowotne wymysły o jakimś stanie trzecim funta kłaków nie warte! Ki djabli? stan trzeci...

Withof, który latał po komnacie jak oparzony, nagle zatrzymał się, zakręcił się na pięcie i zawołał:

— Mój kochany, cap jesteś! jak czego nie rozumiesz, to o tem nie dyskuj. Gadaj mi o Teklusi, bo mi się gorąco robi. Czytała kartelusz?

— Ba! ba! sprytna to dziewczka i piękna. Już że piękna, to piękna. Ty masz oczy Adasiu, he! he! he! — śmiał się i dalejże prawić — wzięła ci kartelusz, ślicznie go rozwinęła, w Ołtarzyk złoty włożyła i przeczytała. A rumieniła się ciągle jak róża i poglądała na mnie takimi oczkami, że mi się aż na płacz zbierało. Jak Boga kocham, szczerze gadam.

— Sama była, czy z podkomorzyną?

— Nie, z panną Scholastyką.

— Widziała cię panna Scholastyka?

— Nie! otuliłem się deliutak, żeby mnie rodzona matka nie poznała.

— I cóż potem było?

— A nie. Siadłem do karocy, przyjechałem tutaj, a że psie zimno w kościele, więcem sobie kazał wina zagrzzać z korzeniami, siedzę i popijam sobie i myślę o tym obwiesiu Dydaku i moich rodzynkach. Przysięgam Bogu, on je tam rozkradnie. Napijesz się? co? powiadam ci, dobre, chociaż jam już lepsze pijał.

— Czemużeś nie pozostał do końca mszy? — pytał Withof wciąż latając po izbie jak opętany.

— A po co? kartelusz oddałem i czegoż ty chcesz więcej? W kościele powiadam ci takie zimno, że człek cierpnie i nogi marzną...

— Cap jesteś powtarzam! ja właśnie tego najbardziej ciekaw byłem, co Teklunia uczyni wychodząc z kościoła, a tyś sobie pojechał. Zimno! zimno! ej! niedołęga jesteś i basta

Pieprznicki patrzył na Withofa wybałuszysz szeroko oczy i rozdziawisz usta, widocznie nie rozumiejąc wcale, czego od niego chcą.

— Czemużeś mi nie powiedział? — rzekł наконец — byłbym czekał, choćby do sądneho dnia. Uczyniłem to coś chciał, a uczyniłem nawet z obrazą Bożą i grzech sobie wziąłem na sumienie. Spowiadać się z tego muszę.

— Z czego? — porwał się Withof.

— A no... jakże to? w kościele oddawać kartelusiki miłosne, godzi się to? po katolicku to jest? Ksiądz Jacek od Kapucynów rozgrzeszenia mi nie da. Będziesz widział...

— Ho! ho! ho! — śmiał się Withof — anim przypuszczał, żeś ty jeszcze taki głupi mój Dominiku. Ksiądz Jacek rozgrzeszenia nie da! Miejsze rozum, zmiłuj się. Któż dziś w wieku oświeconym, w takie rzeczy wierzy? Ha! ha! ha! rozgrzeszenie, spowiadać się będzie. A to zabawny człowiek!

— Ej! machnął ręką Dominik, ty sobie nie wierz, a ja wierzę. I proszę cię, nie śmiej się ty, bom ja też nie z masła, jeno z krwi i drwie z siebie i z wiary nie dam. Jam jest katolik, a ty farmazon. Wszysey wyście zfarmazonieli i spludrzeli w tej Warszawie. Djabeł wie, co wam się po łbach roi. Stan trzeci! czyste kpiny, jak Boga kocham. Dobrze zrobił hetman, że was wygnał. Jaby tak samo uczynił, żeby był hetmanem Branickim.

W tym sensie długo jeszcze incipian Dominik wiele gadał popijając wino, ale już opozycy nie spotykał ze strony Withofa. Ten usiadł sobie wprost ognia w wielkim zydlu z poręczami, nogi w zabłoconych trzewikach wyciągnął przed siebie i patrząc czarnymi oczami w syczące płomienie, pogrążył się w ogromną zadumę.

— Wiesz co Dominiku? — przerwał nakoniec Withof uwagi Pieprznickiego — ja mam do ciebie jeszcze jedną prozbę...

— Jakąż to?

— Uczyniłeś mi już raz przysługę, uczyniłeś i drugi raz.

— Z ochotą, wszystko dla ciebie Adasiu zrobię, jeno nie każ w kościele oddawać liścików...

— A już nie — zaśmiał się Withof — całkiem o co innego teraz idzie. Chciałbym, żebyś poszedł do winiarni Fukiera, może się tam zdybiesz z Kwiatkowskim.

— Aha! oczywiście że się zdybię. Kwiatkowski jak jest koronny i bez wina obejść się nie może. Dobrze, pojedę do winiarni, cknę mi się też w tej Warszawie, a Kwiatkowski chłop dobry, jeno pijak.

Jakoż po południu wybrał się Pieprznicki do winiarni, która od dawien dawna słynna była w Warszawie. W ciemnej sali, ciemniejszej niż zwykle z powodu pochmurnego dnia, ponurej, pokrytej od pułapu pajęczynami i przesiąkniętej zapachem wina, zastał pan Dominik jeno dwóch jakichś szlachciców, którzy siedząc w kącie ciągnęli z gąsiorka zieleniaczek, szeptali coś do siebie cicho, całowali się co chwila. Usiadł zdala od nich, wprost drzwi i kazał sobie podać chłopcu usługującemu maślacza, popijał wolno, ziewał, oglądał pajęczyny na suficie lub przypatrywał się mętnym blaskom listopadowego dnia, czekając na Kwiatkowskiego. Ciemno się już zrobiło i Pieprznicki począł wątpić, czy się dziś zobaczy z marszałkiem Janikowskiego, gdy nagle z trzaskiem otworzyły się drzwi i ukazał się w nich oczekiwany towarzysz, okryty w kerezyą bernardyńskiej barwy, trochę wyszarzaną i zabłoconą. Otrząsnął się z deszczu i śniegu i swym grubym, przepitym głosem, huknął zaraz z progu, nie widząc jeszcze pana Dominika.

— Hola, chłopcze, wina! jeno prędko, bo mi pilno.

— Jakiego waszmość pan chce wina?— pytał chłopak.

— Jakiego? maślacza, tego samego, com go tu wczoraj pił.

W tem powstał Pieprznicki i zbliżając się do Kwiatkowskiego rzekł:

— Czołem, mości marszałku.

— A czołem! to waść? dobrze żeś tu jest, napijemy się razem, bo samemu pić, to się cknę i głupio jest.

— Chodźże waszmość do mego stołu; hej chłopcze, gąsiorek tego samego! wskazał na swoją lampkę.

— Co? gąsiorek? zawołał Kwiatkowski, a oczy mu się zaiskrzyły, ale zaraz spuścił je, skrzywił się i dodał:

— Daj waść pokój, nie mam czasu, nie mogę pić. Jak Boga kocham, tak prawda. Wyrwałem się na chwilkę, żeby przeplukać gardło. U nas tam sądny dzień!

— No, cóż takiego?

— Widzisz, coście narobili!

— Jacy wy?

— A wy, mieszczańskie łyki! Bodaj was zabito! ty chociażęś łyk, aleś człek dobry i szlachecki masz animusz, ja cię też za to kocham, ale reszta to hultaje. Ten twój towarzysz, jakże on się zwie?

— Withof.

— O tak, Wiktor, otóż widzisz, był tam dziś z innymi mieszczanami u hetmana. Nie wiem co się tam działo, bom przytem nie był, ale kiedy chorąży wrócił do domu, rzucił ognia! nie przystępuj do niego. Wpadał ciągle w taką pasyą, że się rzucał i strasznie wygadywał na tego twego Wiktora.

— Ale cóż on wam winien? przecie nie on sam tam był. Trzydziestu słyszę ich było, czegoż więc sierdził się na Withofa jednego?

Kwiatkowski duszkiem wypił już szklanicę ciężkiego maślacza i oczy mu się zaiskrzyły, nos zaczerwienił jak burak.

— Otóż to, widzisz! — czemu? czemu? — wiem ja dobrze czemu. Kwiatkowski nie taki głupi jak się wydaje i umie wszystko spenetrować. Ale ja ci tego nie powiem.

— Dla czego mi waś nie masz powiedzieć? Withofa kocham, chłop dobry, choć ma we łbie przewrócone, ale do rany go przyłożyć, powiadam waści. Czemu nie ostrzedz człeka?

— Ii, choć mi ty wino fundujesz, ja ci nie powiem, i że zaraz uciekać muszę.

Wypił drugą szklannicę i wstał, ale go Pieprznicki za poję od kontusza przytrzymał i nuż molestować i prosić, by mu powiedział.

— Co to waści szkodzi? u mnie to będzie jak w grobie, ludzką jest rzeczą ostrzedz człeka. Jak będzie wiedział o co idzie, plunie na wszystko.

Szklanica była pełna, maślacz świecił się jak złoty, Pieprznicki tak pięknie prosił, dość że Kwiatkowski zmieknął. Usiadł na ławie, obejrzał się dokoła, wypił duszkiem trzecią lampkę, przysunął się do swego towarzysza, nachylił i nuż szeptać.

— To ci powiem, kiedy tak. Przez kompasy to czy-nię dla ciebie, ale stulcie pyski i ani mru mru...

Przyłożył palec do ust i gadał dalej:

— Hajduk Franek, lizus nad lizusami, wyspiewał chorażemu wszystko, jako panna Tekla ma się do onego Withofa, jako im panna Scholastyka dopomagała, jako się kochają, i Bóg wie tam nie co. Otóż złość na Withofa. Choraży, powiadam ci człeku, mało nie pęknie ze złości; pannę Scholastykę zwymyślał słyszę, aż mi się serce kraje z tego...

— A panna Tekla?

— A cóż? panna Tekla płacze po kątach i bledziutka jest taka, jak ta oto ściana. Jak Boga kocham tak prawda. Widzisz, z tej mąki nie będzie chleba i jakżeby było, żeby szlachcianka szła za kupca? któż to słyszał? choć mnie pa-

nienki żal, bo to dobre, przylepeczka. Muszę ci i to powiedzieć, miejcie wy się mieszczańkowie na ostrożności. Hetman, słyszę, także się sierdzi okrutnie i gada, że wam bizunami wypędzi z głowy rokosze i bunt. W pałacu teraz wszyscy zbrojno chodzą, strażę zaciągnięto, bramy pozamykano i hetman bez pistoletów się nie ruszy...

— A czegoż on się boi?

— Hm! czego? gadają, że plebs warszawski na niego jest rozwścieczony, że chce napaść na pałac. Harmaty, słyszę sprowadzono, ukryto je w ogrodzie. Ale tego nie widział. No, bądź zdrow, bo ja iść muszę. Będziesz tu jutro?

— A będę.

— To dobrze, ja wpadnę. Może będzie czasowy, to pogadamy i napijemy się. Maślacz smakowity i nie idzie w nogi. U nas w Janikowie taki sam, ale u hetmana dają cienkusa, psom gęby nim myć. Bądź zdrow.

Nadział czapkę, owinał się w kerezyę i wyszedł z izby.

Pieprznicki posiedział jeszcze trochę zamyślony, wypił wino, zapłacił i smutny, pochmurny powlókł się wolno do domu, gdzie go Withof, jak sądził, niecierpliwie oczekiwać musiał.

XI.

Withof, po wyjściu Pieprznickiego, nie był długo sam. Znużony wypadkami dnia dzisiejszego, siedział wciąż przed ogniem i kołysał się w smutnych myślach, gdy nagle obudziła go z tej zadumy wrzawa, jaka podniosła się w jego an-

tykamerze. Służący nie chciał kogoś puścić, a jakiś gruby głos kobiecy koniecznie domagał się widzenia z panem.

Wieczór się już robił i powoli komnatę zalegać zaczęły mroczne, posępne cienie. Z ulicy dochodził szum życia miejskiego i monotony, jednostojny plusk deszczu.

Zaciekawiony Withof, zerwał się i otworzył drzwi. W antykamerze stała brudna, obdarta jakaś kobieta, wspierając się na kiju i gadała do służącego:

— Ty chamie jakiś! czemu mnie nie puszczasz? ja tu mam coś do pana, za co mię ozłoci, a ciebie wypędzi. Puszczaj mnie powiadam, bo krzyku narobię psie nasienie jakieś!

— Co to jest? — zapytał Withof.

— A to panicz, pan Withof! — zawołała żebraczka — ja tu z pismem, do wielmożnego pana od panienki, a ten cham puścić mnie nie chce.

— Hipolitowa!

— A ja! ja! mam tu pismo, śliczne pismo, a ten cham...

— Chodźcie tu do komnaty rzekł Withof, cofając się w głąb pokoju.

— A widzisz psi synu — rzekła baba — że mnie wielmożny pan prosi, a tyś puścić nie chciał. Bodajesz skiśniał psia wiaro.

I kuśtygając na jedną nogę, mrużąc coś pod nosem powlokła się do izby. Withof zamknął za nią drzwi.

— Masz pismo?

— A mam.

— Dawaj! — wołał Withof — a na twarz mu występowały wszystkie ognie i trząsł się cały ze wzruszenia i niecierpliwości.

Baba dobyła z za brudnej pazuchy szmatę jakąś porwaną na kawałki, na której nie dopatrzyłbyś się jej pierwotnego koloru, i rozwijając ją z wolna gadała:

— Śliczna to panienka, a jaka bogata! Fiu! fiu! Karocą przyjechała, w pałacu mieszka i hajduków, pajuków, różnej psiarni moc u niej. Krew z mlekiem dziewczucha. Żeby tak zmarniała, jeżeli lżę choć krzygnę. He! he! Hipolitowa zna się na tem. A bom to ja nie była w pałacach, kiedyś była młoda. Pan zna Wielhorskiego? he? kochał się kiedyś jak dwa gołąbki, ale to dawne lata. On zawsze pan a ja baba pod kościołem siedzę, a całował mi ręce i nogi... Albo pan Wessel...

— Gdzież to pismo? — przerwał niecierpliwie Withof.

— Zara! zara! oho! wielmożny panicz w gorącej wodzie kąpany.

Mówiła tak, a gorzałkę czuć było od niej z daleka i ręce jej się trzęsły tak, że rozwijała ową szmatę a rozwinąć jej nie mogła.

— Ja to rozumiem, rozumiem. A bom to ja nie była młoda, a chłopcy za mną latali jak za obrazkiem. Oczka miałam kieby dwie tarczki. Ano... powiem jak to było. Siedzę sobie dzisiaj w kruchcie u Bernardynów i ujadam się z tym psiawiara Bartłomiejem. Wielmożny pan zna dziada Bartłomieja?

— Nie, nie znam.

— Hultaj, obwieś ostatni. Wczoraj usiadł na mojem miejscu. Ślepie mu chciałam wydrapać. Ale cóż? co chłop to nie baba, nie dał się. Tom też ujadała się z nim i ujadam, a dogryzam mu, że go djabli biorą. A niech go wezmą, choć nazawsze!

— Moja Hipolitowa, dajże to pismo!

Stan trzeci.

— Zara! zara! ręce mi się trzęsą, ale niech wielmożny panicz wierzy, że to nie od gorzałki, jeno ze starości. Stara jestem już, bardzo stara! Pamiętam Szwedów jeszcze jak byli w Warszawie. A jeden jednerał szwedzki, co się zwał Klamgala, to całował mi ręce, a dukaty sypał.. Miły Boże! Ale co robiący, siedzę ja sobie w krucheie dzisiaj rano, a tu słyszę szum! szum! atłasy. Jakies dwie bogate panie w sobolach wychodzą z kościoła. Jedna stara, druga młoda, a śliczna jak malowanie. Nachyli się do mnie i bęc mi na rękę... Patrzę dukat! niech Wielmożny pan słucha, wszystko opowiem dokumentnie, jak na świętej spowiedzi.

Teraz Withof już nie przerywał babie. Poczęła na koniec mówić o Teklusi, a cóż mogło być dla niego milszego, jak słuchać o swem kochaniu?

— Oho! myślę sobie — mówiła dalej baba — tu się coś święci. A panienka do mnie gada słodziutkim głosem: „Wy Hipolitowa?“ A ja. Przyjdźcie dziś do mnie po południu do pałacu hetmana Branickiego. I to była panna chorążanka, o której mi wielmożny panicz wczoraj mówił. Ano... śliczna panna... Idę tedy do pałacu hetmana. Fiu! fiu! dworno, pańsko. Hajduki, pajuki a brama zamknięta i żołdacy stoją z rusznicami, a lud się gapi przez kratę. Nie chcieli mnie puścić. Ale ja znam tam starą kucharkę Janową. Idę do niej bokiem. Zaszałam. Gadam pusć mnie, idę po proźbie. Znam tu pana chorążego, człek dobry i miłosierny, ulituje się mojej niedoli. Zełgałam to wielmożny panie, ale to tylko dla panicza. Czegóż ja bym dla panicza nie uczyniła?

— Dobrze, dobrze, gadaj dalej! — niecierpliwił się Withof.

— Ano, cóż. Janowa mię puściła. Na dziedzińcu hajduki mię turbować chcieli, alem im nawymyślała, kijem pogroziła i do kwatery chorążego dostała się. W kuchni była jakaś stara, chuda jak szczapa białogłowa. Obaczywszy mię zestrachala się, obejrzała do koła i nuż szeptać: „ty Hipolitowa?“ — a tak. — Znasz pana Withofa? — Znam i od niego tu idę. Masz pismo, zanieś mu i uciekaj! Dała mi talara. Ja pismo w szmaty owinełam, za pazuchę włożyłam i przyszałam tu, a ten sługus wielmożnego panicza, hultaj, nie chciał mnie puścić. Ja bym mu pyski zbiła...

— Dawaj to pismo!

— Zara, zara!

I znów drżącemi rękami odwijala szmaty, aż w końcu wydostała małeńki liścik i oddała go Withofowi. Ten chwycił, odwrócił się od baby, otworzył ale nie mógł czytać. Był tak wzruszony, że drżał cały jak w febrze a przed oczami mu płatki latały. Brała go ochota ucałować to drobne, małeńkie, trochę niezgrabne pismo, ale wstydził się baby, która stała przy drzwiach i bystrym śledziła go wzrokiem.

Pisała mu, jak ją wzruszył jego list, jaką pociechę jej przyniósł, jaka ona nieszczęśliwa jest ze swoim ojcem, jak ten oburzony jest na Withofa, zwłaszcza za to, co się dziś stało u hetmana. Donosiła, że ojciec o wszystkim wie, że zdradził ich hajduk Franciszek, że grożą jej klasztorom, Bóg wie nie czem. Siebie nazywała najnieszczęśliwszą pod słońcem istotą; a jego miłym, drogim Adasiem.

Czytając to wszystko czerwieniał i bladł na przemian. „Miły, drogi Adaś.“ Czuł się teraz najszczęśliwszym z ludzi. Drwił sobie z gniewu chorążego. Choćby przez krew płomienie, to on Withof dostanie swą Teklusię. Zamknąć

ją chęć w klasztorze. Owszem niech zamykają, on i z klasztoru dziewczynę wyrwać potrafi. On tylko tego pragnął, żeby go kochała, a że go kocha, więc cóż mu więcej trzeba!

Czytał dalej liścik tak drogi, woniejący zapachem olejku różannego i larendogry.

Dziękowała mu jeszcze raz za liścik słodki jak miód, jak słońko dla niej jasny. Winszowała dobrego pomysłu używania starej Hipolitowej za posła, ale sądziła, że to będzie niepotrzebne.

— „Dziś, kiedyśmy wrócili z kościoła pisałam — rozmówiłam się ze Scholasią. Dobra, pocziwa to kobieta. Choć mi ciągle powtarzała, że z naszego małżeństwa nie być nie może, przecież przez swoje dobre serce i swoją tkliwość zgodziła się na to, żeby nam pomagać. Gdybym nie mogła wyjść, a zapewne ojciec teraz będzie mnie surowo trzymał, to Scholasia pójdzie do kościoła i kartelusz odda Hipolitowej, lub odbierze. Tak mój drogi, miły, złoty Adasiu!“

Withof był w siódmym niebie. Był taką przejęty radością, tak mu się dobrze, błogo zrobiło na sercu, że byłby cały świat przycisnął do piersi, nie wyjmując nawet starej i brzydkiej Hipolitowej. Wyjął z kieszeni dwa dukaty, wsadził je w łapę baby i rzekł:

— Moja Hipolitowo, dziękuję wam. Bądźcież jutro w kruche, albo ja wam oddam pismo, albo dla mnie je dostaniesz.

— O! niech panicz będzie spokojny. Mam ja rozum i wiem co to kochanie.

Przymrużyła krwią zasłże lewe oko i potrzasała głową na znak, że się na tem rozumie doskonale. Gadała jeszcze długo, dziękowała za pieniądze, za kolana Withofa

ściaskała, w końcu przecie poszła sobie. W antykamerze zwymyślała sługasa, pięścią mu się nawytrząsała pod nosem, durniem go nazwała, aż ten jej pogroził, że ją za drzwi wyrzuci. Ponieważ zbierał się do tego, więc wyszła nareszcie.

Withof został sam. W głowie mu wszystko wrzało, gorąco i zimno mu się robiło. Biegał po komnacie i zacieirał ręce z radości. Niekiedy siadał na wielkim zydlu przed ogniem i odczytywał raz po razu pismo Teklusi, całował je, przyciskał do serca, nie wiedział, co robił.

— Ach! jakżem szczęśliwy! jak szczęśliwy! — wołał.

Nakoniec uspokoił się. Począł teraz poważnie rozmyślać. Wszystko to dobre, mówił sobie, ale ostatecznie jaki będzie koniec tej miłości? czy ma nadzieję ożenienia się z Teklusią i na czem ta nadzieja polega? Stan rzeczy jest zły, bardzo zły, odpowiadał sobie; chorąży przez moje dzisiejsze zachowanie się względem niego i hetmana, jeszcze bardziej musi być na mnie zawzięty i przebłagać się nie da. Jednakże główną zaporę stanowi nie nienawiść chorążego do mnie, bo tej nienawiści być nie może, ale przesady szlacheckie. Zwalczywszy te przesady, Teklusia będzie moją. Oto jest stan rzeczy. Wszystko więc polega teraz na tem, czy mieszczenie zwyciężą czy nie. Jeżeli nie zwyciężą, jeżeli stany nie dla nich nie uczynią, jeżeli w walce, jaka się z tego powodu wywiązać musi, myślał sobie Withof, stan trzeci ulegnie, to i moje małżeństwo z Teklusią przepadło.

Powstał z krzesła potarł czoło i załamując rozpaczliwie ręce, wołał:

— Ale nie, to być nie może! Postęp i idee nie giną tak marnie. Zwyciężymy, musimy zwyciężyć. Hetman się

dzisiaj już boi, trzeba żeby się bał ciągle, żeby się coraz więcej bał. Rokosz podniosę, jeżeli trzeba będzie, a nie to sobie dziewczynę szablą wezmę i na swoim postawię.

Właśnie wrócił z winiarni Pieprznicki i począł mu powtarzać, co słyszał od Kwiatkowskiego.

— Bardzo dobrze—myślał sobie Withof—to bardzo dobrze. Hetman wielki junak, ale widać tchórzem podszyty. Trzeba wyjść na miasto i obaczyć, co się dzieje. Albo nie! Dominik!

— Co chcesz?

— Mój bracie, zrób mi jeszcze jedną łaskę.

— Choćby dziesięć, byle nie kartelusze miłosne...

— Ale nie! nie! już takich nosić nie będziesz. Przysięgam ci. Teraz chciałem cię tylko prosić, żebyś poszedł na miasto, ku pałacowi hetmana i obaczył, czy to prawda, co ci Kwiatkowski gadał i czy istotnie lud się gromadzi przed kratami?

— A dobrze, pójdę.

Odział się opończą, bo deszcz ciągle padał, nasadził wysoką baranią czapkę na głowę, szablę przypasał do boku i czekanik wziął do ręki.

— Jak mię kto trąci to go w łeb lunę czekanikiem — gadał i poszedł.

Kiedy wyszedł Withof zawołał sługasa:

— Janie, biegnij na Krzywe koło i sprowadź mi tu człowieka, co się zwie Bernard Kozuszek.

— Znam go panie.

— Przyprowadź mi go natychmiast, tylko tak żeby nikt go nie widział.

Jan wyszedł a Withof zacierał ręce i gadał:

— Obaczymy panie choraży!

XII.

W pół godziny może potem w komnacie Withofa zjawiła się osobliwsza postać. Był to człowiek małej, chudy, drżący, z nosem czerwonym jak burak, ze łbem rozczuchranym, ubrany w kontusz niegdyś czerwony, dziś Bóg jeden wie jakiej barwy, w buty: jeden o żółtej cholewie wytartej, zabłoconej, drugi czarny, wykrzywiony szkaradnie. Człowiek ten miał u boku karabelę krzywą, turecką, w jaszczur niegdyś oprawną, dziś zniszczoną tak, że z pochwy koniec brzeszczota wyłaził haniebnie. Wszedłszy kłaniał się pokornie czapką granatową i jak wszystko na nim obdarta, a poły szerokiej opończy, pełnej dziur i wiatrem podszytej, za każdym jego ruchem chwiały się jak skrzydła ptaka! Stał ciągle przy drzwiach gładząc wąsiska szczecinowate i skołtunowaną brodę i zerkał małemi, czerwonymi jak u królika oczami, pełnemi kocich jakichś blasków i złośliwości. Gorzałkę od niego czuć było na milę, i ani przez moment nie zachowywał się spokojnie, tylko ciągle kręcił się, podrygiwał jakoś dziwnie i przestępował z nogi na nogę.

— Jak się masz, mości Kozuszek?

— Sługa zawsze pokorny.

Mówił to głosem chrapliwym, przepitym, grubym jakby wół ryczał i czkawkę miał szkaradną, która mu przerywała mowę.

— Wezwałem waszmości, bo chcę ci ważne powierzyć sprawę.

— Obywatelu Withofie! — ozwie się na to prostując się Kozuszek i podnosząc głos — obywatelu Withofie! wiesz że ja zawsze gotów wszystko czynić, co jeno zechcesz.

Gadając tak wysunął w teatralnej pozie jedną nogę o żółtej cholewie naprzód, rękę przyłożył potetycznie do pierśsi. Czkawka go ciągle męczyła. Withof na słowa swego gościa uśmiechnął się nieznacznie i mówił:

— To nie moja sprawa, ale sprawa ogólna, sprawa ludu, panie Kożuszek.

— Ludu?—zawołał tenże, głosem tragicznym—ludu! nieszczęśliwego, uciemięzonego i deptanego przez arystokratów, ludu? Obywatelu! powiedz, gdzie nieprzyjaciół, a pójdę sam jeden z tą oto szablą w garści i nieprzyjaciela tego dosięgnę. Wiesz co obywatelu Withofie, szabla to broń arystokratów i księży, ja wezmę stryczek, szubienicę postawię, tę straszną karę ludu, i będziemy wieszali jego wrogów. Tak jest, będziemy wieszali!

Głos mu coraz bardziej stawał się chrapliwy a czkawka dusiła go niemiłosiernie. Withof wysłuchiwał tego ze sardonicznym uśmiechem na swych wąskich, jak rubin czerwonych ustach, ruszył parę razy ramionami i rzekł:

— Tu nie idzie mości Kożuszkę o wieszanie. Nikt ci tu nie mówi o wieszaniu i radzę ci trzymać język za zębami, bo straż marszałkowska ma długie uszy.

— Straż marszałkowska obywatelu, to nędzne narzędzie despotyzmu? Nie! obywatelu Withofie trzeba zburzyć Bastylję, rozpędzić sejm arystokratów i zwołać konstantę...

— Jaką Bastylję? co waćś gadasz? gdzie tu jest jaka Bastylja w Warszawie? No — dodał siadając — nie ma czasu na próżne słowa. Słuchaj mię waćpan pilnie.

— Słucham cię obywatelu Withofie. Kożuszek słucha, niech drżą arystokraci!

Podniósł brudną rękę do góry a dziurawe łokcie karmazynowego kontusza zabłysły szpetnymi strzępami. Withof przyzwyczajony widocznie do tego sposobu zachowania się Kożuszka, nie zważając na jego monolog i wykrzykniki, począł tak mówić:

— Wiesz zapewne mości Kożuszkę, żeśmy dzisiaj, pan Prezydent, pan Bars, Mędrzecki i inni z częścią deputacyi miejskiej jeździli do imci pana hetmana wielkiego koronnego, prosząc go o poparcie naszej sprawy.

— Nie prosić obywatelu Withofie, ale rozkazywać nam należy! — przerwał Kożuszek.

— Otóż muszę ci powiedzieć — mówił dalej Withof nie zważając na tę przerwę — że hetman nas jak najgorzej przyjął, mówił tam coś o pieprzu, byli tacy nawet koło niego, co nam bizunami grozili.

— Łotry! arystokraty! — mruczał Kożuszek — wiesz, cięć, siekać!..

— Nie wiem — ciągnął dalej Withof — z kąd się wziął tłum ludu, jakie parę tysięcy głów, które nas odprowadzały do pałacu hetmańskiego, czekały tam na nas, z krzykiem witały i słyszę dotąd zbierają się przed pałacem. Hetman jest podobno w strachu wielkim i z pistoletami chodzi...

— Godzina pomsty ludowej się zbliża! — wołał patetycznie Kożuszek.

— Nie wiem czy tam kto podburza lud, czy jak, ale zawsze należałoby z tego strachu hetmańskiego skorzystać. Mości Kożuszkę, pójdiesz sobie do tego zbiegowiska i będziesz się starał, by się nie rozchodzili, by nawet całą noc wrzeszczeli pod oknami Branickiego, by nakoniec nie dawali się jego hajdukowi. Od czegoż kamienie w bruku? Chodź,

radź, napieraj gdzie trzeba, zachęcaj, czyni co można na koniec...

Kożuszek podniósł do góry dwa palce prawej ręki z patetycznym giestem:

— Obywatelu Withofie, przysięgam ci, że lud pomści się na hetmanie, tak, przysięgam ja, obywatel Kożuszek! Niech żyje stan trzeci!

— Nie krzycz acpan tak, nie trzeba, żeby ktokolwiek bądź wiedział, że u mnie byłeś, że ze mną gadałeś. Gębę stulić i pary z niej nie puścić.

Kożuszek postąpił parę kroków.

— Spełnię wszystko, co mi mówisz obywatelu Withofie, przysięgam!

Rzekłszy to posunął się parę kroków naprzód a błoto piszczało mu szkaradnie w dziurawych butach, i zacierając ręce a uśmiechając się począł szeptać:

— Widzisz, obywatelu Withofie... parę dukacików by się przydało... nie wiele, tak ze trzy... ja dziś jeszcze w gębie nic nie miałem. Lud kocham i stan trzeci, ale widzisz, obywatelu, człek nie samym chlebem żyje. Trzeba temu i owemu coś kupić, a tu w kalecie pustki. Jak Boga kocham, żebym tu zaraz skiśniał, tak nie łżę. Ja to wszystko uczynię co każesz, ale pare czątych by się przydało... Stara Magda na Krzywem kole nie chce mi borgować już nic. Czasy ciężkie...

Zacierał brudne ręce i krzywił się szkaradnie, co u niego miało znaczyć uśmiech i kłaniał się a czkawka męczyła go ciągle.

— Dobrze — odrzekł Withof — dam ci trzy dukaty, ale zapowiadam: jak mi się upijesz, sam się postaram o to,

że cię wezmą marszałkowsey do kordegardy, a wiesz, że oni nie żartują.

— Ja bym się miał upić? ja? Barani Kożuszek? przebóg obywatelu, co mówisz? Ja, obrońca ludu! Marszałkowsey! niech ich piorun spali! No, obywatelu pare czerwienców...

Withof dobył trzy dukaty i dał je „obrońcy ludu.“

— Spiesz się — rzekł — noc się zbliża i czas jest szkaradny. Zbiegowisko może się rozejść, a nie trzeba żeby się rozeszło. Choć tę jedną noc niech wytrzyma, a wszystko będzie dobrze. Kamieni przecie nie zabraknie.

Kożuszek chwyciwszy trzy dukaty schował je szybko do kieszeni kontusza, jakby się bał, żeby mu ich nie odebrano i z rozpromienioną twarzą, z ruchami patetycznymi począł pawić:

— Nie lękaj się obywatelu Withofie, lud się nie rozejdzie, skoro ja tam będę, ja, Kożuszek! Skinę tylko, a dzie sięć tysięcy nożów błysnie! Ja to uczynić mogę. Biada arystokratom! biada!

— Dobrze! dobrze! idź już acpan i czyni jakom nakazał.

Właśnie w tej chwili zjawił się w antykamerze Pieprznicki. Zrzucił z siebie opończę, z której woda ciekła i wszedł z miną markotną do komnaty, zacierając zziębnięte ręce.

— A co tam słysząc, Dominiku? — pytał Withof.

— A co? to co gadał Kwiatkowski, jest świętą prawdą.

Ciekawie popatrzał na Kożuszkę, który mu się kłaniał, oczkami rzucił i ze swej strony przyglądał się Pieprznickiemu.

— A to ki djabeł?—spytał ten ostatni Withofa wskazując na Kożuska.

Withof nie odrzekł, tylko zwracając się do „obroncy ludu“ dał znak, by wyszedł.

— Spiesz się mości Kożuszk, czasu szkoda!

Kożuszek mówiąc „idę“ pokłonił się po kawalersku obu młodzieńcom i zniknął za drzwiami.

— Kto to jest? — pytał znowu Pieprznicki.

— To... jest... Barani Kożuszek... pijaczyna, ale człek dobry, wykręcał się Withof i dodał:

— Powiedźże mi, jakże tam jest na mieście?

— A cóż? tłumy motłochu ostatniego, pijaków oberwańców, szewców i bab krzeczy przed pałacem hetmana aż strach.

— I czegoż oni chcą?

— A kaduk ich tam wie? żeby tak na mnie, tobym tę kanalję rozpędził w trzy pacierze. Dajcie mi jeno stu ludzi! Słychane to rzeczy, żeby szewcy wymyślali na hetmana!

— Wymyślają?

— I jak jeszcze. Włosy na głowie powstają, co się dzieje. I to wszystko wyście zrobili z waszemi deputacyami, sprawą miejską, stanem trzecim, i Bóg wie, jakimi tam jeszcze nowinkami zagranicznymi.

— A cóż hetman?

— Czy ja wiem? przecież go nie widział. Deszcz leje jak z cebra i zimno jest przenikliwe. Na dziedziniec harmaty dwie wytoczyli i wyrzucili je w bramę. Żeby tak na mnie, tobym dawno już był palił w tę kanalję, żeby ją djabli byli wzięli. Przed zamkiem stoi szwadron gwardyi królewskiej i w mieście niepokój jest wielki...

Withof zacierał ręce, biegając po komnacie i widocznie z nowin tych był zadowolony. Wieczór się robił i było już na pół ciemno. Pieprznicki mruczał niechętnie i wymyślał, a przypomniawszy sobie o Dydaku i rodzynkach, gadał, że on musi wrócić do Lublina, że jego Warszawa do pasy doprowadza, że mu się tu przykrzy, że nie wie po co tu przyjechał i tak dalej.

Withof na to nie odpowiadał, jeno biegał drobnymi krokami po komnacie, zajęty swemi myślami. W tem w antykamerze zjawił się pacholek prezydenta.

— Co tam? — pytał Withof.

— Pan przyzydent wzywa jegomościa natychmiast do siebie.

XIII.

Dekerta zastał Withof ogromnie wzburzonego. Biegał po pokoju, ręce załamywał i wołał.

— Wszystko stracone! wszystko stracone!

— Jutro chcieliśmy — mówił do Withofa — iść do marszałka sejmu Małachowskiego i zyskać go na swą stronę i powiedzieć mu, że w sobotę staniemy z memoriałem gromadnie przed stanami.

— W Sobotę? — pytał Withof, którego ta wiadomość mocno zaciekawiła.

— A tak w Sobotę, ale proszę ja ciebie, jakże tu iść do marszałka, jak można stanąć przed Sejmem po tem, co się teraz dzieje?

— A cóż się tam dzieje?

— Spałeś, czy co? mój Adasiu—porwał się Dekert—ta kanalia się zleciała przed pałac hetmana i krzyczy. Cóż to jest? bunt, emeuta jakaś! Do czego to podobne? Wszystko zgubią, popsują!

I pocziwa jego twarz przybrała wyraz szczerej rozpacz. Biegał znów po komnacie, załamując swe białe, pulchne ręce, a koronki u rękawów drżały mu jakby w febrze.

— Hetman tu przysłał umyślnego, który się bokiem przez mur od ogrodu wydostał z doniesieniem, że będzie strzelał.

— A to niech strzela! — odparł Withof.

Dekert spojrział na niego wielkimi oczami i zawołał:

— Oszalałeś czy co, mój Adasiu!

— Panie prezydencie, ja się bardzo dziwię temu wszystkiemu, co tu słyszę.

— Dziwisz się?

— A tak, bo najprzód nie należy nigdy zapominać o przyjęciu jakiego doznaliśmy dziś u hetmana, że on następnie jest największym naszym wrogiem. Nie przeto nie szkodzi że go kanalia trochę nastraszy, na przyszłość będzie musiał się liczyć z nami i ci wszyscy którzy chcą nam sztorcem stawać.

— Gadasz! gadasz! sejm się nie ustraszy, owszem w większy gniew wpadnie, że u nas się poczyną tak samo jak we Francji. Proszę cię, mój Adasiu, tyś tu znany w mieście. Withofowie stara rodzina warszawska, jedź ty tam do tej emeuty i uproś, żeby poszła spać.

Nie bardzo się to spodobało Withofowi, skrzywił się trochę i rzekł.

— Czy to konieczne?

— Ale konieczne, proszę cię, jedź! Uczyń to dla mnie. Niechże ja jutro u marszałka będę mógł powiedzieć, że w mieście cicho i obawiać się nie ma czego. Jedź że, jedź! Tylko patrzeć, jak Król Jegomość przyśle tu kogo. Weź moją karocę i jedź!

— Lepiej by było wierzchem.

— A i owszem. Zaraz posłę po konia.

Jakoż w ówierć pacierza Withof w konfederatce na głowie, odziany w duży czarny płaszcz hiszpański, ze szpadą przy boku i z pistoletami w olstrach, pędził ku pałacowi hetmana Branickiego. Noc zrobiła się zupełna, ciemna, smętna i dżdżysta. Rzadkie w owe czasy latarnie w mieście słabo oświecały ulice, ciemniejsze jeszcze przy tym migotliwym blasku. Gdzie niegdzie, przed bramą domów czerwieniała latarka, a po ulicach pełnych błota nie wielu było przechodniów. Za to karoce, otoczone hajdukami zbrojnymi, zaopatrzonymi w pochodnie, latały jak szalone w tę i ową stronę. Ruch jezdnych i wszelkiego rodzaju powozów był wielki, zwłaszcza na Krakowskim Przedmieściu. Wszystkie pałace tak liczne na tej ulicy, oświecone były i służba kręciła się po dziedzińcach. Z niektórych sklepów jasny pas światła padał na błotnistą ulicę a w pasie tym migali się tylko jak cienie ludzie, konie, bryczki, powozy karoce...

Withof posuwał się naprzód ze stałym zamiarem zobaczenia, co się dzieje, ale nie mieszania się do niczego. Radby był bardzo, żeby napędzić mocnego strachu hetmanowi i chorążemu. Nie sądził, żeby to mogło zaszkodzić sprawie, owszem był przekonany, jak to objawił Dekertowi, że pomoże, że przekona wszystkich, iż mieszczaństwa znowu tak bardzo lekceważyć nie można, że trzeba się z niem liczyć,

a licząc, porobić mu jakie żąda ustępstwa. Jechał więc wolno, starannie otulony w płaszcz, oglądając się dokoła i pilnie nasłuchując dalekiej wrzawy, huczącej aż tutaj, niby morze wzburzone. Już zdala widział mnóstwo ognia, latarni, pochodni, drgających wśród czarnej jakiejś masy, ruchomej jak fale morskie. Przysłuchiwał się, przypatrywał, i nie spieszył wcale. Ciężki niemiecki koń Dekerta, na którym ten czasem przejeżdżał się, stapał wolno, kłapiąc głośno kopytami o miękkie błoto ulicy.

Do pałacu hetmańskiego trudno się było dostać, cała bowiem ulica zapelniona była tłumem najróżnorodniejszym, krzyżącym, wyjąłym, piszczącym i wymysławiającym. Ze wszystkich zdaje się kątów i zaułków wielkiego miasta, wypłynęły nagle na wierzch cienie społeczne i rozpoczęły tutaj swój taniec. Jakies brudne, czarne, obdarte, podejrzane fizjonomie chyłkiem przemikały się między tłumem, temu i owemu coś do ucha szeptały, potrząsały olbrzymiami, sękatemi pałkami i znikały w ciemnościach. Tłum co chwila, jak fale wodne chwiały się, cofały, postępowały naprzód. Było tu mnóstwo kobiet, przekupek i lafirynd wystrojonych, krzyżących dzieci, chłopaków zadowolonych, że im się sposobność zdarzyła do swawoli. Było tego wszystkiego jakie kilka tysięcy i przybywało ciągle więcej, choć zimno było szkaradne i deszcz padał nieustannie. Wielu było z latarkami, wielu pozapalało pochodnie, których płomień miotany wiatrem rzucał migotliwe, krwawe blaski na te tłumy czarne, gęste. To niepewne światło robiło ciemności jeszcze czarniejszymi i nadawało całości jakiś dziwny, nieziemski charakter, niby zjazd czarownic na sabat piekielny.

Pałac hetmański był ciemny, w paru tylko oknach świeciło się, ale za to cały dziedziniec zamknięty od ulicy

żelazną kratą, roił się od zbrojnej szlachty, hajduków i żołnierzy. I między niemi widać było latarnie i pochodnie, a przy ich blasku Withof dojrzał dwie spiżowe armatki, wyłotami skierowane na ulicę. Tłum tymczasem ryczał jak rozhukane morze.

— Dawajcie nam tu zdrajcę! — krzyczał jakiś głos olbrzymi.

— Obwiesić go!

— Ukamienować!

— Na sztuki porąbać!

— Wybić bramę.

— Dalej bracia!

Withof stał sobie na boku i przypatrywał się temu wszystkiemu ciekawie, upatrując starannie Kozuszkę. Spozstrzegł go nakoniec w kipiącej na głowie konfederacie, z koszturą w rękę, kręcącego się ciągle, ruchliwego niezmiernie i od czasu do czasu krzyżącego swym przepitym, chrapliwym głosem.

— Wybić bramę! dalej naprzód! Śmierć arystokratom!

Potem zaszył się w kupę, zniknął na chwilę by wypłynąć w innej stronie i znowu krzyżać.

— Wyrwać bruk. Kamieniami ich zasypać!

Wszystko jednak kończyło się na krzykach i widowiskiem było, że większość zbiegowiska bawiła się tylko, a nie miała żadnych stanowczych zamiarów. Prawdopodobnie bardzo niewielu takich było, którzyby wiedzieli o co idzie. W końcu jednak kamienie poczęły świstać i padać w kratę lub na dziedziniec pałacowy, sprawiając tam w gęstej masie szlachty nie małe zamięszanie. Za każdym uderzeniem kamienia rozlegały się krzyki, śmiechy, wrzaski jakies piekielne.

— Ano, może i będzie co z tego! — mruknął do siebie Withof.

Nie zanosilo się jednak na to. Wyrzucono kilkanaście kamieni i poprzestano na tem. Znowu poczał między tłumami zwiąca się Kożuszek i znowu kamienie z trzaskiem tłuc się poczęły o kraty. Tłum pchnięty przez tych, którzy się znajdowali na tyle, uderzył własnymi ciałami o kratę; rozległy się dzikie wrzaski, przekleństwa, płacz dzieci i kobiet.

— Śmierć arystokratom! — wrzeszczał Kożuszek.

Ale teraz przebrała się miarka szlacheckiej cierpliwości. Na dziedzińcu pałacowym zrobił się ruch, zagrzmiął tentent koni, brzęknęły szable, rozległa się komenda, rozkazy jakieś, i brama żelazna z trzaskiem otworzyła się na ścieżaj. Z bramy tej z krzykiem, z podniesionemi do góry szablami wypadło kilkudziesięciu jeźdźców, hajduków, żołnierzy i szlachty, i uderzyło w gęstą kupę ludu. Z drugiej strony od zamku wyciągniętym kłusem biegła gwardya królewska, pułk ułanów Bielaka z proporczykami u lanc.

Nie było tu już co robić. Withof odskoczył na stronę i patrzy, jak hetmańscy wszyli się w kupę i tną szablami na prawo i na lewo. Rozległy się straszne, nie dające się opisać wrzaski, Nagle cofając się od bramy zrobił się w tej zbitej masie ścisk okropny, wielu upadło, a reszta po nich deptać poczęła. Potem tłum z dwóch stron naciśnięty, rozprysł się jak stado spłoszonych owiec. Kto tylko mógł uciekał. Przewracano się, popychano, deptano po sobie w strasznym popłochu. Withof spostrzegł przebiegającego koło siebie Kożuszka. Uciekał z konfederatką nasadzoną silnie na głowę, pochylony cały, przerażony mocno,

trzymając oburącz poły swej opończy, żeby mu nie przeszkadzała. Zawołał na niego:

— Kożuszek!

Ale ten nie obejrzał się nawet, tylko zmykał i wkrótce zniknął w ciemnościach nocy. Nie było tu na co czekać dłużej. Withof nie chcąc oberwać po łbie od rozwścieczonych hajdaków hetmańskich, pojechał konia nogami i pędem ruszył naprzód, zostawiając za sobą okropną wrzawę, przekleństwa, płacz i jęki.

Był gniewny na siebie i wszystkich. Wrzało w nim jak w ukropie.

— Nie na tem koniec panie hetmanie koronny — mówił do siebie — poczekaj, jutro lepiej wystąpimy i zapłacimy krwią za krew dzisiejszą.

Nadkładając drogi i okrażając miejsce zbiegowiska, dostał się nakoniec na Stare Miasto. Tutaj spotykał gromadki, uciekające w popłochu, krzyczące głośno, odgrażające się pomstą. W ratuszu zastał Dekerta, Barsa i Paschalisa. Gdy wszedł, prezydent skoczył do niego.

— No co? co? rozpędzili kanalią hetmańscy?

— Rozpędzili.

— I cóż?

— Nic nie wiem, ratowałem siebie, ale trup musiał paść gęsty.

Załamiał ręce Dekert.

— Wielki Boże! potrzebaż ta krew niewinna!

— Potrzebna, bardzo potrzebna! — porwał się Bars — niech hetman wie, że żartować z nami nie można.

— Ależ to bunt! — przerwał Dekert.

— Nie bunt, wcale nie bunt. Szkoda tylko, że się

to tak nagle zrobiło, że nie było w tem ładu i porządku! — mówił Bars.

Withof znużony, pożegnał obecnych i poszedł do siebie myśleć o Teklusi.

XIV.

Nazajutrz Withof, nie myśląc już wcale o hetmanie, o stanie trzecim, o swych wielkich zamiarach, o wczorajszej burdzie ulicznej, a tylko o jednej Teklusi, wybrał się na mszę do kościoła Bernardynów. Wystroił się jak zwykle czarno, a że dzień po wczorajszym kapuśniaczkę zrobił się ładny, przymrozek chwycił i sucho było na ulicach Warszawy, więc poszedł pieszo. Na wszelki wypadek jednak, co należało przypuszczać, gdyby Teklusia nie była w kościele, napisał liścik pełen zaklęć i tkliwych wyrażen, schował go starannie, postanawiając w razie potrzeby oddać go Hipolitowej.

Z biciem serca zbliżał się do kościoła. Więc ją nakoniec ujrzy, obaczy te śliczne, błękitne oczy, te włosy ze złota, tę kibić, usłyszysz może ten głos, który jest najcudowniejszą dla jego ucha muzyką. Nigdy w życiu nie czuł się tak niespokojnym, jak w tej chwili, kiedy stawał przed ciężkim, poważnym, pękatym gmachem kościoła Bernardynskiego. Było jeszcze dość wczesnie i cicho tu było. Kilka bab i dziadów siedziało w kruchcie, a między innemi Hipolitowa swarzyła się głosem przytłumionym z jakimś szpetnym i zuchwałym dziadem. Była tak mocno zajęta tą kłótnią, że nie spostrzegła wchodzącego Withofa, tak że ten musiał na nią zawołać.

— Hipolitowa!

Baba aż podskoczyła na swem zydlu na ten głos, i podniosła swe krwią zaszele oczy.

— Nikt nie był? — spytał Withof.

— Nikt paniczku; ja pilnuję, oho! mojego wzroku nie nie ujdzie.

Withof nie słuchał tylko poszedł do kościoła, gdzie właśnie ksiądz wychodził ze mszą. Poważna świątynia, na pół mroczna i cicha była prawie pusta. Dzień był powszedni i wielki, świat warszawski jeszcze spał. Kilka mieszkańców klęcząc przy ławkach, modliło się pokornie.

Withof wsunął się w kąt, gdyż nie chciał by go od razu widziano. Nie był bowiem pewny z kim Teklusia przyjdzie, może z podkomorzyną, a w takim razie nie trzeba żeby go ta ostatnia widziała. Nie długo jednak czekał. Przed kościołem rozległ się turkot zajeżdżającej karety; z sercem bijącym mu jak młotem, usłyszał ciche kroki a potem spostrzegł we drzwiach Teklusię i pannę Scholastykę. Nie namysławiając się więc wiele, wysunął się naprzód, przystanął i pokłonił się.

Pierwsza spostrzegła go Teklusia. Z pod kapturka futrzanego, jaki miała na głowie, jej oczy spoczęły na drżącym Withofie. Zarumieniła się jak róża, zachwiała i mimowolnie stanęła, szepejąc:

— A! mój Boże!

Panna Scholastyka tym ruchem i temi słowami dziewczyny zbudzona, podniosła także swe spłowiałe, zielone oczy i widząc Withofa kłaniającego się, kiwnęła mu głową, zmieszała się trochę i szepnęła do Teklusi:

— Chodźmy, tu przecie kościół!

Poszły dalej, usiadły w ławce i pograżyły się obie w modlitwie. Poważny głos organów stłumił ciche łkania dziewczyny i cichsze jeszcze bicie jej biednego serca. Nie obejrzała się ani razu, choć czuła skierowany na siebie wzrok ukochanego. O! wybacz jej wielki Boże, że w przybytku Tobie poświęconym myśli tylko o kochanku, a nie o modlitwie. Wszak miłość jest jedną z najpiękniejszych, najwspanialszych modlitw ziemi!

Withof nie wiedział co i jak zrobić, żeby się można rozmówić z Teklusią. Cekał, łamał sobie głowę, żał go jakiś nieokreślony chwytal, rozpacz i gniew na tą swoją nieszczęśliwą miłość pełną przeszkód i trudności. Przez całą mszę o tem tylko myślał i patrzył siedząc w ławce na Teklusię, pochyloną nad książką, na zwoje jej złotych włosów, na biały jak alabaster kark dziewczyny, wydobywający się z pod futerka. Nakoniec po szczegółowem rozpatrzeniu się w różnych projektach i pomysłach, postanowił czekać na obie kobiety w krucheie kościelnej.

Ksiądz tymczasem odprawiał wolno Ofiarę Ś-tą, organy grały poważnie i melancholijnie; po ciemnym na poły kościele migotały blaski świec, aniołki unosiły się na złocistych skrzydełkach ku niebu, woń trybularzy rozechodziła się szeroko. Cicho tu było w tym przybytku Bożym, w tej świątyni, poświęconej Najwyższej Myśli. Withofa jednak wszystko to nie nie obchodziło. Był wolteryaninem trochę, wolnomyslnym i nudził się przydługim nieco czekaniem.

— Kiedyż ten ksiądz skończy? — szeptał do siebie.

A Teklusią zdawała się coraz goręcej modlić, panna Scholastyka biła się rękami w suche piersi. Nakoniec kapłan od ołtarza odwrócił się i zagrzmiało w kościele poważne:

— *Ite missa est.*

Withof podniósł się, stanął we drzwiach kościoła, postanawiając tu czekać na kobiety; jakoż wkrótce i one ruszyły. Teklusią szła czerwona jak wiśnia, rzucając do koła oczami, widocznie szukając Withofa. Gdy się do niego zbliżyły, ten cofnął się do kruchyty i szepnął:

— Tekluniu, słóweczko jedno.

Ale panna Scholastyka wdała się w to zaraz:

— Co waćpan chcesz? na miłość Boską, gdyby chorąży się dowiedział.

— Nie dowie się! — odrzekł Withof.

— Pozwól Scholasiu — odezwała się nakoniec Teklusią — tylko pare wyrazów powiem panu Adamowi.

— Obraza Boska! — zawołała Scholastyka — w kościele!

— To już nie kościół, ale kruchta.

Stara panna chciała coś odrzec, gdy Teklusią obróciła się do Withofa i nuż mówić:

— Żle bardzo, panie Adamie, bardzo źle! Mnie serce pęka, sama już nie wiem co się ze mną dzieje. Ojciec grozi mi klasztorem. Co to będzie!

— Musi być dobrze. W tych dniach koalicja miast udaje się do sejmu. Stany się zgodzą, zapal się rozszerzy, pan chorąży zapalem tym porwany, ustąpi.

— Ach, wątpię!

— Zaraz po sejmowej audyencyi oświadcze się o twoją rękę, Tekluniu.

— O! zakryła twarz rumianną, nie czyni pan tego!

— Muszę. Gdybyś co miała do mnie, daj Hipolitowej.

— Dobrze.

— Chodźmy już!—wołała Scholastyka—jeszcze nas kto obaczy i doniesie chorążemu.

— Kto obaczy?

— Hajduk Franek.

— A gdzież on jest?

— Przy karocy.

Withof zbłądł na tę wiadomość. Istotnie hajduk ten „lizus“ chorążego, jak go nazwał Kwiatkowski, mógł lada chwila zajrzeć do kruchty i o wszystkim donieść chorążemu. A Teklusia podając białą rączkę Withofowi, szeptała:

— Do widzenia!

— Czy kochasz mię Teklusi?—pytał chłopak cicho.

— Kocham! — odrzekła jeszcze ciszej.

Pożegnali się i rozeszli. Kobiety poszły drzwiami na lewo, a Withof na prawo. Ledwie stanął na progu, rozpromieniony jeszcze ostatniem wyznaniem swej ukochanej, szczęśliwy taki, jakby pod nim niebo się rozwarzyło, drżący od wzruszenia, nie myślący już o niczem i wszystko na świecie uważający w obec tej miłości za głupstwo, gdy taki zamysłony, na pół senny i nieprzytomny stanął w progu drzwi, natknął się twarz w twarz z hajdukiem Frankiem. Chłop przechadzał się przed kościołem czekając na swe pannie i spostrzegłszy Withofa wlepił w niego swe duże, zielone oczy z wyrazem zdziwienia. Zjadliwy uśmiech zawisł mu na ustach, ale już panna Scholastyka wołała swym niskim głosem:

— Franciszku!

Zakręcił się, zdjął kapelusz, otworzył drzwiczki u karocy, wsadził do środka obie kobiety, spojrzał jeszcze raz na skamieniałego Withofa i skoczył na kozioł. Karoca za-

przeżona w ręce konie, pomknęła jak strzała, unosząc ze sobą całe szczęście Withofa.

Spotkanie z hajdukiem Frankiem zrobiło na nim takie wrażenie, jakby mu u stóp piorun trzasł. Skamieniał prawie. Stał i patrzył jak obie kobiety wsiadły do karocy, jak go hajduk obrzucił wzrokiem i zdawał się uśmiechać, jak w końcu karoca pomknęła. Patrzył za nią, lecącą pędem, i zrobiło mu się tak na sercu, jakby z każdym krokiem koni wiozących chorążankę, ktoś rwał mu je po kawale. Nieopisany żal i tęsknota owładnęła nim za tą dziewczyną, którą tak krótko widział, jeszcze krócej z nią mówił. Przerazonny był do głębi duszy i lękał się teraz jakiej katastrofy. Stał, patrzył, nie ruszał się z miejsca i nie mógł zebrać myśli.

— Co się tam teraz stanie, gdy ten hultaj wszystko powie!

Drżał na tą myśl i wściekłość go ogarniała.

— Ach! łotrze, czemużem cię nie ubił na miejscu!

Zgrzytał zębami i ścisnął pięści. Oprzytomniał na koniec, odszedł wolnym krokiem i począł rozmyślać nad swoim i Teklusi położeniem. Co tu czynić? jak czynić? pytał samego siebie. Robić trzeba coś i to zaraz, bo inaczej hajduk wszystko wyśpiewa, a następstwa tej zdrady mogą być straszne dla miłości dwójga młodych ludzi. Na razie nie widział żadnej rady, nie znajdował środka i ogarniała go głucha rozpacz, gniew na siebie samego, że tak głupio, jak gap ostatni wleził na hajduka. Po niejakiem rozmyśle jednak mówił sobie, że to prawdopodobnie było wszystko jedno, że hajduk musiał przecież choć na chwilę zajrzeć do kościoła, i że tam Withofa wprzód już widział i wiedział, co o tem ma trzymać.

— Co tu czynić? co czynić? — łamał sobie głowę biedny młodzieniec. Gdybym mógł tego obwiesia obaczyć, oddałbym mu za milczenie cały mój majątek.

Nagle przysłała mu myśl do głowy. Zawrócił żywo i biegiem prawie leciał do kościoła. Stanąwszy we drzwiach skinął na żebraczkę Hipolitową, klójącą się wciąż zajadle z sąsiadem swoim strasznym, krostowatym dziadem. Podniosła się i kuśtygając stanęła przed Withofem.

— Przychodź do mnie natychmiast, nie tracąc ani chwili czasu. Mam ważną do ciebie sprawę! — mówił Withof.

— Dobrze paniczku! a zarobię co?

— Zarobisz, zarobisz, tylko przychodź natychmiast. Idę do domu, czekam cię

W dwa pacierze potem Hipolitowa była już w komnacie Withofa sam na sam z nim.

— Jestem paniczku — gadała baba.

— Słuchaj mię pilnie, co ci powiem — mówił Withof — pójdziesz mi zaraz, natychmiast, nie tracąc ani momentu jednego do pałacu hetmana koronnego, do kwatery chorążego Janikowskiego.

— Z liścikiem do panienki?

— Nie, nie przerywaj mi, tylko słuchaj. Nie z żadnym liścikiem i nie do panienki, jeno do hajduka Franka.

— Hajduka?

— Tak, Franek mu na imię.

— Kiej ja go nie znam.

— Nie znasz! nie znasz! Od czegoż masz język! Pytaj się, szukaj, ale znaleźć go musisz i to zaraz! Jak go znajdziesz, powiesz mu, że ja cię przysyłam do niego, że jeżeli chce zarobić sto, dwieście nawet dukatów, to niech milczy jak sum i niech przyjdzie do mnie, jeżeli może w tej

chwili. Będę na niego czekał, nie ruszę się z domu choćby do sądnego dnia. No, idź Hipolitowo.

— A mnie co paniczku? w gębie dziś nie miałam jeszcze cieplej strawy.

Baba łgała, bo przecież wczoraj dostała parę dukatów. Ale Withof zajęty czem innem, nie myślał o tem. Dobył trzy dukaty, wsunął je w łapę babie i zaklinał tylko, by śpieszyła i by koniecznie sprowadziła mu hajduka. Baba poszła zostawiając Withofa w nadzwyczajnym niepokoju. Biegał po swej komnacie, łamał ręce, wpadał raz w rozpacz, to znów w giew, chciał wołać Kozuszką, by nową urządził emeutę, choć wczorajsza krwawo i smutnie się skończyła. Co chwila spoglądał na zegarek, liczył godziny, minuty, sekundy, wyglądał przez okno upatrując baby. Na koniec zjawiała się. Ledwie weszła, przypadł do niej.

— Widziałas hajduka?

— Widziałam.

— Powiedziałaś mu?

— A jakże, wszystko mu powiedziałam.

— I cóż?

— Ano... chłop wyga i skurczybuta... ale dukaty go skusiły.

— Przyjdzie? czemuś go zaraz nie przyprowadziła?

— Nie chciał, gadał, że nie może. Będzie wieczorem u panicza... Przysięgał się, że będzie.

Uspokoilo to Withofa. Wypytał się jeszcze Hipolitowej czy nie zauważyła w kwaterze chorążego czego nadzwyczajnego, ale odpowiedziała mu, że nie, że tam wszystko spokojnie, jeno w pałacu krata jest zamknięta i straż ciągle stoi, a harmaty na dziedzińcu wyręchtowane są na

ulicę. Pytał jej się jeszcze, czy nie widziała Tekluni lub panny Scholastyki? Odrzekła, że nie.

— Idźże teraz pod kościół — rozkazywał jej w końcu Withof — i siedź tam, żebym wiedział gdzie cię szukać, bo cię mogą potrzebować.

Ten dzień zresztą Withof miał w ciągłym niepokoju przepędzić. Poszedł na obiad do Dekerta i dowiedział się tam, że prezydent był u Marszałka sejmu, że został przyjęty jak najlepiej, że uradzono, iż deputacya miejska pojutrze stanie przed sejmem. Wszystko to nie wiele obchodziło Withofa. On całą myśl, wszystkie siły serca i rozumu miał zajęte Teklunią i hajdukiem. Poszedł zaraz do siebie po obiedzie i męcząc się a dręcząc oczekiwał wieczoru. Gdy się po południu zjawił Pieprznicki, wysłał go do Fukiera, żeby się zobaczył z Kwiatkowskim, ale Pieprznicki żadnych wieści nie przyniósł. Kwiatkowski nie wiedział, mówił tylko, że chorąży w dobrym jest humorze, że zaciera ręce i gada:

— Daliśmy wczoraj łykom dobrą nauczkę, odechce im się wolności szlacheckich.

Przyszedł wieczór, godziny mijały za godzinami, a hajduka nie było. Całą noc na niego czekał Withof i nie doczekał się wcale.

XV.

Withof był teraz na pół w rozpacz. Dręczył go straszny niepokój. To, że hajduk Franek nie przybył, jak przyobiecał, najlepszym było dowodem, że wszystko wy-

śpiewał chorążemu. Co robić? co się tam dzieje? czego obawiać się należy i jak temu zapobiedz? oto były pytania, które sobie Withof zadawał. Z drugiej jednak strony, biorąc pod rozwagę wiadomości, jakie przyniósł Pieprznicki, ów dobry humor chorążego, ów brak zresztą wszelkich wieści, przypuszczał, że nieprzybycie hajduka nie jest złem jakimś, ale prawdopodobnie wywołane zostało niezależnemi od służby okolicznościami. Może go gdzie posłali, może mu kazali siedzieć w domu, zajęli go czem, i tym podobne rzeczy mogły powstrzymać hajduka. Z tem wszystkiem choć starał się Withof uspokoić, choć zimny rozsądek mnóstwo mu dawał racyi, poszedł on spać dziwnie wzburzony, udręczony i smutny.

Nazajutrz pobiegł do kościoła na zwykłą schadzkę.

— Jeżeli się z Teklusią nie obaczę, to list jej prześlę. — Napisał więc list gorący, pełen zaklęć najtkliwszych, pełen miłości i łez, i z tym liścikiem udał się do kościoła. Przyszedł zawczasem i musiał czekać. Msza jednak się rozpoczęła i skończyła, a jego ukochanej nie było. Teraz niepokój wzrósł w nim do najwyższego stopnia.

— Tam się coś stać musiało, coś straszego! Ten zbój chorąży do wszystkiego jest gotów.

Wywołał na ulicę Hipolitową.

— Nie widziałas chorążanki?

— Nie, od wczoraj paniezu nie widziałam.

— I nie nie wiesz?

— Nie. A hajduk był? — pytała baba.

— Nie był.

— A to hultaj! — zamyśliła się — on coś uknuł, ale ja się dowiem paniezu, i temu złodziejowi pyski zbiję, kośćturem mu łeb rozwalę, żebym tak zaraz skiśniała.

— Masz tu liścik i biegnij do pałacu. Staraj się koniecznie obaczyć z samą panienką. Moja Hipolitowa ozłocę cię, jak mi od niej wieść, choć słówko przyniesiesz...

Błagał ją prawie ze łzami.

— Idź zaraz i spiesz się. Czekam cię u siebie w domu.

Baba pokuśtygała, a on ze wzrastającą niespokojnością, szarpany jakimś najczarniejszymi przeczuciami, powlókł się do domu. Bóg wie co mu przychodziło do głowy.

— Może chorąży zamknął Teklunię w klasztorze! Odgrażał się z tem przecie. O! niech ze mną nie żartuje. Choćby z piekła moją najdroższą, mój skarb, moje złotko jedyne dostanę i pytać się ciebie tyranie okrutny nie będę.

W domu miejsca sobie znaleźć nie mógł. Kręcił się, siadał, chodził, wybiegał do antykamery, wyglądał na ulicę, jednym słowem przedstawiał obraz człowieka szarpanego najwyższym niepokojem. W godzinę dobrą przykuśtygała Hipolitowa.

— Co słychać?

— Żle paniezu.

— Gadaj, na rany Boskie gadaj! List oddałaś?

— Nie.

— Dla czego?

— Bo panienki niema.

— Jakto niema?

— A niema. Nikogo do pałacu nie puszczają. Ale mam ja głowę na karku, bokiem poszłam. Od Janowej mówiłam paniczowi, mej kumy, dowiedziałam się strasznych rzeczy, niech Pan Jezus broni.

— No co? gadaj!

— Wczoraj wieczorem, już było ciemno, zajechała karoca. Wsadzili w nią panienkę, tę drugą chudą babinę,

co zawždy z panienką jeździła, siadł też chorąży. A hajduk Franek powoził...

— I co?

— I pojechali!

— I nie wrócili więcej?

— Wrócił ale jeno sam chorąży. Janowa nie wie, kiedy i jak wrócił, ale że sam to pewno, bo ani panienki, ani tej chudej baby, ani psubrata hajduka nie ma...

— Dokąd pojechali? — pytał Withof bladej z kroplistym potem na czole.

— Czy ja wiem? Janowa nie wie i nikt nie wie. Chciałam pójść do kuchni chorążego, myślę sobie, wywiem się może jako, spenetruję. Ale ledwie weszłam na schody, zdybał mnie jakiś sługus i nuż krzyżeć: „won ztąd! czego tu chcesz? czy cię skóra świerzb? wynos mi się zaraz! Ano zwymyślałam zbója, napyskowałam się co niemiara, ale mię nie puścił, jeno wyrzucił za drzwi. Kosturem go ta dotknęłam, to mię jeszcze w kark nabił, aż mi spuchł. Na smarowanie przydał by się talarek paniczku...

Withof chwycił się za głowę i latał po komnacie jak szalony. Łamał ręce.

— Wywiózł ją ten tyran, wywiózł! A! co ja uczynię, co ja będę robił biedny, nieszczęśliwy człowiek!

O mało że nie płakał i łzy miał w oczach.

— Przekleństwo — wołał — z takim krajem i z takim narodem. Hipolitowo!

— Co paniczku?

— Rób, co chcesz, a dowiedz mi się, gdzie jest chorążanka?

— Ba! ba! ba! paniczku... już ja próbowałam. Kiedy mię ten zbój sługus spędził ze schodów do kuchni, tom ja

poszła innemi i weszłam do antykamery samego chorążego. Wypadł sam i nuż krzyczeć: won ztąd! tyś liściaki nosiła! znam ja cię! różgami cię zasiec każę. Ano źle, myślę sobie, więc gadam: wielmożny panie, ja po proźbie przyszedłam, do zmiłowania Pańskiego grosik. Ale nie, chorąży krzyczy: hej! jest tam kto? Więc ja w nogi. I mówię, że źle jest, bardzo źle. Wywiózł panienkę ten srogi człek, a bo ja wiem gdzie? Może do klasztoru, może gdzie?

— Z pewnością do klasztoru! — zawołał Withof.

— A może i do klasztoru. Janowa powiada, że biedaczka czarno była ubrana i welum miała na twarzy i szlochała głośno...

— Płakała?

— A tak!

— A! — jęczał Withof — mnie serce pęknie z żalu.

Biegał znowu po komnacie w uniesieniu strasznego gniewu i rozpaczony wywołanej głębokim poczuciem swej bezsilności wobec tego faktu. Łamał ręce, darł włosy i baba patrząc na to, gadała:

— Ho! ho! tak to, tak... ja to rozumiem. Albo tom ja się nie kochała! A młody Humiecki? chłopiec był jak malowanie a goły jak święty turecki. Żebym tak skiśniała, jeżli lżę choć krzygnę. Polubiłam go, bo był goły, a ciche to takie a skromniutki. Ho! ho! ja to rozumiem. Kole serca...

Przerwał jej Withof znacznie już spokojniejszy. Stał przed babą blady z ustami nerwowo jeszcze drgającymi, z oczami szeroko rozwartymi, ale burza już przeszła.

— Słuchaj Hipolitowa, nie wiesz dokładnie, kiedy wrócił chorąży do domu?

— W nocy panieczku, w nocy.

— Ale o której godzinie?

— Tego nie wiem.

— Hm! — mówił Withof, zakładając ręce w tył i przechadzając się w wielkiem zamysleniu po pokoju — hm! jeżeli istotnie Teklunię wywiózł do klasztoru, to gdzieś blisko kiedy wrócił tej samej nocy do domu. W pobliżu Warszawy nie ma nigdzie żeńskich klasztorów. Więc Teklusia jest w Warszawie.

— I mnie się widzi, że w Warszawie.

— Otóż widzisz, trzeba jej szukać.

— Dobrze panieczu.

— Hipolitowo! masz jakie znajomości w klasztorach mniszek warszawskich?

— Czemu nie? znam tu jedną babę, co także po proźbie chodzi, co jej u Wizytek dali kącik na noc i obiad w niedzielę i święta. Ja sama czasem chodzę do furty panien Sakramentek, bo mi tam dają parę groszaków i znam pannę furtyankę. Ho! ho! już ja tam wypenetruję. Jeżeli tylko panienka jest w Warszawie, to ja ją znajdę. Albo to co trudnego? czy to Warszawa las? Ale wielmożny panieczu — tu pokłoniła się do kolan — bez talarków ani rusz! talarki się przydadzą!

Withof poszedł do drugiej komnaty i przyniósł kilka dukatów.

— Masz! płać jak trzeba będzie, rób co chcesz a chorążankę mi znajdź! Dziś jeszcze muszę o niej wiedzieć. Idź zaraz, czasu nie trać, o niczem nie myśl, tylko o tem. Idź już, idź Hipolitowo.

Baba dukaty schowała, przysięgła się, że będzie szukała i wyszła. W antykamerze wyklóciła się znowu ze słu-

żącym Withofa, nazwała go capem i przecie w końcu kustygając wyniosła się za drzwi.

Withof zostawszy sam, począł spokojniej rozmyślać nad swem położeniem. Usiadł sobie przy oknie, oparł głowę na ręce i błędząc oczami po rynku staromiejskim, mówił do siebie.

— Jeżeli tylko chorąży Teklusię zamknął w którym z warszawskich klasztorów, to jeszcze pół biedy. Odnaleźć ją muszę i odnajdę. Wszelako trzeba być na wszystko przygotowanym. Jeżeli odnajdę, to trzeba będzie pannę mocą lub podstępem odebrać! A co potem? Ślub wziąć! Jak raz klamka zapadnie, to rzecz skończona. Ucieknę z nią do Lublina. Tam Pieprznicki mi dopomoże. Zaszyję się gdzie głęboko na Ukrainę i nie pokażę się jak za kilka lat. Na to wszystko trzeba pieniędzy. Pójdę zaraz do Tepera i odbiorę moje pięć tysięcy dukatów.

Nie zwlekając ubrał się i wyszedł. Nie mógł zresztą wysiedzieć w domu. Wrzało w nim wszystko, gotowało się ukropem. Stał jak na rozpalonych węglach.

Tepera zastał w kantorze. Przyjęty grzecznie od razu oznajmił po co przyszedł.

— Owszem, *mein lieber Withof* — gadał Teper — chcesz twoich dukatów, zaraz ci mój kasyer zapłaci. Ale powiedz mi, na co ci pieniądze? Przecież to twój jedyny fundusz?

Withof tłumaczył się, że czasy są gorące, że nikt nie wie co go jutro czekać może, że zatem lepiej mieć przy sobie pieniądze i tym podobne rzeczy, prawil bankierowi. Ten kazał mu wszystko co do grosza wypłacić.

Z pieniędzmi w kieszeni Withof ruszył ku pałacowi hetmana. Ciągnęło go tam serce. Choć rozum mu mówił,

że się tam nie nie dowie, przecież jakaś słaba nadzieja tliła mu w sercu.

— Może jaki znak, obojętny dla wszystkich, ale nie dla mnie spostrzegę. Może mi się uda kogo napotkać i dowiedzieć się cokolwiek. Mam pieniądze i żałować ich nie będę. Choćby mi przyszło wszystko wydać, wydam co do grosza, a Teklusię uratować muszę.

Owinał się w delie, zakrył wielkim hiszpańskim kapeluszem twarz i ruszył ku pałacowi hetmańskiemu. Krata tutaj była zamknięta, harmaty wciąż stały na dziedzińcu i kilku zbrojnych hajduków po nim się przechadzało. Zresztą była cisza i żywej duszy, do której by można przemówić, pogadać z nią choć trochę. Kręcił się Withof, zachodził z różnych stron, do bocznych drzwi nawet się dostał, ale wszystko to na nie się nie przydało.

Smutny, zrozpaczony, z duszą przepełnioną jak najczarniejszymi myślami, zaszedł do Prezydenta. Tu jak zwykle były narady. Kazano Withofowi wziąć memoryał, przepisać go i przygotować się do płynnego odczytania na sejmie. Wziął skrypt i wrócił do domu. Nie myślał już teraz o stanie trzecim, o wielkiej historycznej scenie, jaka się wkrótce rozegrać miała, a w której i on miał być aktorem, ale myślał jedynie o Teklusi.

— Gdzie on ją mógł ukryć?

Oto pytanie, które się co chwila wieszało na ustach Withofa. Niekiedy przypominał sobie hajduka Franka że gdyby tego zdrajcę dostał w swoje ręce, pasy by z niego darł. Od rana nie w ustach nie miał i nie myślał o jedzeniu. Zimno mu było tylko trochę. Kazał sobie więc zagrzzać wina z korzeniami i popijając je dumał ciągle. Był teraz spokojniejszy i cicha melancholia legła mu na sercu.

Po południu zjawił się Pieprznicki, jak zwykle znużony i strapiony, co tam ten hultaj Dydak robi z jego rodzinami. Widząc smutną fizjonomią Withofa, spytał go:

— Co ci się to stało Adasiu?

Opowiedział mu wszystko i prosił go, by poszedł do winiarni Fukiera, może zdybie tam Kwiatkowskiego i dowie się od niego choć cokolwiek. Pieprznicki poszedł i długo go nie było. Noc już zapadła, gdy się zjawił.

— Czekałem dotąd — rzekł — wypilem pół garnea zieleniaczku z desperacyi, ale Kwiatkowskiego nie było. Musiał wyjechać z panną...

Coraz więc większa ciemność ogarniała smutną, rozpaczoną duszę Withofa.

XVI.

Dobrze już koło południa nazajutrz zjawiła się u Wit-hofa Hipolitowa. Baba przyszła zmęczona, zasapana i zaraz w progu krzyczała:

— Dobrą niosę nowinę, dobrą! Dukaciki będą...

Withof o mało nie skoczył z radości.

— Gadał, co wiesz! — krzyczał — nie dręcz mnie. Wiesz gdzie jest chorążanka?

— Zaraz! zaraz! niech sobie odpoczne. Zmęczyłam się, ledwie żyję. Stara jestem i latać już jak fryga nie mogę. Usiądę sobie...

Siadła na zydlu podłe drzwi, oparła się na kosturze i gadała:

— Hej! hej! paniezu, stara Hipolitowa ma jeszcze głowę na karku. Nie pierwszyczna mi to, nie pierwszyczna. Kiedyś była młoda i piękna, to zginął tu jeden synalek bogacza... wojewody. Co nie mam powiedzieć, jak się nazywał, powiem. A co mi zrobią?

— Moja Hipolitowa—przerwał jej niecierpliwie Wit-hof, później mi będziesz gadała o synalku wojewody, a teraz mów o chorążance...

— Ale bo panicz w gorącej wodzie kąpany. O czymże ja gadam, jak nie o chorążance. Jenó ja muszę wszystko dokumentnie powiedzieć, bo mi się we łbie płacze, choć żebym tu zaraz zmarniała, jeżeli dzisiaj choć naparstek gorzalinę miałam w gębie. A dałby też panicz czym popłukać gardło, bo mi zaschło z kretelem i jezor kołem staje.

Pieprznicki, który właśnie wszedł na te słowa baby, do komnaty, rzekł:

— Jest tam u mnie we puzderku gdańska, daj jej się napić, bo się niczego nie dowiesz.

Nie było rady, dano babie wódki, wypila, splunęła w ką, usta rękawem obtarła, i rzekła:

— Oto tak było: Jakem od panicza wyszła wczoraj, takem zaraz poszła do klasztoru panien Wizytek, bo mam tam jedną kumę, Julannę... He! he! he! byłać ona także niegdyś piękna i pan Fleming powiadają krocie na nią stracił. Ale cóż! ona teraz tak jak i ja nie ma i wyprosiła sobie u panny starszej kącik i łyżkę strawy. Idę ja do niej co robiącej. A jeś mi się chciało i kruczki w brzuchu kruczały aż strach. Wstałam se do szynku starego tego łotra... panicz go zna, Wątróbki... Wątróbka się nazywa. Gorzalinę ma kiepską, a zdziera niech mu Pan Jezus tego na strasznym sądzie nie pamięta. Jak borguje, to kredką

na desce pisze, za grosz—dwa, a za dwa—cztery. O! hultaj wierutny...

Withof o mało że się nie rzucił na babę z niecierpliwości. Ale rozum kazał czekać, gdyż inaczej nigdyby do ładu nie trafił.

— Kupiłam dwa łokcie kiełbasy i kiszkę podgardlaną i butelczynę gorzałki, bo Julanna to lubi i lepiej zawždy gadać jak jest czem gardziel przepłukiwać. Kupiłam i kustygam sobie, aż co robiący, przykuştęgałam. Patrzę, Julanna siedzi na ławeczce przed kościołem i nibyto pacierze klepie. Co robiący mówię: jak się mata? Jak się mata? Usiadłam sobie i gawędzę. A napijecie się gorzality? mam tu butelczynę od Wątróbki. Czemu nie? Napiła się, zjadła kiełbasy i kiszki, a baba czerwona jak burak. Co robiący gadam tedy: słuchajcie no Julanno, nie chcielibyście zarobić półzłotka? Czemu nie? A powiecie prawdę? Jak na świętej spowiedzi. Więc pytam: nie przywieźli tu wczoraj nad wieczorem w karocy zamkniętej jakiej panienki? A przywieźli, gada Julanna.

— Więc u Wizytek jest Teklusia? — porwał się Withof.

— Owa! jaki to panicz gorączka. Zaraz! zaraz! ja wszystko po kolei opowiem, bo inaczej, to mi się we łbie zakotłuje. Dajcie panie — obróciła się do Pieprznickiego — jeszcze tej gdańskiej. Dobra jest i rozjaśnia w mózgu.

Napiła się i gada:

— Co robiący, pytam ja się Julanny, bom niedowierzała, a jakaż to karoca? a karoca. Kto w niej siedział? Hajduk pawoził w barwie, a z karocy wysiadł chudy jak szczapa pan, wywiódł czarno ubraną panienkę, która głośno płakała, a za nią wyszła jakaś także chuda baba... To oni!

pomyślałam. I cóż panienka jest w klasztorze? Gdzie tam! panna starsza długo gadała ze szlachcicem przez kratę, aż szlachcie wzięwszy za rękę panienkę poszedł do karocy, wsiedli wszyscy i odjechali. Słyszałam jak kłął pod nosem bo siedł koło mnie, a owa panienka ciągle szlochała, aż żał brał. Co robiący pytam ja znowu, a dokądże pojechali? Czy ja wiem! tam, ku Staremu Miastu...

— Do Sakramentek zapewne! — znowu przerwał Withof.

— Czekajcież paniezu, zaraz wszystko powiem. Co robiący mówię, napijewa się gorzality? Napiłyśmy się, a ja się pytam: I nie wiecie kto to był? A zkąd mam wiedzieć? Poszłam ja do hajduka, który siedział na kozle karocy, i pytam go: czyj ty? Ofuknął się: poszła won babo, a tobie co do tego? Zwymyślałam go od psich synów, od pogan, od obwiesiów ostatnich i koniec. A nie wiesz, pytam, dla czego panna starsza nie przyjęła do klasztoru tej panienki? Co nie mam wiedzieć? Panna furtyanka mi powiedziała, że ten szlachcie chciał córkę zamknąć w klasztorze, bo ta amory ma jakieś niedozwolone. Ano panna starsza odpowiedziała mu, że teraz czasy są burzliwe, że ona nie wie, czy szlachcie jest ojcem tej dziewczki, że klasztor nie jest miejscem kary ale schronieniem nabożnych i tyła.

— A to tęga mniszka, ta panna starsza! — zawołał Pieprznicki — niech jej Pan Bóg da zdrowie!

— Trzysta dukatów posłę klasztorowi w darze! — rzekł Withof — to rozumiem, to dzielna białogłowa! Ale cóż dalej? gadaj Hipolitowo! Byłaś u Sakramentek?

— Ano, oczywiście! zaraz pokuştęgałam. Ale wieczór się już robił, furta zamknięta, nikogo się przepytać. Co robiący, poszłam spać. Ale dziś rano znów poszłam na

zwiady. Chodzę, kuśtygam, patrzę, do kościoła zaszłam, dziadów pytam, oburkneły się na mnie, bo się bali czy im miejsca zabrać nie chcę. Hm! myślę ja sobie, tak się nie nie dowiem. Patrzę wprost klasztoru siedzi z piernikami i makagigą stara Kaźmierzowa. Znam się dawno z nią. Dobra kobieta, jeno strasznie wyszczekana. Co robiący, idę do Wątróbki, kupuję znowu butlę gorzałki, kielbasy i kiszki podgardlanej i walę do Kazimierzowej. Jak się mata? O! to wy Hipolitowa, zkądście się tu wzięli? Ha, mówię, mam tu pilną sprawę na Nowem Mieście. Jaką sprawę? O! ważną, ale wam powiem kumo. Napijeta się gorzałki? mam przednią od Wątróbki. Zimno dziś paskudne, wie-trzysko wieje, Kazimierzowa w watowej jubce, ale ją pod-wiewa. Skostniała cała. Czemu nie? mówi, napiję się, zmarłam okrutnie. Więc sobie pijemy. Co robiący, Ka-zimierzowa pyta: cóż to za sprawa, kumo? Hm! mówię ja, żebyście mi jeno prawdę powiedzieli, dałabym wam półzłot-ka. Jaką prawdę? co chcecie? a nie zgubię duszy? Zaklē-łam się i mówię: siedzieliście tu onegdaj wieczorem? Za-wżdy siedzę, aż dopóki na ratuszu nie otrobią gaszenia ognia. Nie zajechała tu przed klasztor karoca? A zaje-chała. I kto z niej wysiadł? A wysiadł jakiś jegomość jakaś jejmość i panienka czarno ubrana. Weszli do kla-sztoru i panienka tam została. Co robiący, więc ja mówię: Kazimierzowa, bywacie w klasztorze? A jakże mówi, co dzień chodzę z piernikami. Zarobi się półzłotek na dzień. A by-liście dzisiaj? Nie, dopiero pójdę, jak zadzwonią na sygna-turce. Zobaczcież się z tą panienką, mówię, ona zwie się chorążanka, i powiedzcie jej to tylko: pan Adam wie o pa-nience. A cóż to będzie? pyta mnie Kaźmierzowa. A nic, jak to uczynicie, dostaniecie dukata. Nie zgubię duszy?

Nie! zaklēłam się uroczyście. Oto wszystko paniecu i duka-ta dać musicie Kaźmierzowej.

— Choćby trzy! — zawołał Withof, niezmiernie ura-dowany. — Kiedy już teraz wiem, gdzie jest Teklusia, dam sobie radę. Naści Hipolitowa, masz tu trzy dukaty! zarobi-łaś je. Idźże mi zaraz i dowiedz się, czy Kaźmierzowa uczyniła jakieś jej rzekła.

Baba jeszcze trochę pogadała w antykamerze, jak zwykle wyklóciła się i poszła.

— No, panie bracie — spytał Pieprznicki Withofa, gdy zostali sami — cóż teraz myślisz czynić? Dziewka w klasztorze, ztamtąd jej niedostaniesz ani prozbą, ani gro-zbą. I wiesz co ja ci powiem Adasiu? Wpłatałeś się ty w nieswoje rzeczy. Wszyscyście się wpłatali w nieswoje rzeczy. Ty, z twojemi amatorami, a oni z tym jakimś stanem trzecim. Pluń ty na to wszystko, jedź ze mną do Lublina, załóż sklep i siedź sobie cicho, jak u Pana Boga za piecem. Ja bo ci zawsze gadam, że ledwie już mogę wytrzymać w tej Warszawie. Ten łotr Dydak okradnie mnie z kre-tesem.

Ale Withof tego nie słuchał. Chodził po komnacie wielkimi krokami, zacierał ręce, uśmiechał się, czasem sta-wał przy oknie, bębnił w szyby i w ogóle był wielce zamy-słony. W końcu porwał za płaszcz i kapelusz i mówiąc:

— Nie! nie wytrzymam! Pójdę ja sam! — wybiegł. Pieprznicki został sam. Patrzył długo na drzwi, któremi wyszedł Withof, ruszył ramionami i mówił:

— Oszałał, jak Boga kocham, oszałał. Oni wszyscy poszaleli w tej Warszawie. To szpital waryatów i chcą, że-by człek ze zdrową głową siedział tu między nimi. Pocze-kam jeszcze na tę deputacyą do sejmu, bo tak chce pan De-

kert, ale potem ani chwili siedzieć tu nie będę. Ucieknę, ucieknę i niech ich pan Bóg ma w swej opiece.

Tymczasem Withof przebiegł żywo rynek Staromiej-ski, ciasną Gołębią ulicę, Freta i stanął na placu Nowego Miasta. Przed nim w głębi, wznosił się kościół i klasztor Panien Sakramentek, w którym jęczała jego ukochana.

— Co tu czynić, żeby ją oswobodzić? — pytał się samego siebie i stał tak i patrzył na klasztor, którego wszystkie okna od frontu były okratowane, a drzwi żelazne starannie zamknięte.

— To jak forteca! — mówił sobie i rozglądał się do koła. Patrzy, a w kącie między klasztorem a kościołem siedzi przekupka z piernikami, jabłkami, makagigami a koło niej stoi Hipolitowa. Pobiegł tam.

— Przyszedł panicz tutaj aż—zawołała Hipolitowa—potrzebne to? Nie lepiej było czekać na mnie w domu, tu może kto obaczyć i co będzie? Nie przysięgałabym za to, czy kto nie szpieguje klasztoru, czy chorąży nie wysłał swych lizusów, by mieli oko na wszystko. Ano... Hipolitowa głupia, ale Hipolitowa ma lepszy rozum od wielu...

— Czy wy Kaźmierzowa? — spytał Withof, nie zważając na słowa swej posłanniczki.

— A ja!

Kobieta to była tęga, niegdyś zapewne bardzo ładna, dziś stara już, w czepcu, w chustce na głowie, w jubce. Zimno było i drżała trochę przy swym straganiku.

— Byłaś dziś w klasztorze?

— Byłam, albo co?

— Widzieliście chorążankę?

Kaźmierzowa spojrzała na Hipolitową.

— Możecie gadać kumo wszystko, jak na świętej spowiedzi. Ten panicz to jest właśnie ten sam, o którym gadałam.

Kaźmierzowa przypatrzyła się Adasiowi.

— Po szwabsku ubrany.

— A co wam do tego?—oburknęła się Hipolitowa—teraz sam król Jegomość po szwabsku ubrany chodzi. Albo go to nie widziała? czy co? Gadajcie jeno co wiecie, a talary będą...

— Ano cóż? prawi tedy przekupka, poszłam do klasztoru i pilnie upatruję, czy nie ma jakiej nowej panienki. Ale nie ma, same dawne. Pytam się tedy siostry Marcyanny, co mię zna już będzie ze dwadzieścia lat: macie tu nową jakąś? a mamy. Pójdę do niej, może co kupi. A kiedy ona nie uczy się. A co robi? A nic. Gdzież ona jest? A siedzi w celi w drugim korytarzu, jeno niech was nie obaczy panna starsza. Co ma obaczyć? rzeknę i poszłam. Drzwi zamknięte, więc pukam. Wyszła panienka jak słonko, blada, a oczka ma zapłakane, i łyż jej cieką po białem liczku, kieby perły. Pokłoniłam się i mówię: czy panna chorążanka? Tak! szepnęła, a tak jakoś żałośliwie, że i mnie się na płacz zebrało. Ja tu do panienki z poselstwem. Pan Adam wie o panience. Powiadam państwu, zarumieniła się cała i krzyknęła, a oczka jej się zaświeciły, niby rozżarzone węgle. Miły Boże, kiedy to nie skoczy do mnie i nuż mię całować. A potem dobiła talara i dała mi. Srebrnego telara, co nie mam powiedzieć prawdy. Ja mówię, będę tu jutro, ale niech panienka zejdzie na dół, bo tu mi nie wolno chodzić i gdyby mię panna starsza obaczyła, zabroniłaby mi całkiem wstępu do klasztoru, a ja z tego żyję. Dobrze, odrzekła, będę jutro na dolnym korytarzu, ale pokłońcie się

panu Adamowi i powiedzie mu, że smutna, bardzo smutna. A w tem leci siostra Marcyanna i mówi: Kaźmierzowa uciekajcie, panna starsza idzie. Więć uciekłam. Oto co wiem. Śliczna to panienka a taka smutna i musi być wielkiej rodziny, to widać po niej i ja się znam na tem, bom nie z jednego pieca chleb jadła.

Withof był w siódmym niebie.

— O! — mówił do siebie — żeby piekło poruszyć, to poruszę, a Teklusię wydobyć muszę. A jak wydobędę, to rzecz skończona, będzie moją, moją na zawsze.

Odwrócił się do Kaźmierzowej i rzekł?

— Wszak tam w tyle za klasztorem jest ogród?

— A jest.

— I ogród ten widać z klasztoru Benonów?

— A widać.

— To dobrze! ja tu będę u was dziś po południu, dam wam liścik do panny chorążanki.

— Proszę wielmożnego pana — pocznie Kaźmierzowa, a nic to złego nie jest?

— Nie lękajcie się, owszem dobry i chrześcijański sprawicie uczynek. Czyż to po ludzku, żeby taką śliczną panienkę zamykać w klasztorze, kiedy ona tego nie chce?

— Pewno, że to nie po ludzku.

— A więc, bądź spokojna kobieto. Ja tu będę u ciebie po południu.

Withof odszedł. Właśnie patrząc na klasztor panien Sakramentek przypomniał sobie, że w sąsiednim klasztorze Benonów ma znajomego księdza, jakiegoś nawet dalekiego krewniaka, Niemca. Postanowił do niego iść. Kto wie, mówił sobie, na co się to przydać może.

XVII.

Ojciec Gwilhelmus, nazywał się także niegdyś na świecie Withofem, ztąd znajomość i pokrewieństwo z Adamem. Był to zresztą Niemiec, jak przeważnie wszyscy Benoni, złe nawet mówiący po polsku, chudy, czarny, zawiedły. Przyjął Withofa bardzo dobrze.

— Przecie, pojawiłeś się u mnie — mówił do niego po niemiecku — słyszę na wielkie rzeczy się tam na świecie zanoszą. Mówił mi wczoraj Lancbark, że i aepan się tam mieszasz. Ano niech Bóg sprzyja, niech sprzyja. Napijesz się może, co?

— Owszem, napiję się.

Ojciec Gwilhelmus otworzył szafkę w murze i dobył z niej butlę i szklanice, a Withof poszedł ku oknu i patrzy, a ztąd widać doskonale cały ogród należący do klasztoru Panien Sakramentek. Ogród w tej chwili był pusty i żywej duszy w nim nie było. Drzewa pozbawione liści, lub pokryte tu i owdzie żółtkłami i czerniałami ich resztkami, nadawały całości wyraz smutny i melancholijny. Wiatr świszczał po alejach i pędził przed sobą całe gromady liści, uschłych krzewów i rozbijał je o mur otaczający ogród. Obejrzawszy to wszystko Withof postanowił powiedzieć o całej sprawie ojcu Gwilhelmowi, który jak widział, mógł mu dopomóc wiele, jeżeli oczywiście zgodzi się na to. Siadł właśnie do wina. Ksiądz nalał szklanice i mówił:

— Napij się, dobre jest, przy winie łatwiej się będzie gadać, bo ja widzę, żeś do mnie z jakąś sprawą przyszedł, która ci leży na sercu, bo inaczej byłbyś starego nie odwie-

dził i nie dziwię się temu, młody jesteś, ambitny, słyszę wielkie rzeczy zamierzacie. Ale ja ci powiem, że nie ma nic wielkiego na ziemi, i niucha tabaki nie warte te świeckie sprawy. Ja, widzisz, siedzę sobie tutaj, Pana Boga chwale i cisza mię wieczysta otacza. A jak mnie weźmie tęsknota, to patrzę przez okno na niebo, albo na ten ogród, po którym teraz wieher liście zamiata. Ale nie frasuj się gadaniem starego i powiedz, jaką to masz sprawę do mnie?

— Nie będę kłamał, istotnie w ważnym do was ojeze Gwilmelmie przyszedłem interesie.

— Jakież to interes?

— Sercowy.

— Sercowy? o to ja się na tem nic a nic nie znam.

— Jakżeby to było, żeby się ksiądz nie znał? — zaśmiał się Withof.

— A nie znam się! zkaż że się mam znać? ale gadaj no, o co idzie?

Więc Withof napiwszy się dla kurażu wina, opowiedział wszystko szczegółowo księdzu, od samego początku, jak poznał Teklusię, aż do chwili, gdy zdradzony stracił ją i odszukał nakoniec w klasztorze Panien Sakramentek.

Ksiądz wysłuchał tego spokojnie, zażył tabaki z wielkiej łubianej, chłopskiej tabakiery, kichnął parę razy, wytarł nos i rzekł:

— No, i cóż ty chcesz odemnie? cóż ja ci mam w tem dopomódz?

— Poradź mi ojeze Gwilmelmie, co ja mam robić?

— Hm! poradź! poradź! Jużcié ja nie mam nic przeciwko temu, żebyś się ożenił z tą dziewczką. Szlachecianka! albo to Pan Bóg szlachtę stworzył z innej gliny niż miesz-

czan. Ale widzisz... jakże ty się chcesz żenić, kiedy panna jest w klasztorze?

— Właśnie o to idzie. Chcę ją z klasztoru odebrać.

— A to się na nie nie zda, panny ci nie oddadzą. Panna starsza jest kobieta mądra, i nie pierwszyna jej to trzymać, u siebie dziewczki możnych domów na rekolekcyach. Ona ci tej... twojej chorążanki, nie odda.

— Ja o tem wiem dobrze, ja też pannę chcę z klasztoru wykraść...

— Wykraść? a potem co?

— Potem się z nią ożenić. Dacie mi ojeze Gwilmelmie ślub, a jak ślub raz już odbędzie się, to klamka zapadła...

— Ba! ba! ba! wszystko to ładnie się mówi, a co innego gdy przyjdzie to czynić. Wykraść, ożenić się, ty księżu dasz ślub. Może to wszystko być, a może i nie być. Ja cię kocham, boś ty mój krewniak jedyny, a chociaż Warszawscy Withofowie całkiem na Polaków się przerobili i zapomnieli o swej niemieckiej ojczyźnie, przecież ty jesteś ostatni z Withofów. Chętnie więc chciałbym ci dopomódz. Ale to jest ważna rzecz. Rozpatrzmyż tedy wszystko po kolei, jako należy. Panna jest w klasztorze i chcesz ją wykraść. A jakże ty ją chesz wykraść?

— Przyszedłem tu właśnie do was ojeze po radę. Klasztoru ani jego rozpołożenia nie znam.

— No! wiesz — zaśmiał się ksiądz — że o tobie możnaby księgi pisać. Do księdza, zakonnika przyszedł po radę, jak dziewczki wykradać. Ha! ha! ha! — śmiał się Gwilmelmus.

— To nie o to idzie, tłumaczył się Withof, ale czy można w jaki sposób dostać się do ogrodu klasztornego?

Ogród ten przecie znać musicie ojeze. Już jak ja się raz dostanę tam, to sobie radę dam.

— Hm! ogród ten znam o tyle, o ile go z mego okna widzę. I raz w nim tylko byłem, kiedy mię wezwano na spowiednika do umierającej mniszki. Wtedy dostałem się do niego furtką, co tu jest w murze, w uliczce, którą się do nas idzie. Musiałeś tę furtkę widzieć?

— I za tą furtką zaraz jest ogród?

— A nie! jest najprzód maleńkie podwórze, potem kurytarz, którego widzi mi się nie zamykają nigdy, a potem dopiero ogród.

— To dobrze, to już mam, czego mi potrzeba.

— Ale ja ci tego wcale nie radzę — począł ksiądz. — Wykraść pannę łatwo, ale sobie tyle biedy napytasz, że nie zdzierżysz tego. Najprzód nie jest to po chrześcijańsku porywać dziewczę wbrew woli ojcowskiej. Ciężki to grzech, powiadam tobie, a potem cięższy jeszcze, kiedy ją porwiesz z klasztoru. Muszę ci też i o tem powiedzieć, że panna starsza choćby nawet chorąży płazem to puścił, ona płazem nie puści. Białogłowa to energiczna i zaskarży cię do trybunałów o najście klasztoru. Zważ no, szlachta jest przeciw wam rozdrażniona teraz, jak się jeszcze dowie, że mieszczanin i to mieszczanin należący do delegatów, porwał dziewczę szlachecką z klasztoru, oburzy się okrótnie... Wierz mi Adasiu to niebezpieczne, to głową pachnie...

— Nie mi nie robią, drwię sobie z nich. Gdybym chciał, tobym cały sejm, wszystkich ich wyciął do nogi na naukę, co znaczy stan trzeci. Ale ja, skoro pannę porwę nie będę tu czekał na ich trybunały, ich sądy i groźby. Drapnę zaraz i zaszyję się gdzieś tak, że mię sam djabeł nie znajdzie.

— Tak się to mówi. Jak co człekowi w łeb éwikiem wejdzie, to wszystko widzi w różowych kolorach. Nie tak to łatwo zaszyć się gdzie bez śladu. I dokądże ty pójdziesz? Chyba zagranicę, a tam niebezpieczniej jest jak tutaj. Tam są strażę, żandarmy, policya, a tu tego nie ma! Już lepiej w Polsce się chować.

— Ja też w Polsce się schowam. Idzie o to tylko, czy mi ojeze dacie ślub?

— Ślub? jakże to, bez zapowiedzi, bez indultu i bez pozwolenia rodzicielskiego?

— Ano tak, bez tego wszystkiego, bo ja tego wszystkiego mieć nie będę.

— Ha! mój Adasiu, ja ci takiego ślubu nie dam.

— I dla czego to?

— Bo to jest wbrew prawom.

— Boskim czy ludzkim?

— No... Boskim nie, ale że ludzkim, to pewno.

— A więc dla jakichś praw ludzkich, ojeze Gwilhelmie, chcecie opuścić jedynego swego krewniaka, ostatniego z Withofów? Wierzcie mi, że jak mię tu żywym widzicie, jeżeli tej dziewczki nie wykradnę i mieć nie będę, w łeb sobie jak pies ostatni strzelę...

— Co też ty gadasz, mój Adasiu!

— Prawdę gadam i przysięgam na to. Ja nawet nie rozumiem twoich skrupułów, ojeze Gwilhelmie. Pannę wykradnę, i z nieślubną będę uciekał. Toż to gorzej dla mnie i dla niej. Jak się raz pobierzemy, faktum będzie spełnione, żony mi już nie odbiorą i rzecz skończona. A jak z panną będę uciekał, to naprawdę gardłem pachnie. Ale żeby mi łeb jak ostatniemu zbójowi mieli uciąć na rynku, pannę mieć muszę! Przysięgam na to!

— Szalona pałka! szalona!

— Namysł się ojeze! — mówił Withof.

Ksiądz przez chwilę mileżał, zapatrzony w okno i w niebo za niem, głęboko zadumany.

— Dobrze — rzekł — ja się namyszę. To ważna sprawa, muszę się poradzić ksiąg ojców kościoła.

Withof porwał za kapelusz.

— Jutro rano będę tutaj! — i wybiegł.

Poszedł do siebie przygotować liścik do Teklusi, liścik który chciał dziś jeszcze wręczyć Kazimierzowej, żeby go jutro oddała chorążance. Już miał cały plan gotowy w głowie. Wykradnie pannę, co jak teraz widzi, nie jest znowu tak zbyt trudnem. Ksiądz Gwilhelmus da ślub i w nogi. Dokąd jednak uciekać? To przecie trzeba z góry obmyślić, bo w ostatniej chwili będzie zapóźno. W takich razach działać trzeba stanowczo, zdecydowanie, z planem jasno wytkniętym. Najpierw więc tedy do Lublina ucieknie, bardzo dobrze! a potem co? Potem gdzieś daleko, choćby na Ukrainę.

— Trzeba z Pieprznickim pogadać.

A śmiał się, zacierał ręce, był z siebie i ze wszystkiego niezmiernie zadowolony. Nie spodziewał się, że tak łatwo znajdzie chorążankę. Był w tem usposobieniu szczęścia, które rzadko napotyka ludzi, ale jeżeli ich napotyka, czyni z nich aniołów. Byłby teraz wszystko oddał. Niekiedy przypominał sobie słowa Teklusi i nagle serce mu się radością i łzami zalewało. Powiedzieć mu, że smutna, bardzo smutna!

— Biedaczka! — wołał — żebym miał po krwi i trupie iść, to pójść, a oswobodzić cię muszę.

Potem przychodziły mu do głowy filozoficzne myśli.

— Oto jest tyraństwo, straszne tyraństwo, z którem ludzkość raz musi skończyć. Wszelki, pod jakąkolwiek formą ukryty ucisk, musi zniknąć. Czas straszego obrachunku z tyranem nadchodzi. Już niedługo szlachcie będzie uciemięzał chłopą, nie będzie sług i panów, ojciec córek wbrew ich woli nie będzie mógł zamykać w klasztorach. Świat się odradza i wszystko się zmieni...

Tak się pocieszał Withof, zapominając o tem, że jeżeli wszystko się zmienia, to ta jedna, jedyna bodaj prawda nie ulegnie nigdy zmianie! że silny jest panem a słaby sługą.... Człowiek tego nie zmieni, bo to leży w naturze rzeczy, jest prawem przyrodzonem...

Przyszedszy do domu zastał Pieprznickiego, który mu rzekł:

— Gdzie się włóczysz? zmiłuj się! Prezydent trzy razy po ciebie przysyłał.

— Prezydent? a czego chce?

— Nie wiem, posłaniec mówił, żebyś zaraz przychodził, bo sprawy ważne. Jutro przecie deputacya idzie na sejm, o tem zapewne radzić będziecie.

Withof nie zwlekając pobiegł do ratusza. W istocie, ruch tam był wielki. Był ksiądz referendarz Kołłataj, Bars, Mędrzecki, Dekert, Tepper, Blank, kilkunastu deputatów, mnóstwo znaczniejszych mieszczan warszawskich: jak Rafałowicz, Paschalis, Lancbark, Blum. Prezydent napadł ostro na Withofa.

— Gdzie się chowasz? znaleźć cię nie można nigdzie. Kiedy najwięcej roboty, ciebie niema.

Withof nie odrzekł. W istocie roboty było mnóstwo, trzeba było pisać zaproszenia do wszystkich deputatów, by się na oznaczoną godzinę stawili w ratuszu, trzeba

było załatwić jeszcze ten i ów interes, przepisać pięknie przemówienie pana prezydenta, jakie miał mieć jutro do stanów sejmujących. Withof był tak zajęty, że ledwie chwilę znalazł po południu, by skreślić krótki liścik do Teklusi.

Pisał jej, żeby się nie smuciła, że wszystko jest dobrze. Najgorsze złe, to nieświadomość gdzie jest ukryta, została szczęśliwie załatwiona. Przyrzekł jej, że niedługo będzie jęczała w swem więzieniu. On o niej myśli, on ją zawsze kocha. Będzie jej przez Kaźmierzową co dzień przysyłać liściki, aż do chwili, w której ją oswobodzi. To niedługo nastąpi. Już wie drogę, którą ją wykradnie! we właściwym czasie da jej znać. Czy pójdzie jednak z nim? czy będzie chciała zerwać z całą rodziną? narazić się może na tułactwo, prześladowanie, pogoń, tysiące niebezpieczeństw! Błagał ją, aby mu na to przez pocztową Kaźmierzową odpisała.

Liścik ten pełen ku końcowi zakłęb, czułych, tkliwych słów, sam po południu zaniósł starej Kaźmierzowej. Sypnał znów dukatami i przekupka przyrzekła mu, że jutro rano pismo to będzie w rękach Teklusi.

Długo w nocy pracował Withof i późno wrócił do domu. Pieprznicki już spał i rozmówić się z nim nie można było.

— Jutro więc losy moje i wielkiej sprawy się rozstrzygną — mówił sobie Withof, kładąc się spać. Jeżeli stany przyjmą nas dobrze, jeżeli będzie nadzieja przeprowadzenia żądań stanu trzeciego, to zaraz wyślę swatów do chorążego. Poślę mu może samego prezydenta. Jeżeli chorąży odmówi, pannę pojutrze wykradnę, i czy w ten, czy w inny sposób, panna musi być moją.

Zasnął pełen słodkich marzeń, zapominając, że w życiu najlepiej nawet ułożone projekta, bardzo się często nie udają; że to życie jest wreszcie jedną wielką zasadzką na szczęście człowieka; że pod słońcem nie ma nic pewnego i nie z czegoby się cieszyć można.

XVIII.

Dzień ów, w którym deputaci miejscy mieli się udać na zamek i przedstawić stanom sejmującym swe żądania, był mroźny i drobny śnieg przypruszał ulice i dachy. Od samego rana ruch w mieście był wielki. Po wszystkich kościołach za staraniem Dekerta odbywały się nabożeństwa dla uproszenia Pana Boga o szczęśliwe powodzenie sprawy. Po mieście obiegały najróżnorodniejsze i najdziwniejsze pogłoski. Mówiono, że mieszczenie na to się zjechało do Warszawy, by w dniu dzisiejszym właśnie za wiedzą króla rozpocząć rewolucyę i wyrzucić wszystkich swoich i króla przeciwników. Strach tedy nie mały padł na tych, którzy zawinili cokolwiek przeciw mieszczenom. Pałac hetmana był na głucho zatarasowany, na dziedzińcu stały harmaty, tłumy szlachty i hajduków. Ulice staromiejskie roiły się od ciekawej gawiedzi, od najostatniejszego motłochu, który wypelzał na jasność dzienną ze swych nor i zaległ rynek, ulicę Święto Jańską i okolice Bramy Krakowskiej, wiodącej do zamku. Uważano, że Barani Kozuszek kręcił się ciągle wśród tego zbiegowiska, rozmawiał i niekiedy potrzasał swą brudną, spłowiałą czapką, krzycząc ochrypłym głosem:

— Wiwat stan trzeci!

Tłum po większej części nie rozumiał tego okrzyku i powtarzał: wiwat! nie wiedząc o co idzie. Zresztą w mieście głucha wrzawa panowała, podobna do szumu dalekiego morza, rozbijającego się o nadbrzeżne skały.

Withof wstał dość późno, ubrał się i ponieważ na sejm miano jechać dopiero koło dwunastej wybrał się na Nowe Miasto. Spotykając po drodze tłumy ludu i przysłuchując się rozmowom, zacierał ręce z radości.

— No, jeżeli to wszystko nie robi wrażenia na chorążym, to już nie i nigdy na nikogo nie wpłynie.

Na Nowem Mieście, oddalonem od środka ruchu miejskiego, było jak zwykle cicho i spokojnie. Przedewszystkiem Withof pobięł do Kaźmierzowej.

— Cóż, oddaliście liścik?

— A jakże, oddałam.

— Nikt nie widział?

— Co miał widzieć? nikogo nie było. Panienska zesłała na dół i wsunęłam jej w rączkę pismo. O! zaczerwieniła się jak rak nieprzymierzając. Śwana dziewczucha!

— Co wam powiedziała?

— A co miała gadać, kiej nie było kiedy. Po korytarzu włóczą się dzieci i zakonnice też. Nie było kiedy pary z gęby puścić, a nie dopiero gadać. Dygnęła jeno i szepnęła: dziękuję! Piękna panienska, bardzo piękna.

Dowiedziawszy się, co chciał wiedzieć i opłaciwszy znowu suto przekupkę, Withof z sercem przepełnionem uczuciem radości poszedł do klasztoru Benonów, do księdza Gwillelma. Ksiądz był w chórze i czekać na niego musiał Withof, przechadzając się po długim, pustym, napół mrocznym korytarzu klasztornym, którego ściany zawieszane były portretami biskupów i zakonników. Otaczała go tu

wielka poważna cisza. W te mury nie dobiegał żaden gwar ze świata; wszystkie namiętności ludzkie rozbiły się u ich stóp, a w klasztor wstępowało tylko poważne mileczenie i zaduma nad nicością zabiegów ziemskich. I Withof przechadzając się wzdłuż i wszersz po korytarzu klasztornym, czuł jak wszystkie uczucia i namiętności, które tam na świecie wydawały mu się szczytem i ideałem życia, tu poczynają maleć, rozplýwać się w nicość...

— Jeżeli mnie wszystko zawiedzie na świecie — mówił sobie patrząc na portret jakiegoś ascetycznie wyglądającego zakonnika, to i ja tu wstąpię. Ostatni Withof umrze w klasztorze!

Nie wiedział, nie przeczuwał niestety, jaki go los czeka, jaki straszny niespodziewany cios miał w niego wkrótce uderzyć.

Ksiądz Gwillelmus pojawił się nakoniec, stękając głośno na schodach i poprosił Withofa do swej celi.

— No jak się masz? — pytał Niemiec — napijesz się wódki? co? zziąbłem w chórze. Przeciągi tam są szkaradne.

Withof odmówił.

— Nie pijam wódki tak rano, nie rano nie piję.

Poszedł do okna i patrzył się na melancholijny ogród pp: Sakramentek, w którym po szerokich alejach przechadzały się teraz tylko wichry i kawki, zbiegające się tu gromadnie. Od Wisły szły białe mętne mgły i otulały sobą te suche drzewa i pleśnią starości pokryty taras klasztorny, wielkie kamienne schody prowadzące do ogrodu, olbrzymie kielichy na balustradzie tych schodów. W ogród ten, w daleki melancholijny widok przezierający przez suche gałęzie drzew, patrzył klasztor ciemny, brudny trochę z wystającą fasadą i szeregiem okien.

— Może za jednym z tych okien męczy się Teklusia— mówił Withof, i odwracają się do ojca Gwilhelma, który zajęty był nalewaniem sobie wódki, dodał:

— Cóż księżę, namyśliliście się?

Ksiądz wypił wódkę, przegryzł toruńskim piernikiem, którego kawał zeschnięty leżał na półce wśród kurzu, ksiąg i papierów, i rzekł:

— Namyśliłem się.

— I cóż?

— Nie tylko sam o tem myślałem, ale radziłem się ojca Benedykta, naszego przełożonego, który jest ksiądz bardzo uczony i teologus zawołony.

— I cóż? -- pytał Withof z niecierpliwością.

— A! jaka gorączka z ciebie, mój kuzynie.

Potem uśmiechnął się dobroliwie i mówił:

— Młodość, jakież to śliczny kwiat życia! Czemuż go człowiek szanować nie umie jak należy? Jak mi to wszystko przypomina moje piękne chwile młodości, No pociesz się młodzieńcze, postanowiliśmy dać ci ślub, jeżeli go oczywiście żądać będziesz.

— Rozumie się, że go żądać będę! — zawołał z radością Withof i rzucił się w ramiona księdzu.

Popłakali się trochę, pogadali jeszcze o gotujących się dziś w Warszawie wypadkach, których odgłos dobiegł aż tutaj w ciche mury klasztorne, i Withof pełen radości i jak najlepszych myśli, opuścił celę Benona.

Warszawa wrzała coraz silniej. Na Starem Mieście i przyległych mu ulicach tłumy rosły tak, że Withof z trudnością mógł się przecisnąć. Koło ratusza zdybał się z Baranim Kozuszką, który czerwony jak burak, z okiem iskrzą-

cem, stanawszy na jakiejś kupie kamieni wołał ochrypłym głosem:

— Tak obywatelu, dość już ucisku, teraz na nas przyszedł czas, na nas stan trzeci!

Withof szarpnął go za poję od kontusza i zawołał:

— Barani Kozuszką, zejdźno acpan, chcę z tobą pogadać.

Kozuszek spojrzał dziko na Withofa, przerwał swą mowę, zlaźł z kamieni i rzekł:

— Czego obywatelu chcesz?

— Co acpan robisz? po co te mowy? jeszcze cię prezydent do kozy każe wsadzić. Co ci potem?

— Ba! ba! ba! obywatelu, ja widzę, że ty nie nie wiesz, co się tu dzieje!

— A cóż się dzieje?

— Nie wiesz, co się stało wczoraj wieczorem na teatrum?

— Na teatrum? nie! nie wiem!

— Otóż ja ci powiem, jeno słuchaj pilnie i jeżeli się twoja krew, krew ludu, krew stanu trzeciego nie oburzy, toś nie nie wart. Jak Boga kocham nie nie jesteś wart.

— Dobrze, jeno acpan gadaj.

— Otóż to tak było. Wczoraj marszałek wielki litewski książę Sapieha, znasz go obywatelu?

— Znam.

— Owóż Sapieha ten chciał wczoraj umieścić, któreś tam kobiety, swoje faworytki w łoży na teatrum. Odpowiedział Gwardasoni, wiesz obywatelu, antreprenier... że wszystkie łoża za kontraktem są zajęte, nie jest przeto panem żadnej... Cóż się dzieje? Sapieha wiedząc, że imcipani Dekertowa, prezydentowa, ma łożę, rzekł zuchwale "to za

wiele na nią.“ I wyobraź sobie obywatelu, *propria auctoritate* posłał stolarzów, żeby w tej loży zrobili przedział na połowę dla tych jego faworytek. Kiedy przyszedłszy do teatrum zobaczyła to imcipani prezydentowa, więc rzekła: „niechby książę Sapieha pomyślał co się w Paryżu dzieje.“ Oto jest wszystko...

— Ano, to dobrze mu powiedziała.

— Tak, ale wiesz obywatelu, co Sapieha uczynił?

— No, cóż uczynił?

— Pobiegł dziś rano, wiem to z najlepszego źródła, do marszałka sejmu Małachowskiego z żądaniem, aby dla ukrócenia buntu mieszczańskiego sprowadził kawalerią narodową...

— I cóż?

— Ano, nic jeszcze nie wiem, czy marszałek się zgodził na to, bo siedzą tam u niego Branicki, Sapieha, Suchodolski, Janikowski i inni, i obligują go mocno... Ale ja powiadam, dość tego! my się bronić będziemy. Nie powtórzy się teraz to samo, co się działo przed kilku dniami przed pałacem hetmana. Niewinnie tam rozlana krew woła pomsty! Bronić się będziemy i biada temu, kto na lud podniesie rękę, biada powtarzam!

Trząsł się cały, a na głowie chwiała mu się konfederatka i pięścią wygrażał. Tłum najpodlejszego motłochu, otaczał go dokoła i przysłuchiwał się jego słowom, wypowiadanych z gestami pełnymi patosu, głosem przepitym, ochryplym. Tłum ten po większej części, jak to widać było z twarzy przysłuchujących się mowie Kozuska, nie rozumiał o co idzie, ale kontent był, że się znalazła sposobność przepędzenia kilku godzin na bardzo zajmującym wzburzeniu, zarobić co może, ukraść jeszcze więcej, nakrzy-

czyć, nawymyślać, nakułakować. Gratka taka, że nie łatwo się trafiała, trzeba było z niej korzystać. Więc też ze wszystkich nor wielko-miejskich, ze wszystkich barłogów i piwnic nadwiślańskich, powylażyły ciemne, brudne, obdarte, straszne postacie istnych zbójów i napełniały ulice. Między tym motłochem, temi ostatecznymi fusami społeczeństwa, kręciło się mnóstwo dzieci, chłopaków rzemieślniczych, najbardziej krzyczących, gwiżdżących, naśladujących głosy różnych zwierząt i zwiększających i tak już nie małą wrzawę. Kobiety nierządne także licznie się zebrały i zaraz pomiędzy nimi rozpoczęły się kłótnie a nawet bójki, którym gawiedź przypatrywała się z wielką przyjemnością, wymyślając, krzycząc i podbudzając przeciwniczki do większej jeszcze zajadłości.

Withof przypatrzwszy się temu wszystkiemu, pełen zawsze najlepszych myśli, przedostał się do swego mieszkania, by się ubrać a potem udać do ratusza, zkąd już wszyscy deputowani razem mieli na sejm pojechać. W domu zastał Pieprznickiego, kończącego swój strój i strasznie z niego niezadowolonego. Był to strój niemiecki, całkiem czarny. Frak atłasowy, także kamizelka, spodnie jedwabne, pończochy, trzewiki czarne, wielka kryza hiszpańska i żabot śnieżnej białości, peruka ubielona pudrem, szpada cienka jak rożenek przy boku i stosowany kapelusz pod pachą. Pieprznicki zżymał się na to.

— Jak Boga kocham—wołał—ruszyć się nie mogę, bo się boję żeby ten pluderski strój nie popękał na mnie. W łeb mi gorąco, mąka się sypie... a! niech to diabli wezmą!

Najbardziej markotno mu było, że wąsy musiał zgolić.

— Wyglądam jak baba albo ksiądz. Śmiać się ze mnie będą w Lublinie, jak im się bez wąsów pokażę. Człęk

zrobił się małą. I po kiego diabła mi to wszystko? Wymyślili jakiś stan trzeci, Bóg wie co to jest. Co ja będę robił na sejmie? Do czego to podobne? Nie lepiej mi było siedzieć w Lublinie i pilnować swego kawałka chleba, a tam hycel Dydak okrada mnie, rodzinę sprzedaje, kiedy ja tu stoję się jak Szwab jaki ostatni.

Withof śmiał się z tego, ale nie usiłował już przekonywać Pieprznickiego, gdyż wiedział, że to na nic by się nie zdało. W godzinę potem obaj ubrani jednakowo, siedli do karocy, która po nich zajechała, i stępa, wśród ciągle rosnących tłumów, udali się do ratusza.

XIX.

W wielkiej sali ratusza staromiejskiego, ozdobionej portretami królów polskich, marszałków wielkich koronnych i prezydentów, Withof i Pieprznicki zastali już prawie wszystkich deputowanych zebranych. Dekert kręcił się między nimi, a ksiądz podkanclerzy Kollataj ukryty w niszy okna, rozmawiał coś gorąco z panem Mędrzeckim. Wszyscy byli czarno ubrani i istotnie wyglądali na jakieś załobne, posępne i groźne zgromadzenie.

Dekert rozgorączkowany, obaczywszy Withofa podbiegł ku niemu i zawołał:

— A przecie przyszedłeś! Maszże memoryał? umiesz go płynnie czytać?

— Rozumie się, że umiem! — odrzekł Adam i gdy Dekert zwrócił się do kogo innego, wmięszał się w grupy deputackie.

Po chwili wszyscy przeszli do innej sali, w której zastawione było pyszne śniadanie. Jedzono stojący i szybko. W całym zebraniu nawet przy jedzeniu i picu panowało milczenie, przerywane pojedynczemi głosami lub szeptem. Wszyscy widocznie czuli doniosłości kroku, który robili, moment wielki, historyczny. Dekert sam był silnie wzruszony. Na bladą jego zwykle, okrągłą i niepospolicie piękną twarz, wykwitły dwa gorączkowe rumieńce. Nie jadł nic, tylko biegał po sali, zamyślony, od czasu do czasu przemawiając parę słów do którego z deputatów. Z zewnątrz z rynku dochodził do tej sali ponury szum tłumu, głucha, niezdeterminowana wrzawa. Z pochmurnego dotąd nieba, przez małe szybki starożytnych okien ratusza, zajrzało blade, zimowe słońce.

— *Post nubila Phoebus!* — zawołał ksiądz Kollataj, którego chuda, ciemna, o ognistych oczach twarz, w tym blasku słońca, wyglądał jak w aureoli.

— Obyś był prorokiem, księżu! — odrzekł na to Dekert, który swego niespokoju nie mógł w żaden sposób ukryć.

Biegał po sali, wyglądał przez okna, trzepał rękami i co chwila spoglądał na duży, starożytny, w złoczonej szafie zegar, stojący w kącie sali. Nakoniec zawołał:

— Jedźmy! już czas! stany są zebrane! jedźmy! jedźmy!

Tedy wszyscy się ruszyli, a ksiądz Kollataj wołał:

— Niech was Bóg prowadził — i podszedłszy do Dekerta gadał mu coś długo i cicho do ucha.

Tymczasem deputowani okrywali się w delie, futra i kierezye i siadali do karoc stojących rzędem przed ratuszem. Było ich stu dwudziestu kilku, i po trzech, czterech mieściło się w karocach, mimo to było tych wehikułów kil-

kadziesiąt. Kiedy pierwsza zajeżdżała już przed zamek, to wiele jeszcze było takich, które się z pod ratusza nawet nie ruszyły. Karoce wszystkie były czarne, konie kare, forysie, hajducy także czarno ubrani. Tłum patrząc na to ponure widowisko rozstąpił się, tworząc długi szpaler, środkiem którego noga za nogą posuwały się karoce. We wrzaskliwym tym przed chwilą motłochu zapanowało teraz poważne, głębokie milczenie. Wielu zdjęło czapki z głowy jakby to był pogrzeb. Te czarne karoce, konie, służba i deputowani sami, wszystko to swą ponurością, czemś niezwykłym i smutnym, robiło potężne wrażenie. Wiała groza jakaś z tej deputacji, jakby śmierć szła przed nią. Cisza taka była, że słychać było tentent koni i turkot karet. Napróżno Kożuszek od czasu do czasu krzychał, potrząsając swą spłowiałą, karmazynową konfederatką:

— Wiwat stan trzeci!

Nikt teraz na ten okrzyk nie odpowiadał, a wielu starszych mieszczan i kobiet żegnało się krzyżem świętym przed tą czarną deputacją. Kiedy nakoniec ostatnia karoca przyjechała, w tłumie rozległo się ciężkie, głębokie odechnienie, jakby wszystkim ciężar spadł z serca. Wielu gadało:

— To czarci idą brać sejm cały!

Potem wszystko to, te tłumy gęste i zbite, poczęły się tłoczyć na dziedziniec zamkowy, aż straż w bramie krakowskiej ciaładami flint musiała walić po łbach i karkach. Znowu podniósł się pisk, krzyk, wrzawa jakaś piekielna, wymysły najobrzydliwsze, przekleństwa i bijatyki, a Kożuszek, który potrafił się dostać aż na dziedziniec zamkowy, krzychał ciągle:

— Wiwat stan trzeci!

Tymczasem deputowani miejsca wjeżdżali w sień zamkową, tam wysiadali i na pierwszym piętrze, w przedsionku sali sejmowej, zbierali się, czekając, aż wszyscy się zjadą. W przedsionku tym stała kompania gwardyi królewskiej. Kilku posłów, którzy tam byli, spostrzegłszy tą deputacją, pobiegło zaraz do sali, dać znać o jej przybyciu, i kiedy przed chwilą słychać tam było wrzawę i stukanie laski marszałkowskiej, nagle uciszyło się wszystko. Dekert, który jeden z najpierwszych przyjechał, biegał po przedsionku dość chłodnym i smutnym niespokojnie, liczył deputowanych i wołał niecierpliwie:

— A kiedyż oni się zjadą!

Withofa zawołał do siebie i kazał mu stać przy sobie.

— Muszę cię mieć pod ręką — mówił — uważaj na mnie pilnie, dam ci znak, kiedy trzeba rozpocząć czytanie.

Deputowani zachowywali głębokie milczenie. Pieprznicki, górujący nad nimi wzrostem, nieruchawy i niezgrabny w nowym i niezwykłym dla siebie stroju, patrzył przed siebie bezmyślnie i szepnął raz do Withofa:

— Jak Boga kocham, jestem jak na hecy!

Nakoniec wszyscy deputowani zebrali się już w przedsionku. Czarno od nich było, jakby kto kirem pokrył tę salę.

— Mości panowie — wołał Dekert — idziemy. Parami proszę wchodzić, parami.

I wzięwszy pod rękę Paschalisa i skinąwszy Withofowi, by za nim szedł, ruszył ku wielkim drzwiom sali sejmowej. Te roztworzyli nagle na oścież odźwierni paradyne w ferezye polskie z galonami ubrani i deputacja w ponurem milczeniu poczęła wkraczać. Po kamiennej posadzce sali stuknęły korki ich trzewików. Szli, szli i zatrzymali się na

środku sali, w kole utworzonym przez ławy poselskie, wprost tronu królewskiego. W sali panowała zupełna, martwa cisza, co widoczne i silne wrażenie robiło na deputowanych. Jakoż nie można się było temu dziwić. Był to bowiem niezwykle wspaniały i pełen nieopisanego majestatu ten widok świątyni narodowej. Na tronie o siedmiu stopniach, bogato w karmazynowy ze złotem frendzlami aksamit przybrany, siedział król w koronie na głowie, w szatach francuzkich białych, otoczony ministrami, wojskowymi i dworem lśnącym od złota i haftów. Król był blady i widocznie głęboko znużony. Głowę wsparł na ręce i patrzył się swemi melancholijnemi, błękitnemi oczami na posępną deputacyą miejską. Po obu stronach tronu ciągnęły się krzesła senatorskie. Na początku po prawej ręce siedział prymas ks. Michał Poniatowski, w pasowym ubiorze z takąż piuska na głowie, dzierżąc w ręku srebrną wysoką laskę z krzyżem na wierzchu. Za nim, za krzesłem stał ksiądz młody i okazały z wysokim krzyżem, ksiądz ten nosił łaciński tytuł: cruciferus. Obok prymasa długim rzędem siedzieli biskupi, dalej wojewodowie, kasztelanowie, po większej części we francuzkich strojach, w atłasach, haftach, złoceniach i perukach.

Za krzesłami senatorskimi wznosiły się amfiteatralnie ławki czterostopniowe, na których województwami podług porządku siedzieli posłowie, przeważnie w jaskrawych strojach polskich, w kontuszach z wylotami, wygoleni polskim obyczajem. Ci wychylając się naprzód, wspierając się na ławki, ciekawie przypatrywali się wchodzącej deputacyi miejskiej.

Na przeciw króla, na wielkich fotelach karmazynowym aksamitem obitych, siedziało dwóch marszałków z czarnemi, hebanowemi laskami. Od Korony marszałkiem był Stani-

ław Małachowski, od Litwy książę Kazimierz Sapieha, ten sam, który wczoraj w teatrum łożę prezydentowej kazał samowolnie podzielić na dwie części dla swych faworytek. Przy każdym marszałku stał sekretarz. Koronnym był Siewczyński, a litewskim Ancuta. Galerya, ciągnąca się wzdłuż trzech ścian sali, napełniona była arbitrami i szybko piszącymi. Naprzeciw tronu była wielka łoża dla posłów zagranicznych, a dwie łoża nad galeryami po obydwu stronach dla dam, których było mnóstwo, postrojonych jak na bal. Damy te, przypuszczać to należy, wielki wpływ wywierały na obrady sejmujących. One dawały oklaski lub wyrażały głośno swe niezadowolenie, błyskami ślicznych oczu zachęcały lub groziły. Wielu z pomiędzy sejmujących miało między tem świetnem, błyskotliwem i strojnem gronem niewieściami, wyglądającym jak bukiet najcenniejszych i najwonnejszych kwiatów zawieszonych u stropu, miało swe żony, narzeczone, kochanki... Jakżeż tu nie uleść tak miłemu, tak słodkiemu wpływowi?.. Tam zresztą na tych galeryach, w tych dwóch łożach niewieścich było zawsze najgłośniej, najwięcej wrzawy i ruchu. Pieszczotliwe głosiki kobiece dominowały nad wszystkim zawsze i ciągle, jakby na dowód tej prawdy, którą właśnie mniej więcej w tej dobie wypowiedział ksiądz biskup Warmiński, że „my rządym światem, a nami kobiety.“

Ale teraz, gdy powoli i poważnie przez rozwarte na oścież wielkie drzwi, wkraczała parami deputacya miejska „koalicya miast“ jak szeptano sobie między sejmującymi, wśród ogólnego, niezem niezakłóconego milczenia, zapanaowała wielka cisza, nawet w łożach damskich, w tem wiekuscie szczebioczącem, ptasiem gronie. Wszystkie ciemne i jasne główki poczęły się wychylać z łoż, żeby się przypa-

trzeć tej czarnej deputacyi, temu jednemu w swem rodzaju widowisku.

Poważne to milezenie, które zaległo głośną przed chwilą salę, powiało jakąś groźbą po wszystkich. Rozlegały się w nim kroki deputatów, dzwoniące jakoś rozgłośnie po kamiennej posadzce. Słońce, ten Febus Kollatajowski, przedarło się przez okna i kładło się złocistymi plamami na kwadratach posadzki, na czarnych strojach deputatów. W powietrzu sali, w pyle słonecznego blasku drżał wielki moment dziejowy. Czułeś że tutaj robi się historia.

Nakoniec wszyscy deputaci weszli i zajęli cały środek sali sejmowej. Dekert stał na przodzie i przyłożywszy rękę do piersi kłaniał się królowi, kłaniał senatowi, marszałkom i stanom sejmującym. Był błąd i widocznie głęboko wzruszony. Koronki jego żabotów drżały mu na piersiach, jakby przebiegały po nich jakieś wichry dziejowe. Withof stał tuż za nim, trzymając w ręku zwitek papierów, patrząc nie bez silnego również wzruszenia na tę scenę, jedyną w dziejach szlacheckiej republiki. Drżał, boć tu i jego osobiste rozstrzygały się losy. Szukał oczami Janikowskiego, który stał na ławie między posłami województwa sandomierskiego i groźnem, pełnem złowieszczych blasków okiem mierzył deputatów.

Wreszcie Dekert posunął się parę kroków naprzód, jeszcze raz się pokłonił i głosem wibrującem, jak silnie szarpnięta struna, począł:

„Najjaśniejszy Królu, panie nasz miłościwy, prześwie-
tne, skonfederowane Stany Rzeczypospolitej! Nadszedł
czas, w którym znajomość sprawiedliwości i prawdy ośmiela
nas mówić w otwartej szczeroci, wynurzać najrzetelniejsze
do ojczyzny przywiązanie; a na tak ważnych pobudkach od-

wołać się do praw nam służących, jako obywatelom miast
wolnych, jako właścicielom ziemi od wieków przez miasto
posiadanej, jako ludziom, którzy użytek praw swoich czują,
nie tylko dla siebie, lecz dla powszechnego ojczyzny dobra,
a w świetle sprawiedliwości waszej zaufani, wątpić nie mo-
gą, że im to wrócić i zatwierdzić zechcecie, co prawo natu-
ry każdemu człowiekowi, a najdawniejsze przodków ustawy
w czasie szczęścia i sławy polskiej stanowi miejskiemu za-
bezpieczają.“

Po tym wstępie mówił, że jeżeli ucisk pod którym milio-
nowa dotąd zostawała ludność, pochodzi z nieświadomości lub
uprzedzeń, to go zrzucić teraz musi oświecenie i sprawiedli-
wość. W tem żądaniu mieszczenie nie idą za przykładem
cudzoziemców.

— Wprawdzie — kończył Dekert — obijają się o uszy
nasze zagraniczne rozruchy, lecz my w nieskażonej dla Naj-
jaśniejszy Rzeczypospolitej wierności, ściśle się zachowuje-
my. Rwie gwałtownie okowy swoje niewolnik, gdzie panu-
jący nad nim tłumi wszelkie prawa człowieka i obywatela,
lecz w Polsce Król, Senat, cały stan rycerski... i każdy o tem
jest przekonany, że wolność jest przyrodzoną człowiekowi,
że prawa jej są świętymi, że podupadłą dźwignąć, osłabioną
wzmocnić należy i na tak trwałej zasadzie, wznieść gmach
wolnego i wiecznie trwałego rządu.“

Na tem skończył Dekert. Rozgrzał się tą mową i na
twarz wystąpiły mu rumieńce. W sali wciąż panowało po-
ważne milezenie. Teraz prosił prezydent warszawski o po-
zwolenie odczytania memoriału o prawach mieszczańskich.
Marszałek sejmku zgodził się na to i Withof wystąpił na-
przód, rozwinął skrypt i głosem drżącym z początku, potem
coraz pewniejszym począł czytać.

W memoryale tym wyłożone były ostateczne żądania miejskie. Domagano się w nim przywrócenia przywilejów przed Sejmem Unii miastom nadanych, bezpieczeństwa osobistego ludzi prawu miejskiemu podległych, wolność kupowania dóbr, mieszczanom litewskim służąca, aby koronnym przyznaną była, możność dosługiwania się wyższych stopni w stanie duchownym i żołnierskim, zapewnienie mieszczanom własnej jurysdykcji z uwolnieniem ich od starościńskiej, marszałkowskiej i t. p.

Withof blisko godzinę czytał ten memoryał wśród ciągłej, niczem niezakłóconej ciszy. Gdy skończył, marszałek podniósł głos, że stany wezmą pod rozwagę żądania miast, żeby odczytany memoryał złożyli do jego łaski. W końcu rzekł:

— Radzę acpanom, abyście pompatycznym aparencom dali pokój, i żeby nawet rozjechali się z Warszawy ci, co z innych miast tu przybyli.

Na słowa te mieszczanie nie odrzekli, ale po sejmie przeszedł jakby dreszcz. Zrywali się ci i owi chcąc mówić, ale mieszczanie się już kłaniali i parami, tak jak weszli, poczęli wychodzić.

Na ulicach tłumy, które się do tej chwili nie rozeszły, poczęły witać powracającą, czarną, mieszczańską procesyą okrzykami. Wielu czapki rzucało w górę, nie wiedząc sami dla czego i po co. Kożuszek znowu wrzeszczał:

— Niech żyje stan trzeci! — któremu to okrzykowi jak zwykle tłumy wtórowały tylko dalekim jakimś wyciem.

Przy takiej to wrzawie deputowani wracali do ratusza, a ztąd każdy zaraz jechał do siebie. Wieczorem miasto było wspaniale iluminowane, a ratusz najpiękniej.

Do późnej nocy owego pamiętnego dnia w Warszawie ruch był i wrzawa niezwykła. Mnóstwo ludzi, ale już nie z samego motłochu złożonych, snuło się po ulicach i placach, przypatrując się iluminacyi.

XX.

Wrażenie, jakie na sejmie uczyniła czarna, mieszczańska, jak ją nazwano, procesya, było bardzo silne. Po wyjściu deputacyi, po chwilowem milczeniu zerwała się wielka burza. Poczęto wołać i narzekać na tę „koalicję miast“ na „zagraniczne nowinki“ na „bunt, rokosz“ i t. p. W ogólności jednak czuć było na większości sejmujących tajemną obawę. Ta czarna procesya widocznie zrobiła na nich wrażenie jakiegoś żałobnego podzwonnego dla szlacheckiej republiki. Jak taka obawa była wielką, opowiadano sobie, że wieczorem tegoż dnia książę Marszałek Sapieha, ten, który miał tak brzydko sobie postąpić z lożą prezydentowej, kazał się zaprowadzić na ratusz dla widzenia iluminacyi i spotkawszy Dekerta kłaniał mu się bardzo nisko.

— Co książę czynisz? — trącił go jeden ze szlachty.

— No co?

— Kłaniasz się i do tego nisko temu łykowi?

— Bo, widzisz, nie chcę wisieć. Miłe mi życie...

O wszystkim tem Withof wiedział i zacierał ręce z radości. Kiedy wieczorem Pieprznicki począł się pakować i gadał, że musi jechać, to Withof mu rzekł:

— Zmiłuj się, nie odjeżdżaj, ważną mi jeszcze możesz zrobić przysługę. Co ci się tak śpieszy?

— Co mi się tak spieszy? a Dydak i rodzinę!.. co ja tu będę zresztą dłużej robił? Psu na budę się to wszystko nie zdało. Jeden tylko pan Małachowski w całym tym sejmie i tej naszej głupiej deputacji, miał rozum. Kazał nam rozjechać się, ja też jadę. Ja bym i bez niego pojechał, bo na mnie aż skóra cierpnie, kiedy sobie pomyślę, co tam ten hycel Dydak musi wyprawiać..

— To ci już wszystko jedno, mój Dominiku — uważał na to Withof — czy pojedziesz dziś czy jutro. Dydak co miał ukraść to ukradł, a mnie uczynisz wielką przyjacielską usługę.

— No, ale cóż chcesz odemnie?

— Chcę, byś jutro z panem Paschalisem poszedł do pana chorążego Janikowskiego i oświadczył się dla mnie o rękę jego córki.

— Co? do chorążego! o rękę jego córki? nie! mój Adasiu, ty masz chyba źle w głowie. Wy tu wszyscy szalejecie w tej Warszawie i ty także oszalałeś. Ale jam przy zdrowych zmysłach i do szaleństwa ręki nie przyłożę...

— A dla czegoż to ma być szaleństwo?

— Jak to dla czego? przecież to dla wszystkich widoczne. Czy ty możesz nawet suponować, że tobie ten dumny szlachcic da córkę? Jeszcze mnie i tego pana Paschalisa za drzwi każe wyrzucić, albo psami wyszczuć, no! a ja do tego wcale ochoty nie mam. Tyle już głupstw narobiłem, przyjechałem do Warszawy, Dydaka ostawiłem samego w sklepie. Nie! dość tego, więcej głupstw już mi czynić nie wolno.

— Mój kochany — odrzekł na te słowa Withof — jużem ci raz to powiedział, żebyś tego czego nie rozumiesz, nie nazywał głupstwem. Wolno ci przyjąć moją propozy-

cją, wolno nie przyjąć. Nikt cię do tego przymuszać nie będzie. Chciałem od ciebie przyjacielskiej przysługi, a ty mi wyjeżdżasz z twojemi zaściankowemi zasadami; jam ich nie ciekaw wcale, a uczyć i przekonywać cię nie myślę. Dajmy więc temu wszystkiemu pokój.

Odrzucił się do okna i stał w niem, bębniąc palcami o szyby. Pieprznicki stanął nad kufrem, w który rzeczy pakował, wyprostowany jak świeca; wybałuszył swe wielkie oczy, roztworzył usta i patrzył na Withofa jak skamieniały, widocznie nie a nie nie rozumiejąc czego ten od niego chce. Stał, stał, ruszył ramionami i zawołał rzucając butem który dzierzył w rękę, o ziemię.

— Bodaj to siarczyste pioruny były! Czego ty się sierdzisz? czego chcesz odemnie?

— Nie już nie chcę! — odrzekł Withof nie odwracając się od okna.

— A niechże cię!.. czego chcesz? już cię chcesz czegoś, kiedy się sierdzisz. Chcesz bym poszedł do chorążego? Dobrze, nie pojedę jutro do domu, ubiorę się w kontusz szabłą przypaszę i choć bez wąsów będę wyglądał z przeproszeniem jak baba, pójdę do chorążego. Pójdę, gdzie chcesz. Oświadczę cię, niech mnie djabli wezmą!

Withof odrzucił się od okna i na twarzy jego zajaśniał uśmiech. Pieprznicki zirytowany mocno, chodząc wielkimi krokami po komnacie gadał ciągle:

— Cóż ty myślisz, że ja się boję jakiegoś tam chorążego? O! o! o! nie stoję ja o wszystkich chorążych na świecie. Pójdę, pójdę i jeszcze mu kapitułę wytę, że obaczy szlachcie. W pasy jestem ostatniej i nie radzę nikomu w drogę mi włożyć. Ale ja ci to powiem, ty się sierdź gniewaj, praw mi tam jakieś zamorskie mądrości, a ja ci po-

wiem poprostu, biorąc rzeczy na mój mieszczański, kupiecki rozum, że to wszystko na nie się nie zda, jeno despekt będzie i basta!

— Mój Dominiku — pocznie na to Withof — tak źle nie jest, a choć ja wielkiej nadziei nie mam, by to jutrzejsze wasze poselstwo się udało, przecież nie czynię nic zawsze na ślepo. Nasza dzisiejsza deputacya silnie na szlachcie wywarła wrażenie; wszyscy się trochę boją i chorąży się boi, a jak wy go jeszcze trochę przestraszycie, jak mu powiecie, że ja coś w mieszczaństwie znaczę, że to będzie najlepszy sposób ułagodzenia wszystkiego, to kto wie czy się nie zgodzi, Otóż probować nie zawadzi. Nie zgodzi się, ano to dobrze; wiem ja już co mam w takim razie czynić.

— Ano... tyś mądrzejszy odemnie i nie mnie ciebie uczyć. Cheesz, bym poszedł jutro do chorążego, dobrze, pójdę.

To mówiąc z trzaskiem zamknął wieko kufra, pchnął go silnie nogą w kąt i począł łązić po komnacie. Stańło więc na tem, że jutro rankiem swaty Withofa pójda do chorążego. To też Withof mając przyrzeczenie Pieprznickiego, nie tracąc czasu, pobiegł tegoż jeszcze wieczoru do Paschalis, jednego z najbogatszych i najpoważniejszych mieszczan warszawskich. Jakoż wszystko mu tak dobrze poszło, że nazajutrz Paschalis z Pieprznickim, ubrani świątecznie, około południa, przed rozpoczęciem się sesyi sejmowej, udali się zamkniętą karocą do pałacu hetmańskiego, do chorążego.

Withof został sam w domu, postanawiając oczekiwać na rezultat tej swadźby. Była to najdłuższa, najprzykrzejsza chwila w jego życiu. Ta godzina, którą przepędził

sam, ze swojemi myślami tylko, z brakiem nadziei, z szeregami strasznych wątpliwości, wydawała mu się wiekiem. Zrazu usiadł sobie przy oknie i patrzył na rozwijający się przed nim obraz życia miejskiego na rynku, na przekupniów, sprzedających swoje towary, na jaskrawe stroje kupców ormiańskich i tatarskich, na to bujne, charakterystyczne życie, pełne ruchu i wrzawy. Zdawało mu się, że to go zajmie. Gdzie tam, nie zajmowało go wcale. Nawet kłótnie wygadanych, sławnych od dawien dawna przekupców warszawskich przestały go interesować. Nic go teraz nie interesowało. Cała jego myśl, wszystko życie zbiegło się tam, za jego swatami, którzy ponieśli jego losy do pałacu hetmańskiego. Tam teraz decydują o całej jego przyszłości. Co chwila podnosił wzrok na stary zegar na wieży ratuszowej. Sekundy za sekundami, minuty za minutami płynęły wolno w nieskończoność. Czas wydawał mu się dziwnie, wyjątkowo długim. Niekiedy, nie mogąc wysiedzieć na miejscu zrywał się, biegał po pokoju, łamał ręce w bezsilnej rozpacz, w utraceniu wszelkiej nadziei; to znowu przypominał sobie strach, jaki padł na stany sejmujące, na Sapiełę, który bał się wisieć i nie wątpił, że chorąży swatów przyjmie. Na myśl o odmowie pot kroplisty występował mu na czoło. Miał postanowienie mocne wykraść w takim razie pannę z klasztoru, ale ostatecznie był to krok niebezpieczny. Ni ztąd, ni z owąd przypominał sobie historią tego biednego mieszczanina krakowskiego, którego za wykradzenie córki jeden z przodków chorążego kazał ścigać jak zbrodniarza.

— To zupełnie podobne do mego położenia — mówił sobie.

A czas biegł powoli, nieustannie. Mijały sekundy, minuty, kwadransy, minęła godzina, a swatów nie było widać. Niecierpliwił się ogromnie, usiedzieć nie mógł na miejscu, nadśledziwał, najmniejszy turkot na ulicy wpędzał mu całą krew do głowy. Nakoniec zajechali. Widział jak wolno wysiadali z karety. Pobiegł do drzwi. Pierwszy wszedł Paschalis. Myny mieli bardzo rzadkie.

— No co? — zapytał ze strasznym ścisnięciem serca.

— Żle — odrzekł Paschalis i usiadł na krześle zmęczony widocznie.

— Niech go jasny piorun trzaśnie! — krzyczał Pieprznicki rzucając z pasa czapkę o ziemię — wolałbym świnie paść, jak mieć takiego teścia.

Withof pobladł, musiał się oprzeć o ścianę. Ale odzyskał już cały spokój i całą zimną krew.

— Opowiedzcie mi jak było. Odmówił?

— Mosanie — począł Paschalis — odmówił. Ani sobie gadać o tem nie dał. Zwymyślał nas jeszcze, zagroził wyrzuceniem za drzwi. Człowiek to dziki, zapleśniały szlachcic, gwałtowny, zawadycki.

— Odgrza się, że cię każe schwytać i bizunami osieć! — krzyczał Pieprznicki cały czerwony — a ja mu na to: strzeż się waść, bo nim ty na Withofa bizun podniesiesz, to on ci pod oczy zaświeci stryczkiem.

— Ano mosanie — przerwie Paschalis — acpan to niepotrzebnie gadałeś. Szlachcie jakby go kto gorącą wodą oblał. Skoczył do szabli i trząsał się cały i krzyczał na służę: łapaj! trzymaj! kto w Boga wierzy.

— I cóż? — pytał Withof.

— A cóż — rzecze spokojniej Pieprznicki — zastąpili nam drogę hajducy, alem jednego w głębie rznął, aż się

krwią zalał, drugiego w piersi kułakiem, aż padł... a my w nogi!

— Ledwie żyję! — dyszał Paschalis.

— Niech djabli wezmą takie swaty! — kłął Pieprznicki — jadę, zaraz jadę do Lublina, nie chcę o niczem słyszeć. Dydak huncfot...

— Czekajże, niech się dowiem, co wam powiedział chorąży! — pytał Withof.

— Alboż to nie wiesz? wściekał się na zuchwalstwo łyka, jak mówił, który śmie podnieść oczy na szlacheckie dziecko.

— A wy co na to?

— A cóż, ja mu rzekłem: mości panie, lepiej dobrowolnie dać Withofowi córkę, niż żeby ci ją miał mocą brać. Despekt tylko będzie i ludzkie gadanie.

— A cóż chorąży?

— Wściekał się, powiadam tobie. Skakał jak zmiya. Mocą! krzyczał, mocą! niech spróbuj! Bizunami łyka osieć każe, zabije go pod batami. Ano mnie już pasya porwała ostatnia. Więc mu wtedy rzekł o tym stryczku.

Withof był błądy jak trup. Założył ręce na tył i chodził tak po komnacie, ściskając zęby i ważąc jakieś myśli w głowie.

— Wymyślał na ciebie ten szlachetka — począł znowu Pieprznicki — Withof! Withof! krzyczał, szewczyk jakiś. Pieprz mu sprzedawać, a nie o moją córkę się starać. Dam ja mu szlachecką córkę, popamięta mię, popamięta!

— Oj! że mnie popamięta, to pewno! — mruknął Withof.

— Mosanie! — ozwie się Paschalis — nie wiem, co tam zamierzasz teraz uczynić i nie moja w tem rzecz. Alem

ja starszy od ciebie i wiele na świecie widziałem. Dam ci jedną radę. Ciśnij to wszystko do licha. Po co ci szlachcianka! Alboż to mało jest dziewczek mieszczańskich i pięknych i bogatych? Chcesz, to cię wyswatam z moją krewniaczką w Krakowie. Panna dobra i pieniądze ma. Po co ci zdrową głowę kłaść pod Ewangelię i ze szlachtą zadzierać?

Withof milezał chodząc wciąż po komnacie. Tedy Paschalis pogadawszy jeszcze o tem i o owem i widząc, że jego propozycja zimno jest jakoś przyjmowaną, wstał i rzekł.

— No, spełniłem mośanie o coś mię prosił i czynić tu już nie mam co u ciebie. Zalterowałem się trochę tą sprawą i odpocząć sobie muszę. Stary jestem i niedomagam na nogi, a tam po schodach przed hajdukami uciekałem jak zmyty. Podagra mi dokucza. Wino Fukiera zawsze podagrę sprowadza. No bądź że mi zdrów! Jak będziesz miał co, stary Paschalis zawsze służyć ci gotów.

Pożegnał się i wyszedł. Withof został sam z Pieprznikiem, który znowu zabrał się do pakowania swych rzeczy.

XXI.

Przez długi czas w komnacie między dwoma przyjaciółmi panowało milczenie. Pieprznicki starannie układał swe rzeczy do kuferka, sapał przy tem, stękał i kłął nawet od czasu do czasu pod nosem:

— Bodaj cię siarczyste!

Zły był widocznie, czerwony cały na twarzy, czuprynę zburzył, swemi mglistemi oczami, teraz błyszczącemi ogniem gniewu, spoglądał niekiedy na Withofa, który głęboko zamyślony, z czołem zmarszczonem, z głową spuszczoną chodził wielkimi krokami z jednego kąta w drugi. Nagle zatrzymał się i spostrzegłszy Pieprznickiego, układającego swe rzeczy w kuferku, spytał:

— Cóż ty, pakujesz się?

— Oczywiście, że się pakuje. Cóż ja tu będę robił? Kością mi już w gardle stoi ta Warszawa i jeno człek sobie po próznicy krew psuje. Rozchoruję się tu jeszcze. Jak Boga kocham rozchoruję się. Jak przyjadę do domu, każę zaraz sobie dajfeldreku przyłożyć na grzbiet i piersi. Niech jasny piorun wszystko trzaśnie! A ten hycel Dydak, kiedy sobie o nim wspomnę, to mię wszyscy djabli biorą.

— Mój Dominiku—ozwie się na to Withof—chcesz że mię opuścić w tak szkaradnej opresyi serca i duszy mojej?

Mówił to Withof, siadając ciężko na krzesło, głosem tak jakoś żałośliwym, że Pieprznicki wyprostował się nad kufrem i wylupiaste swe oczy wlepił w mówiącego z wyrazem zdziwienia i jakiegoś rozczulenia.

— Opuścić cię Adasiu!—zawołał nagle—a ja cię nigdy nie opuszczę. Nakaz, co mam czynić dla ciebie a uczynię, Bóg mi świadkiem. Ale widzisz, mnie się tu strasznie cknii i ten Dydak...

— Nie bój się, Dydak jeżeli co ukradł, to już ukradł. A przytem, kąd ty wiesz, że on cię kradnie? Znam go przecież i wydaje mi się człek uczciwy...

— Uczciwy! hm! ale głupi, strasznie głupi, lubi łasować. Powiadam ci cynamon i cukier to tak je, jak chleb

a małżazą jak spija!.. pi! pi! pi! A cóż dopiero rodzynki ze Spanien? To to dla niego nowalia. Szelma się tak tam pewno obżarł, że musiał potem dajfeldreku zażywać. Znam ja go, hultaj jest ostatni!

— No, co się stało, to się nie odstanie. Zjadł ci trochę rodzynek, dajfeldreku zażył i koniec. Już nie na to oba nie poradzimy. Tymczasem ty mnie dużo możesz dopomódz. Słuchajże mnie, nie jedź ty jeszcze dzisiaj.

— Nie jechać! zmiłuj się Adasiu, ja tu uschnę z kretešem w tej Warszawie. Powiadam tobie, pas oto ten o dwie dziurki dalej zapinam! takim zmizerował się tutaj od handry, aprehensyi i gniewu wszelakiego. Żółć mi się uleje, jak Boga kocham, żółć mi się uleje.

— Już to nie długo potrwa, pojedziesz jutro w południe.

— Jutro? a daszże na to verbum, że mię nie zatrzymasz dłużej?

— Dam.

— No, to zostanę. Nie powiesz, że cię opuszczam w opresyi serca i duszy. Pieprznicki chłop głupi, ale dobry. Zostanę!

To mówiąc z trzaskiem zamknął wieko kufra, pechnął go w kąt i oddychając ciężko siadł na wielkim krześle z poręczami podług komina. Withof tymczasem mówił ciągle swym smutnym, cichym, żałośliwym głosem:

— Dziękuję ci za to, bardzo serdecznie ci dziękuję, Dominiku, ale bądź pewny, że cię dłużej trzymać nie będę; ile, że i ja jutro wieczorem wyjeżdżam z Warszawy.

— Wyjeżdżasz? a to dobrze czynisz! Tu nie ma co robić, tu zamorskie jakieś miasto. Jeno same pludry, Niemcy, farmazony. Człek najmańdrzejszy w Lublinie, tu

głupieje z kretešem. Jak Boga kocham, tak prawda. Ale proszę ja ciebie, dla czegoż ty wieczór jedziesz? Jedź ze mną; albo wiesz co, ja zaczekam do wieczora i pojedziemy razem.

— Nie, to być nie może. Ty musisz jechać wprzód.

Tu Withof wziął krzesło, przysunął je do pana Dominika i siadając począł mówić przytłumionym głosem.

— Muszę ci wszystko powiedzieć. Dla tego nie możemy razem jechać, że ja jutro wieczorem chcę wykraść Teklusię z klasztoru.

Pieprznicki aż skoczył.

— Zmiłuj się, na prawdę chcesz wykraść?

— A na prawdę!

— Ale to gardłem pachnie! z klasztoru! gadałeś mi o tem, ale ja to miałem za przechwałki. A tu widzę, tobie to ewiekim w głowie siedzi.

— A siedzi i nikt mi tego z niej nie wybije. I co tu gadać? Panny mi nie chcą dać dobrowolnie, to trzeba ją sobie samemu wziąć. Chorąży odgraża mi się, ano niech się odgraża, a ja swoją zrobię. Ja bez tej dziewczyny żyć nie mogę, i gdybym utracił nadzieję posiadania jej kiedyś, jak mię tu widzisz, w łeb bym sobie wypalił.

Pieprznicki nic na to nie odrzekł, tylko siedział z załamanymi rękami, z miną desperacką i patrzył tak nieruchomo na Withofa. Ten wciąż prawił.

— Więc eokolwiek byś powiedział przeciwko mojej planie, to się na nic nie zda, bo ja pannę mieć muszę. Owszem, ja chcę od ciebie tego, żebyś mi po starej przyjaźni dopomógł.

— Ale to szyją pachnie, powtarzam.

— A któż tobie ją weźmie w Polsce? — zaśmiał się Withof, — dajże pokój! Jeden chorąży, który jest człek energiczny mógłby to uczynić, zwłaszcza, że ma plecy u tego warchoła Branickiego, ale w tem też cała rzecz leży, żeby od chorążego tak daleko uciec, iżby mię dosięgnąć nie mógł. W tem właśnie potrzebna mi jest twoja Dominiku, pomoc.

— Ja się boję! jak Boga kocham, ja się boję!

— Nie masz się czego bać, mój Dominiku, na nie cię nie narażam. Nie chcę przecież, żebyś ze mną wykradał pannę. Już ja sobie sam dam radę. Chcę cię tylko prosić, żebyś wyjechał jutro do Lublina, wszędzie na drodze rozstawił konie, które by mię szybko powiozły jak najdalej od Warszawy.

— A to dobrze! Owszem, rozstawię konie. I nie myśl ty sobie mój Adasiu, że ja się tam znów tak bardzo boję chorążego. Kpię sobie z niego. Dobrze, rozstawię konie i wszystko ci tak przygotuję, że będziesz leciał jako wieher. Ale powiedz że mi, proszę ja ciebie, dokądże ty z twoją bogdanką chcesz uciekać?

— W Pińszczyznę. Mam tam dalekiego krewniaka po matce, która była szlachcianką i zwała się Mioduszevska. Owóż ten szlachciec jest także Mioduszevski i siedzi tam gdzieś w błotach, bagnach i puszczech, że jeno w zimę i to w wielkie mrozy do niego dostać się można. Osiadę u niego i będę czekał z młodą i piękną żonką lepszych czasów i pies mię tam nie znajdzie a nie dopiero chorąży.

— To dobra planta. A żeby wam było słodko, dam wam funt rodzynek ze Spanien, jeżeli ich jeszcze nie zjadł ten obwieś Dydak. Więc na Lublin chcesz jechać?

— Oczywiście, którądyż bym jechał. Przyjmiesz mię u siebie, ukryjesz, odpoczniemy sobie trochę i nocą dalej w drogę.

— Proszę ja ciebie, mój Adasiu, ale ja chciałem wracać tym samym gościńcem, którymśmy tu przyjechali.

— Ano tak! i ja tym samym chcę uciekać.

— Otóż widzisz, czy to bezpiecznie? Na Zwoleni przecie będziemy jechali, a od Zwolenia do Janikowa niedaleko. A trzeba ci wiedzieć, zapomniałem o tem z kretezem, że jakim się dowiedział wczoraj u Fukiera od jakiegoś bibosza, Kwiatkowski, ten marszałek chorążego pojechał do Janikowa i tam rządzi. Więc na niego nadybiemy!

— To go szablą po łbie i basta, jeżeli dobrowolnie nie ustąpi. Wezmę z sobą dwóch tęgich i przywiązanych do mnie ludzi. Nie boję się wszystkich Kwiatkowskich.

— Ba! widzisz mój Adasiu nie to łatwiejszego, jak kogoś przez łeb szablą pałać, ale w takiej jak twoja imprezie, zawsze to jest lepiej, gdy się wszystko robi cicho i bez śladu.

— To pewno że lepiej.

— Więc ja bym radził pojechać przez most na Pragę i tamtą stroną Wisły uciekać.

— Ale to być nie może. Na moście dzień i noc straż stoi i ślad by był. Potem gościńce tam są okropne, a ten którymśmy jechali dobry, o ile w Polsce drogi mogą być dobre. Chorąży zresztą ani przypuści, byśmy smyrgali mu

koło nosa, i gdzie indziej nas będzie szukał, a już najprędzej za Wisłą.

— Ha! może ty i masz rację!

Na tem urwała się rozmowa. Umówili się jeszcze, że Pieprznicki jutro świtanem wyruszy na Pragę, kupi kilkanaście koni i te wyśle zaraz na różne stacje ze sprawnymi ludźmi. Również kupi karocę u Dangla, małą, lekką ale mocną i ta zostanie w Warszawie na rozkazy Withofa.

Tak się ułożywszy, tego samego dnia Withof napisał liścik do chorążanki, donoszący jej o wszystkim i zaklinający szeregami najtkliwszych wyrazów i zaklęć, by się zgodziła na ucieczkę. Mówił, że niema dla nich innego wyjścia, że inaczej nigdy się ze sobą nie tylko już nie połączą, ale nawet nie zobaczą, że więc, jeżeli go choć trochę kocha, to jutro wieczorem o godzinie 8-ej, lub o tej, którą sama Teklunia naznaczy, wymknie się przez opisaną jej furtkę na ulicę, gdzie on już, Withof, czekać na nią będzie z karocą. Donosił jej, że zaraz ślub wezmą w kościele Benonów, i że już jako małżonkowie uciekną, że w końcu niema takiego ojca na świecie, któryby po fakcie spełnionym nie pogodził się ze stanem rzeczy, że zatem, on Withof jest przekonany, że chorąży wcześniej czy później ulegnie i przycisnie ich do swego serca. Na to złożyć się muszą uczucia rodzicielskie i wpływ idei postępowych, które nawet w najzafańszych i najsilniej wzburzonych umysłach wpływ robić muszą. Wszystko więc zależy od wygrania na czasie. Niechże więc nie odmawia, niech się zdecyduje na ten krok stanowczy, mający ostatecznie ukoronować ich wzajemną miłość. W wyrazach pełnych ognia i siły zapewniał ją, przysięgał, że jeżeli odmówi, to nazajutrz zobaczy w furcie

klasztornej jego trupa. Pisał w końcu, że z niecierpliwością i dręczącym niepokojem oczekuje jej odpowiedzi, jej decyzji o jego losie i życiu.

Wygotowawszy taki liścik, który winien był silne i wstrząsające wywrzeć wrażenie na serce młodej i zakochanej dziewczyny, zaniósł go zaraz do przekupki Kaźmierzowej.

— Musicie mi przynieść odpowiedź — mówił do baby — róbcie co chcecie, a odpowiedź być musi. Jeżeli będę miał jutro liścik od panienki, dam wam dziesięć dukatów.

Baba kiwała głową, krzywiła się i mówiła, że to będzie trudno, że zakonnice pilnują, że długo nie pozwalają jej znajdować się w klasztorze, ale w końcu przyrzekała, że uczyni wszystko, co będzie mogła, by tak szczeremu panu dogodzić.

Tak załatwiwszy wszystko Withof wrócił do domu. Spać tej nocy nie mógł. Najdziwniejsze, najstraszniejsze myśli przychodziły mu do głowy. Niekiedy zrywał się z posłania i całemi godzinami chodził po swej sypialni, lub siedział przy oknie i patrzył na rynek staromiejski, pogrążony w ciemnościach posępnej nocy listopadowej, cichy, czarny, spiętrzony dokoła kamienicami. Ciemne światło latarki, migoczące przy wejściu do ratusza, rzucało mgłe, chwiejne, niepewne blaski na błoto uliczne.

Ten obraz pełen melancholji nie mógł oddziaływać wesoło na smutną duszę Withofa. Przypomniawszy sobie jeszcze raz tego nieszczęśliwego mieszczanina krakowskiego, którego przed paru wiekami, jeden z przodków chorążego ścigać za to samo kazał w Zwoleniu, co jutro, on, Withof zamierza uczynić.

— Jaki dziwny zbieg okoliczności i podobieństwo — mówił sobie — a nuż mnie taki sam los czeka? Ale nie, inne dziś czasy i inni ludzie; dziś żaden Janikowski nie śmiałby ścinać Withofa.

Wśród takich myśli przepędził noc, i smutny poranek listopadowy zastał go siedzącego przy oknie.

XXII.

Ledwie dzień się zrobił Pieprznicki już był na nogach i poleciał na Pragę kupować konie. Lubo był zwyczajnym kupcem kolonialnym znał się jednak na koniach dobrze i wielki miłośnik był tego zwierza, to też wkrótce, ile że miał w czem wybierać, bo nakazane przez sejm tworzenie nowego wojska, sprowadzało do Warszawy tysiące handlarzy końskich, kupił kilkanaście dobrych, rączych i wytrwałych koni. Wynajął dla nich stajnię na Podwalu na kilka godzin, kazał dobrze nakarmić, podkuć te, które były niekute, nogi wytrzeć słomą i wysmarować sadłem, wyczyścić, napoić i czekać na każde zawołanie. Potem pobiegł do sławnego w tej porze fabrykanta powozów Dangla na Senatorskiej ulicy i kupił u niego nie wielką, na dwie do trzech osób karocę lekką, ale zbudowaną silnie i trwale. Karocę tę kazał zaraz odstawić na Podwał do stajni, tam gdzie były konie, a sam wrócił do domu, żeby ostatecznie rozmówić się z Withofem i donieść mu, że wszystko gotowe. Choć południe już było niedaleko i na Pieprznickiego czas był wielki do wyjazdu, jednakże Withofa nie zastał,

— Przyjdzie zapewne zaraz! — mówił sobie i poraz trzeci zabrał się do pakowania swych rzeczy.

Spakował je jednak bardzo starannie, kazał zanieść do zajazdu gdzie były konie i bryczka jego, którą miał jechać, sam ubrał się do drogi, pistolety nabił i czekał na Withofa. Ale tego długo nie było. Czas upływał. Zegar na ratuszu wydzwaniał powoli jęcząc, piszcząc, skrzypiąc dwunastą godzinę, Pieprznicki, się niecierpliwił, biegał po

komnacie, nadśluchował czy nie dojdą do jego uszów jakie kroki, wyglądał przez okno, kłął, ale Withofa nie było.

Zjawił się dopiero koło pierwszej z twarzą rozpromienioną, czerwony cały, zadyszany, przeskakując po trzy naraż schody. Ledwie wpadł do pokoju, zaraz spostrzegłszy Pieprznickiego spytał z progu:

— Konie są?

— Oczywiście że są — odrzekł niechętnie Pieprznicki i dodał: ale niechże cię też kule biją! Gdzież ty siedzisz? tu przecie chwili czasu nie ma do stracenia, ja muszę zaraz jechać i dobrze pędzić, żeby wszystko jak należy na drodze przygotować.

Withof rzucił się na szyję swojemu towarzyszowi i wołał, ściskając go w uniesieniu radości.

— Dziękuję ci, dziękuję mój Dominiku serdecznie! Jestem najszczęśliwszy z ludzi. Zgodziła się! zgodziła! to najlepsze, anielskie serce!

— Jakto zgodziła się? — pytał Pieprznicki.

— Że pojedzie ze mną, że się da wykraść.

— Alboż o tem wczoraj nie wiedział?

— A nie, dopiero teraz wiem. Oto jest jej liścik, liścik droższy mi nad złoto. Nic nie pisze, jeno te słowa: „będę o ósmej przy furcie wiadomej, będę, choć drzę cała. Twoja do śmierci. Tekla“. Moja do śmierci. Oszaleję chyba z radości.

I śmiał się i biegał po komnacie, skakał, zacierał ręce z wyrazem widocznego zadowolenia. Pieprznicki patrzył na niego przez jakiś czas, ruszał ramionami, poczem podniósł się i rzekł:

— No kiedy tak, to ja muszę jechać, nie ma czasu do stracenia ani momentu. Konie zabieram i rozstawiam.

Twoja karoca jest w zajezdzie na Podwalu. Tam trzeba po nią posłać. No, bądź mi zdrów Adasiu, i niech cię Pan Bóg ma w swej opiece. Ja na ciebie za Wisłą będę czekał, bo tam już rozstawione konie są niepotrzebne. Czy dobrze?

— Dobrze, ślicznie! rób jak uważasz. Na wszystko się zgadzam.

Rzucili się sobie w ramiona i Pieprznicki miał łzy w oczach. Ściskając Withofa, gadał:

— Niechże cię Bóg ma w swej opiece, Adasiu. Nie chcę cię przestraszać, ale ja mam złe przeczucie. Dopóty nie będę spokojny, dopóki cię nie zobaczę za Wisłą. Bądź że mi zdrów i niech cię Pan Jezus strzeże.

Withof na to odpowiedział, że on się niczego nie boi, że on jest pewny powodzenia. Czuje się zresztą tak szczególnie, że tego pogodnego, jakie przed sobą widzi, nieba, żadna chmura zaciemnić nie zdoła.

Rozstali się nakoniec. Pieprznicki pojechał, a Withof zajął się przygotowaniami do ucieczki wieczornej. O tej ucieczce nikt prócz Pieprznickiego i ojca Gwilhelma nie wiedział. Służącemu swemu, wiernemu towarzyszowi od młodości powiedział, że wieczorem wyjeżdżają, ale że nie ma o tem gadać nikomu. Wszystkie pieniądze, jakie miał w srebrze i złocie wsypał w trzos skórzany i ten opasał koło bioder. Ubrał się po niemiecku kuso, ale na wierzeh przygotował sobie polską, szeroką delią, podbitą lisami i czapkę polską, baranią, wysoką podszytą drutami i suto wywątowaną, żeby mu na wszelki wypadek w razie zbrojnej jakiej walki osłaniała głowę. Dwa śliczne, tureckie pistolety nabił kulami, a do boku przypasał długi rapir niemiecki, broń straszną, którą umiał doskonale robić.

Tak pokonczywszy swoje przygotowania poszedł do zajazdu na Podwalu, gdzie była karoca i konie. Konie były dobre, karoca lekka, a forys znany mu oddawna powiedział, że piorunem jechać będą. Kazał mu karocę mieć zaprzęgniętą i gotową o wpół do ósmej.

Czas mu się do wieczora strasznie dłużył. Nie wiedział, co z sobą robić. W niepokoju który go dręczył, chodził po ulicach i błądząc, zaszedł przed pałac Branickich, czy czego nowego tam nie obaczy, ale nie takiego nie ujrzał, coby mogło w nim wzbudzić podejrzenie. Zjadłszy obiad w restauracyi francuza Fremo, wrócił po południu do domu, żeby się przespać trochę, ale tu zastał wezwanie od Dekerta. Poszedł tam. Była znów narada mieszczańska i trwała parę godzin. Withof choć kochał Dekerta, nie mu jednak o swych zamiarach nie powiedział i wrócił do domu. Chciał spać a nie mógł. Zrywał się, chodził po komnacie w najróżnorodniejsze pograżony myśli.

Nakoniec nadszedł tak niespokojnie oczekiwany wieczór, wietrzny, mokry, i czarny jak piekło. Wiatr się zerwał, rozpędził moc brudnych, ołowianych chmur, które zakryły całkiem księżyc, właśnie dążący do swej pełni. Ciemno więc było tak, jak tylko może być ciemno w ponurej nocy listopadowej. Drobnny kapuśniaczek zaczął padać i marzył zaraz na bruku, pod wpływem mroźnego, przenikliwego wichru. Noc była szkaradna i w sam raz nadająca się do jakiejś nagłej ucieczki, wykradzenia lub napaści. To też Withof uzbrojony jak się patrzy, okryty w swoją delią futrzaną, z konfederatką na głowie, gotowy całkiem do podróży, kiedy wyszedł na ulicę i zobaczył tę noc chmurną, ciemną i okropną, aż zatarł ręce z radości.

— Widocznie Opatrzność, jeżeli jest w naturze jaka Opatrzność, opiekuje się moją sprawą i moją dolą serdeczną — mówił sobie.

Deszcz kłuł go po twarzy, brnął po błocie w ciasnych uliczkach, łączących Stare Miasto z Podwalem, potknął się raz tak, że o mało nie upadł, wszystko to jednak cieszyło go i bawiło niezmiernie.

— To dobrze, doskonale. Im ciemniej, tym ucieczka łatwiejsza.

Na ulicach prawie żywej duszy nie było. Kto mógł, to chronił się pod dach, do domu; tylko ludzie zmuszeni przebiegali błotne i śliskie ulice, przyspieszając o ile możliwości kroku. Z winiarni Fukiera, tylną furtą od ulicy Piwnej, wytoczyła się gromada pijaków i trzymając się pod ręce wykrzykiwali sobie. „Hu! ha!

Jeden z nich poślizgnął się i usiadł sobie na błotnym bruku i oparłszy się plecami o kamienicę, śpiewał ochrypłym głosem:

„Przywdzieję kontusz, przywdzieję kontusz, szablę przypaszę,
Pójdę do dziewczyny, pójdę do jedynej, co po mnie płacze.“

Inni go podnosili, sami zataczając się szkaradnie i myślając głośno. A ów pijak ciągle nucił ową melancholijną piosnkę.

„Wyszła dziewczyna, wyszła jedyna, jak różowy kwiat.
Oczki wypłakała, rączki załamała, zmienił jej się świat.“

Withof patrzył na to wszystko i słyszał. Owa piosnka przenikała mu duszę na wskroś. Wszak i on „szablę przypasał do boku i idzie do dziewczyny, do jedynej, co po nim płacze.“ Ona także tam, w tym posępnym klasztorze „oczki wypłakała, rączki załamała.“ Wicher wył po cia-

snych uliczkach i ta smutna piosenka dziwnym smutkiem ogarnęła duszę Withofa. Szedł powtarzając sobie „rączki załamała, oczki zapłakała“ i czuł jak mu od serca łyzy idą. Potem ni z tąd ni z owąd znowu rysować mu się w oczach poczęła postać biednego mieszczanina krakowskiego, ściętego przed dwustu laty na rynku w Zwoleniu. Ten dziwny zbieg okoliczności, żeby w jednej rodzinie, w jednakowych prawie warunkach powtórzył się ten sam wypadek, poczał budzić w rozdrażnionej i niespokojnej duszy młodzieńca, jakiegoś smutne przeczucia.

— A nuż, ze mną się tak stanie! — mówił sobie.

Ale po chwili przychodził mu rozmyśl, budziła się w nim дума obywatela kraju, upominającego się o „prawa człowieka.“

— Najprzód — mówił sobie — nie złapią mnie, to jest prawie niemożliwe, a potem, gdyby nawet złapali, tknąć mnie nie ośmielą się. Nie ośmielą się i basta.

Tak rozmyślając dostał się na koniec do zajazdu, gdzie stała jego karoca i konie. Było już koło siódmej wieczorem i Withof kazał zaprzęgać. Podczas kiedy forys wraz ze służącym Withofa, uzbrojonym także od stóp do głów, a który wysłany wprzód oczekiwał tu już na swojego pana, zajmowali się zaprzęganiem karocy, Withof pełen wzrastającego niepokoju chodził po stajni. Wszystko wrzało w nim w miarę zbliżania się stanowczego momentu, nie mógł sobie miejsca znaleźć. Choć wieczór był zimny, a do stajni przez rozwarte wrota wpadał z piskiem i świstem wichur, wpędzając z sobą deszcz, przecież Withofowi od czasu do czasu robiło się tak gorąco, że rozpinał dechę i obcierał z czoła kroplisty pot.

Zaprzęgnięto wreszcie karocę. Konie wypoczęte do brze, nakarmione, czarne jak kruki, niespokojnie grzebały ziemię. Withof nie kazał zapalać pochodni, żeby nikt nie zwrócił uwagi na przemykającą się zaułkami staromiejскими karocę. Siadł na koniec do niej i kazał się wieść na Nowe Miasto. Tutaj, na szerokim placu przed klasztorem panien Sakramentek, placu, po którym wichur i deszcz świstał przez rażliwie, ciemnym jak puszcza, bo kilka latarek zakopconych, wiszących w bramie kamienic, nie mogło go rozjaśnić, żywej duszy nie spotkali. Karoca przemknęła się cicho po błotnistym placu i wsunęła się w ciasną, krótką uliczkę, wiodącą do klasztoru OO: Benonów, obok muru należącego do Sakramentek. Było tu cicho zupełnie i ciemno. W klasztorze Benonów w oknach błyszczało kilka światełek.

Withof wysiadł z karocy, opatrzył pistolety, otulił się w dechę, czapkę nasunął na oczy i niespokojnie przechadzać się poczał. Ponieważ miał jeszcze nieco czasu przed sobą, więc obszedł klasztor panien Sakramentek do koła. Wszędzie było cicho i pusto. Pies tylko gdzieś z za murów naszczekiwał ciągle.

Zegar, umieszczony na blizkim kościele Panny Maryi, wydzwaniał ponuro kwadranse za kwadranami. Nareszcie wydzwonił jęcząc, sapiąc i stękając ósmą godzinę. Z bijącym sercem Withof przysunął się do furtki w murze klasztornym, furtki, którą miała wyjść Teklusia.

XXIII.

Przez chwilę panowało głębokie milczenie i nieczem nienaruszona cisza. W powietrzu drżał śpiewny, posępny dźwięk zegaru, który z wieży Panny Maryi wydzwonił ósmą, wiecher był wpadając w ciasną uliczkę, a gdzieś na dachu klasztornym szkaradnie skrzypiała chorągiewka. Żaden inny szelest nie dobiegał do uszu Withofa, choć przytulił się prawie do samej furtki. Te kilka chwil, które tak przepędził wydały mu się wiekami całemi. Krew w nim stygła prawie i drżał cały z niepokoju, jak w febrze.

Nagle zdawało mu się, że słyszy cichy, wolny i ostrożny zgrzyt, jakby klucza w zamku lub zawiasie. Nie, nie zdaje mu się. To widocznie ktoś drzwi otworzył na małe podwórko. Słysząc kroki ku furcie, klucz zagrzytał w zamku, furtka się otworzyła z przeciągłym skrzypnięciem, które krew w żyłach Withofa zmroziło, i na jasnym tle wewnętrznego muru zarysowała się jakaś ciemna postać niewieścia.

— Czy to ty Tekluniu? — szepnął Withof.

— Tak, ja.

O! krew mu uderzyła do głowy. Zrobiło mu się tak gorąco, jakby go kto ukropem zlał. Nie pytał o nic więcej, uchwycił dziewczynę wpół i jak piórko poniosł ku karocy.

Tu postawił ją na ziemi i chwyciwszy za zimne jak lód rączkę, całował je namiętnie. Ona szlochała głośno i szeptała:

— Panie Adamie, co pan robisz? Uciekajmy ztąd jak najprędzej, albo ja się wrócę, ja nie mam odwagi.

— Uciekać! — zawołał Withof — nigdy. Już mi cię teraz Tekluniu, skarbie mój, złotko moje, nikt nie odbierze. Po trupie moim mogą cię tylko dosięgnąć. Chodź! pójdźmy oto do tego klasztoru, tam nam zaraz ślub dadzą.

I pociągnął ją za sobą. Przechodząc rzekł do służącego:

— Zamknij tę furtkę na klucz, klucz schowaj i chodź za mną.

Ciągnął silnie płaczącą dziewczynę. Szła, otulona w długą jakąś czarną oponczę i szeptała:

— Com ja uczyniła! com ja uczyniła!

Wiecher porywał poły jej oponczy, deszcz lodowaty smagał ją po twarzyczce; noc ciemna, głucha, straszna przebrała ją do głębi. W ciemnościach tych, na tle mętnych, ołowianych chmur pokrywających niebo, mury klasztorne, rysowały się posępnie, groźne i milczące. Ciągłe otaczała ich nieczem niezmacona cisza, tylko wiecher jęczał, chorągiewka gdzieś na dachu skrzypiała, a konie niespokojnie kopytami grzebały ziemię.

Przyszli do furty klasztornej i Withof silnie pociągnął za dzwonek. Nie rychło ozwały się kroki i ukazał się w nich otulony w habit mnich.

— Ojciec Gwilhelmus nie śpi jeszcze? — pytał Withof.

— Nie, czeka w kościele na jakiś tam ślub.

— To na nas! proszę nas prowadzić.

Mnich zamknął furtę i powiodł do kościoła przez boczne drzwi; szli przez podwórze zarosłe bezlistnymi teraz drzewami, których suche gałęzie uderzały o siebie z głuchym trzaskiem. Po kamiennych płytach kroki ciężkie Withofa rozlegały się daleko. Wiatr tu nie mógł się już

dostać między mury i ciszej było. Opończa dziewczyny z ciężkiej materji szeleściła głośno.

Weszli do kościoła. Wielkie ciemności tłukły się tu po wszystkich kątach. Dwie świece, błyszczące gdzieś w głębi przy ołtarzu zdawały się jeszcze bardziej skupiać tę posępną, ponurą noc, jaka panowała w świątyni. Wysokie sklepienie ginęło gdzieś niedostrzeżone, a z pośrodku czarnej nocy niekiedy, przez refleksa światła, błyszczała jaskrawo jakaś pocięta postać świętego, jakiś filar lub ołtarz. Zimno tu było i wilgotno, a kamienna posadzka dźwięczała za każdym krokiem, jak gdyby szli po grobach. Martwa, senna, trumienna cisza tu panowała. Czasem tylko dobiegał i tutaj odgłos wyjącego na dworze wichru.

Withof tulił do siebie drżącą i zapłakaną dziewczynę i szeptał jej do uszka.

— Nie płacz Tekluniu, wszystko będzie dobrze. Za chwilę weźmiemy ślub i już potem żadne prawa ludzkie odebrać cię mnie nie będą mogły. Czego tu płakać? Dotąd wszystko nam się powodzi jak najlepiej. Na nic nie czekamy. Nim się zakonnicę spostrzegą, że ciebie nie ma, my już będziemy daleko.

— Nie spostrzegą się tak prędko — odrzekła — jutro rano dopiero.

— Tym lepiej, mamy przed sobą całą noc.

Szli ku owym dwóm świecom, błyszczącym w dali, pograżając się coraz bardziej w ponure ciemności, zalegające kościół. Odgłos ich kroków rozlegał się daleko i odbijał echem o sklepienie. Przed jednym z bocznych ołtarzy, przed którym gorzały właśnie owe smutne dwie świeczki, stał już ojciec Gwilhelmus, a przy nim zakrystyan, dzwonnik i dziad jakiś kościelny.

— Spieszcie się — rzekł po niemiecku do Withofa — czasu niema do stracenia. Czekam już z dziesięć minut i zziąbłem szkaradnie. W kościele jest wilgoć.

Przyklekli przed ołtarzem i ślub się odbył szybko, cicho. Ślub, któremu nie towarzyszyły tłumy strojnych panny i pań, odgłos organów, wiwaty przyjaciół, ale jeno posępne ciemności kościoła, jeno cisza grobowa i wycie jeściennego wichru. Biedna dusza Tekluni, znękana tylu wypadkami, wybuchła spazmatycznym płaczem, gdy ksiądz kładąc jej obrączkę na paluszek, mówił:

— *Accipe hoc annulum...*

Nareszcie skończyło się wszystko. Ksiądz poprosił nowożeńców do zakrystyi, ciepło ogrzanej, dobrze oświetlonej, gdzie napisał im dokument i opatrzył pieczęcią i podpisem swoim, jako dnia tego i tego, on, ksiądz Gwilhelmus dał ślub Adamowi Withofowi, synowi rajcy i patrycyusza warszawskiego z panną Teklą Janikowską, szlachetnie urodzoną, córką pana chorążego sandomierskiego. Oddając ten dokument Withofowi, rzekł ksiądz:

— A teraz Adasiu siadajcie i jedźcie. Im prędzej ztąd oddalicie się, tym lepiej.

Nie trzeba było tego Withofowi powtarzać dwa razy: Płaczącą wciąż swą młodziutką żonę prawie uniósł na rękach do karocy, wsadził tam i zawołał do forysia:

— W drogę! za rogatki Jerozolimskie, pędź jak można najprędzej!

To rzekłszy skoczył do karocy, zatrzaskał drzwiczki i karoca jak wieher ruszyła naprzód. Wszystko to porwanie, ślub, nie trwało dłużej nad pół godziny. Na ulicy wciąż było pusto i cicho. Jeno wieher się tu przechadzał i deszcz smagał szkaradnie. Konie rwały naprzód, błoto

bryzgało a lekki turkot po niebrukowanych ulicach nieczyjej zapewne nie zwrócił uwagi.

W części miasta, zamieszkałej przez bogatszą pańską ludność, karoca Withofa spotykała inne pojazdy, a nawet na Nowym Świecie natknęła się na orszak hetmana Braniciego. Ale Withof tego nie widział. On teraz zajęty był swą śliczną, młodziutką żoną, którą tulił i pieścił i błagał, by przestała płakać. Pierwszy to raz ucałował jej różowe usteczka, pił na jej białych policzkach perliste ły. Biedaczka drżała w swej ciężkiej opończy, jak w febrze i pełna przestachu tuliła się do Withofa, jedynego teraz swego obrońcy i pana. A ten pan czuł się tak szczęśliwym, tak dumnym, tak ufnym siebie. Więc ją ma, ma na koniec przy sobie, na zawsze tę śliczną, jasnowłosą dziewczynę, która się stała dla niego wszystkim, początkiem i końcem jego życia. Zapomniał o swych ambitnych zamiarach, o wyswobodzeniu, jak zwykł był mówić, z niewoli mieszczanstwa, o rewolucyi francuskiej, o stanie trzecim, o prawach człowieka, a pamiętał tylko o prawach krwi, o błękitnych oczach swej ukochanej. O! jakże ją uspakajał tę płaczącą w chwili gdy karoca gnała jak szalona. Mówił jej tysiące słodkich drobnostek, czułych słówek, całował po ustach, tulił do swych piersi. Przekonywał ją, że nie ma się czego obawiać, że jest zupełnie bezpieczną, że wszystko zostało przygotowane do ich, choćby nie wiem jak dalekiej ucieczki, że na koniec mają całą noc przed sobą, a przez noc, zmieniając co parę mil konie, przelecą znaczną przestrzeń kraju i nie ma nikogo na świecie, co by ich w takich warunkach mógł dogonić.

— A przytem — mówił — któż nas będzie ścigał? Pan chorąży? Człowiek już nie młody, nim mu dadzą znać

z klasztoru, nim się zbierze, to upłynie kawał czasu. Jeden tylko Kwiatkowski mógł by się prędzej porwać...

— O! jego niema w Warszawie!

— Nie ma go w Warszawie? a gdzie jest?

— W Janikowie. Jak tylko ojciec dowiedział się o naszych schadzkach w kościele — szeptała Teklunia — oraz, że nam w tem dopomagała Scholastyka, to mnie zamknął w klasztorze, a Scholastykę przez Kwiatkowskiego odesłał do Janikowa i tam siedzą...

— Tym lepiej! — zawołał Withof — Kwiatkowski jest jeszcze rześki i gorączka. Dopadłby konia i ścigał by nas zawzięcie. Choć nawet gdyby tak było, to ja się śmieję z tego. Nas tu jest trzech, a on jeden. Jesteśmy uzbrojeni od stóp do głów i wprzód musieliby mnie zabić, nimby się do ciebie dostali. Zresztą, powtarzam, to wszystko jest niemożliwe. Ucieczka uplanowana jest dobrze, nikt o niej w Warszawie teraz nie wie, a jak się dowiedzą, to my już będziemy daleko. Szukaj wiatru w polu. A przytem, gdzież nas będą szukali? z kąd się mogą dowiedzieć, w którą stronę myśmy uciekli? Nikt oprócz mnie i Pieprznickiego o tem nie wie, a ten mię przecie nie zdradzi.

— I dokądże my pojedziemy? — pytała Teklunia.

Więc jej opowiadał, przerywając co chwila swe słowa pocałunkami, że pojedą najprzód do Lublina, gdzie sobie odpoczną trochę u Pieprznickiego.

— Kamieniec ma, powiadam ci Teci jak fortecę. Nikt nas tam nie obaczy. Odpocznemy sobie, najemy się sławnych hiszpańskich rodzynków, jakie Dominik ma w sklepie, jeżeli mu ich nie zjadł jego pomocnik Dydak. Potem, z Lublina ruszymy na Polesie Wołyńskie.

-- Daleko to?

Stan trzeci.

— Bardzo daleko! Na kresach prawie. Tam tylko puszcza i bagna. Zaszyjemy się tam w te bagna i nikt nas nie znajdzie. Mam tam swych krewnych. Przyjmą mię z otwartemi rękami. kupię jaką wioskę i będziemy siedzieli, kochając się i czekając na przebaczenie ojcowskie.

Całował ją ciągle. Kiedy niekiedy przez szklane okna karocy wpadał blask od latarni, koło której przejeżdżał, lub od okien którego z domów, i blask ten oświecał różową, zarumienioną jak wiśnia twarzyczkę dziewczyny. Gorąco jej było w ciężkiej, futrzanej delii. Rozpięła ją trochę, tuliła się do swego męża, czuła się na jego piersi bezpieczną i zachwycała się jego rozumem, mądrością, odwagą...

— Co to za rycerz! — myślała sobie — gdy mówił że tylko po jego trupie dostać się do niej mogą, co za rycerz! jaka waleczność, jakie bohaterstwo!

I na wspomnienie, że on jest jej mężem i jej kochankiem, ogarniała ją jakaś niewysławiona szczęśliwość.

Wyjechali z miasta. Deszcz wzmagał się i wicher szalał bez żadnej przeszkody po nagich polach. Ciemno było takie, że forys zwolnić musiał jazdę, bojąc się wywrócić gdzie karocy, lub połamać osi. W latarniach zapalono światło, żeby choć trochę oświecić drogę i ruszono naprzód, uwożąc dwoje szczęśliwych w tej chwili ludzi, ale niepewnych co im jutro, straszne jutro przyniesie.

XXIV.

Nie ujechano jednak tyle drogi, jak się spodziewano. Deszcz całą noc padał i haniebnie gościniec popsuł. Chociaż więc, że co trzy mile zmieniano konie, nie można było zbyt mocno pośpieszać. Pobłędzono przytem parę razy z powodu nieprzejranych ciemności, musiano nakładać drogi, tak że pomimo wszelkich wysiłen rano nasza para znalazła się na rynku w Zwoleniu.

Jarmark był właśnie w tem miasteczku i tłumy wieśniaków i szlachty okolicznej ściągnęło do Zwolenia ze wszystkich stron. Bogata, obryzgana błotem, nowiuteńka i wykwintna karoca, rzecz rzadko tu w tych zapadłych kątach widziana, powszechną na siebie zwracała uwagę.

O tem Withof siedzący wewnątrz nie wiedział, a że zziął całą noc podróżą i Teklunia także, postanowił więc na chwilę zatrzymać się i napić co ciepłego. Zatrzymać się musiano zresztą koniecznie, gdyż tu przypadała stacya przepręgu koni. Teklunia była niespokojna mocno.

— Nie zatrzymujmy się — mówiła — to tak niedaleko Janikowa. Znają mię tu wszyscy, poznać mnie kto może...

— Nie wysiadziemy wcale — tłumaczył Withof — a nim przepręgą konie, wypijemy coś ciepłego. Boję się, żebyś mi się nie rozchorowała.

Dzień był brzydki, pochmurny, a choć deszcz ustał, powietrze było przesiąknięte wilgocią, przenikającą wszędzie. Teklunia drżała pod swą futrzaną oponczą. Toteż Withof widząc to mówił sobie:

— Choćbym miał na wszystko narazić się, zatrzymać się musimy i wina grzanego się napić. Milsze mi jej życie jak wszystko.

Wydał więc słującemu rozkazy, by zajechano przed austeryą i żeby postarał się o wino grzane lub mleko. Kiedy karoca dostała się na rynek miasteczka, ten był prawie cały zapchany furami, wózkami, bryczkami, kupeżącymi i sprzedającymi. Motłoch był wielki i wrzawa też nie miała, choć dzień dopiero przed godziną się może rozpoczął. Mnóstwo chłopów, szlachty, ekonomów, ofieyalistów dworskich, żydów uwijało się po rynku i wszyscy z ciekawością poglądali na wolno toczącą się karocę. Szczęściem nie wiele mogli dojrzeć, gdyż szyby były zapotniałe mocno i Teklunia wsunęła się w kącik.

Withof, wychyliwszy się z karocy spostrzegł przed austeryą, przed którą właśnie zajeżdżano, na wielkie swoje zdziwienie, Pieprznickiego. Stał w swym kołpaku futrzanym na głowie, w delji, przy szabli jak do podróży i rozmawiał z jakimś szlachcicem tyłem do nadjeżdżającej karocy zwróconym. Zobaczywszy Withofa dawał mu jakieś znaki oczami, których ten w żaden sposób zrozumieć nie mógł. Za późno wreszcie już było. Na turkot karocy ów szlachcic odwrócił się i Withof z przerażeniem poznał w nim Kwiatkowskiego.

Ten, obaczywszy Withofa przez chwilę stał w niemem osłupieniu. Był bez broni, tylko czekanie miał w ręku. Ubrany w szaraczkowy kubrak, podbity baranami, zdjął czapkę z głowy, pokłonił się nią z uśmiechem i nim Withof mógł zdecydować się na krok jakiś, stanął przy oknie karocy mówiąc:

— A to niespodziewane spotkanie. Cóż waszmość tu robisz?

Mówiąc to zajrzał do wnętrza karocy i zobaczył wystraszoną chorążankę, która siedziała wyprostowana, z oczami szeroko rozwartymi, skamieniała, zapatrzona w marszałka dworu swego ojca, niema, skamieniała.

— Co widzę — zawołał Kwiatkowski — panna chorążanka? A to bigoś.

Pierwszy odzyskał przytomność Pieprznicki. Przykroczył do Kwiatkowskiego i rzekł:

— Mości panie, coś widział, to widział. Miejsze rozum i udaj, żeś nie nie widział.

— A jakże to ja mam udać? — spytał Kwiatkowski widocznie silnie zafrasowany.

— Zmiłuj się człeku — prawil Pieprznicki — zgubisz siebie i nas. Withof będzie ci umiał nagrodzić za mileżenie.

A obracając się do niemego z przerażenia Withofa, dodał:

— Po kiego djabła było się tu zatrzymywać! Co teraz czynić? Maszże przy sobie z tysiąc dukatów?

Withof już oprzytomniał. Tuląc do siebie wybuchającą spazmatycznym płaczem Teklunię, rzekł głosem, w którym czuć było silne wzruszenie.

— Panie Kwiatkowski, za mileżenie i swobodne nas wypuszczenie ztąd, dam waści zaraz tysiąc dukatów samymi olendrami.

— Tysiąc dukatów! — mruknął Kwiatkowski, wpatrując się w płaczącą chorążankę. — Ładny grosz, niema co mówić, ale to być nie może...

— Mości panie — mówił dalej Withof — co się stało to się nie odstanie. Teklunia jest moją żoną. Wzięliśmy ślub, mogę waści dokument na to pokazać.

— Ślub wzięliście? — pytał Kwiatkowski zamysłony głęboko i jakby czegoś nieprzytomny.

— Tak jest, ślub. Mam tu na to dokument. Nie gubże siebie i nas.

— Iii! jakże to być może, żeby ksiądz dawał ślub łykowi ze szlachcianką? Bajki mi tu waść gadasz.

— Bodajże cię zabito! — syczał widocznie w gniwie Pieprznicki — jaki ty głupi! Co tobie do tego, czy wzięli, czy nie wzięli ślubu. Dają ci tysiąc dukatów, bierz i uciekaj. Tysiąc dukatów na drodze nie znajdziesz, miejże rozum do stu djabłów.

Kwiatkowski obejrzał się dokoła, a właśnie w tej chwili pojawił się przy nim hajduk Franek, który także zajrzał trochę do karety. Więc Kwiatkowski podrapał się po głowie i nie nie odrzekł, tylko zdawał się namyślać. Pieprznicki tymczasem nie mogąc już pohamować passyi, krzyknął do hajduka:

— Czego tu chcesz chamie?

Hajduk spojrzał na Pieprznickiego, mruknął coś pod nosem i odszedł nieco, ale tak że nie tracił z oczów karocy. Tymczasem zwabiona rzadko widzianą w tych stronach karocą i długą przy niej rozmową, zbiegła się dokoła gromada ludzi, między którymi uwijali się hajducy w barwie chorążego. Withof któremu groźne niebezpieczeństwo przyniosło całą przytomność, sięgnął po pistolet i spytał Kwiatkowskiego:

— Bierzesz waść czy nie?

— A jak nie wezmę?

— To niech cię wszyscy diabli wezmą!

To rzekłszy wymierzył pistolet i dał ognia. Kwiatkowski zachwiał się i zatoczył w tył i padł jak długi na ziemię.

— W konie! — wrzasnął Withof do woźnicy.

Ale ucieczka wśród nabitego ludźmi, wozami i towarami wszelkiego rodzaju, rynku, była wprost niemożliwą. Huk strzału wywołał ogólne zaciekawienie. Tłoczono się i pomimo, że forys Withofa smagał konie, trącał ludzi, rozbijał garnki ustawione na rynku, nie posunęli się nawet dziesięciu kroków. Hajduk Franek wrzeszczał w niebogłoso:

— Łapaj! trzymaj! zbójce, złodzieje, rabusiel!

Wielu chłopów istotnie rzuciło się do cugli koni i zatrzymało karocę.

— Puszczej — wołał służący Withofa — bo strzele!

Jakoż dał raz ognia, Withof sam wypalił z drugiego pistoletu, zabił nawet jakiegoś wyrostka, ale wszystko to na nie się przydać nie mogło. Strzały i zabójstwo, całkowicie w istocie rzeczy teraz bezużyteczne, oburzyło zgromadzonych na rynku chłopów. Na karocę rzucili się jak wściekli, rozbili ją na sztuki, wywlekli Withofa i byliby Bóg wie co z nim zrobili, gdyby nie nadbiegł Pieprznicki i hajducy chorążego. Ci obronili go od wściekłości ludu, otoczyli dokoła, dobyli szabel i groźną postawą powstrzymali zapęd chłopstwa.

— Już nasz pan potrafi jemu sadła za skórę zalać! — gadali do chłopów — co wam do niego!

Wśród tego rozwścieczonego tłumu, w tem zbiegowisku, przy szczytkach połamanej karocy, stała chorążanka, blada jak śmierć. W swej wielkiej opończy futrzanej, sięgającej jej aż do stóp, w kołpaczku na jasnej jak złoto główce, blada, z oczami czerwonymi od płaczu, śliczna zawsze, nieruchoma, wyglądała jak skamieniały posąg boleści. W milczeniu, z zaciśniętymi ustami przypatrywała się stra-

szej scenie, rozgrywającej się przed nią, tylko dwie wielkie łzy, niby dwie perły stoczyły jej się po twarzy. Gdy hajducy otoczyli Withofa dokoła, zbliżyła się do Franka i rzekła wyniośle:

— Franciszku, rozkazuję ci natychmiast puścić tego pana.

Franek wytrzeszczył oczy na mówiącą, zdjął kołpak z głowy z uszanowaniem i rzekł:

— Jaśnie panno chorążanko, tego jako żyw uczynić nie mogę. Jaśnie pan chorąży zabił by mię pod batogami. Nie uczynię tego za nic na świecie.

— Nie puszczaj tego zbója! — krzyczeli chłopci — nie puszczaj. Porozbijał ludzi, powiesić go!

Tymczasem Withof spostrzegłszy Pieprznickiego, stojącego w pobliżu z taką miną, jakby mu już nie nie pozostało jeno pójść i utopić się, skinął na niego.

— Dominiku — szepnął — ratuj mię!

— Zmiłuj się — odrzekł płaczliwie Pieprznicki — jakże ja cię uratuję! Powiedz jak, a wszystko uczynię.

— Pchnij najprzód z pismem umyślnego do Dekerta. Opisz mu wszystko, niech się wstawi za mną do króla Jegomości, niech czyni wszystko co może, bo tu o głowę mi idzie...

— O! już o głowę...

— Nie inaczej, znam ja chorążego. Pannę z klasztoru wykraść, to sprawa poważna. Napisz więc do Dekerta, a tymczasem zbierz, co możesz ludzi i odbij mię nocą, dziś jeszcze... Mnie i Teklusię.

— A z kądże wziąć ludzi?

— Szukaj, płac. W Polsce o to nie trudno.

— Ale ja tu nikogo nie znam. Chybabym do Lublina pojechał.

— To jedź do Lublina; czyń, co możesz, jeno ratuj mię...

Nie można było więcej mówić, bo hajducy wsadzili Withofa i pannę chorążankę na wózek i otoczywszy go dokoła, z dobytymi szablami wyruszyli z miasteczka. Zabrano po drodze trupa Kwiatkowskiego, który dostał kulę w same piersi i już nieżył. Cała ta kałwakata, otoczona ciągle tłumem chłopstwa i rozmaitej gawiedzi, krzyczącej i odgrzającej się głośno, ruszyła drogą do Janikowa. W myśli Withofa ciągle rysowała się teraz postać owego mieszczańskiego krakowskiego, ściętego na rynku w Zwoleniu. Miał jak najsmutniejsze przeczucia i prawie stracił całą nadzieję szczęśliwego wyjścia z tego położenia. Jakże żałował, że ruszył drogą na Zwolen, jakże mu było żal tej biednej dziewczki, tej jego dziewicy, żony, która milcząca, poważna, blada, siedziała przy nim na wozie, otoczona zbrojnymi jak zbrodniarka jaka.

W Janikowie, powitany przez załamującą rękę pannę Scholastykę, został Withof z rozporządzenia hajduka Franka, który teraz rozkazywał tutaj, zamknięty w starym, mrowianym lamusie. Do chorążego, do Warszawy pchnięto zaraz umyślnego z doniesieniem o wszystkim co się stało.

XXV.

— Withof, zamknięty w lamusie, dręczył się najczarniejszymi myślami. Lamus ten miał kształt czworograniastej wieży i wysoko było jedno okienko, do którego dawniej dostawano się po drabinie, bo drzwi wcale nie było. Ale teraz, że już takie fortece po dworach szlacheckich potrzebne nie były, zrobiono na dole drzwi i po schodach wchodziło się do izby na pierwsze piętro, w której właśnie osadzono Withofa! Izba ta była duża, sześciokątna, oddzielona ścianą od sieni, do której schody prowadziły. Żelazne, starożytne drzwi strzegły wejścia, a jedyne, wąskie, silnie okratowane okienko nie wiele wpuszczało światła. Przy pochmurnym dniu panował też tu mrok posępny, a po kątach, po zagięciach murów leniwie przewłóczyły się wielkie czarne cienie. Ściany były brudne, odrapane, w wielu miejscach poodpadał tynk i ciemna cegła szczyrzyła zęby. Na żebrowatym sklepieniu mnóstwo pajęczyny się rozłożyło, a od nich czarne nici aż do posadzki prawie zwieszały się, drżąc i chwiejąc się za najmniejszym ruchem w tej izbie. Zimno tu zresztą było i czuć się dawała stęchlizna i pustka. W kącie, na wielkim piecu kaflanym zaraz jak tylko Withofa tu wprowadzono, rozpalono ognisko, którego blask ożywił nieco ponurą pustkę izby. Przyniesiono też stół, parę zydli i łóżko z pościelą, gdyż w izbie nie było oprócz jakiegoś połamanego, na pół rdzą zjedzonego hełmu, który walał się w kącie, zasnuty pajęczyną i pyłem. Panna Scholastyka przysłała też Withofowi mięsiwa i wina. Hajduk Franek postawił straż, złożoną z kilku ludzi dokoła lamusa.

Oprócz posłańca, któremu kazał lecieć do Warszawy do chorążego na złamanie karku, rozstawił wszędzie konie, aż pod Warszawę samą, żeby chorąży mógł przyspać do Janikowa prędko. Do Radomia, do grodu, dał znać o mężobójstwie, jakiego mieszczanin warszawski dopuścił się na szlachcieu. Tak się rozporządziwszy mądry chłop, a teraz pan tu samowładny, czekał na przyjazd chorążego.

Withof zamknięty tak niespodziewanie, zepchnięty ze szczytu szczęścia w przepaść niedoli, chodził po swym ciasnym więzieniu jak lew w klatce. Wściekłość go niekiedy ogarniała, że tak głupio, tak dobrowolnie dał się złapać. Z początku jednak pocieszał się tem, że Teklunia nie zaśpi gruszek w popiele, że Pieprznicki przecie zdoła zebrać choćby kilkunastu ludzi, którzy go mocą odbiją. Wiedział, że w Janikowie hajduków jest zaledwie sześciu, trochę parobków i innej służby, że zatem nagły, energiczny najazd udać się może. Jakkolwiek był zgłodzony i zmęczony jeść jednak i spać nie mógł. Na hajduka Franka był tak zły, że się trząsał na samą myśl o nim.

— Żeby ten dureń przekupić się nie dał, to trzeba istotnie nieszczęścia—gadał sobie.—Wszystko bym mu co mam, oddał, wziąłbym go ze sobą, byle mię puścił z Teklunią.

Chodził po izbie tam i napowrót. Zmęczony, czując potrzebę czemś zająć się, począł oglądać ściany swego więzienia. Na jednej z nich znalazł napis nożem widocznie wyryty, na pół zatarty:

„Bernardus Ser... cives cracoviensis

A. D. 1609.

Tyle tylko mógł wyczytać, ale i te kilka słów obudziły w nim całą grozę i cały szereg myśli.

— Tak, to nikt inny, tylko ten biedny mieszczanin krakowski, którego jakiś Janikowski ściąć kazał w Zwoleniu. Co za dziwny zbieg okoliczności! — mówił sobie. — Więc i on tu siedział w tem więzieniu i ztąd go wyprowadzono zapewne na śmierć. Czyżby i mnie to samo spotkać miało?

Włosy mu powstały na głowie na tę myśl. I pograżając się coraz bardziej w te smutne, ponure, beznadziejne myśli, tracił wszelką odwagę, wpadał w straszne zwątpienie, łamał ręce, płakał nawet nad własną i tej złotowłosej dziewczyny dolą. Gdzie są jego zamiary, ambitne myśli, reformowanie świata? gdzież to wszystko się podziało? Jakże to smutnie się skończyło? Przyjdzie mu głowę jak zbój jaki ostatni oddać pod miecz katowski.

— O! — mówił sobie — przeklęty i nieszczęśliwy taki kraj, gdzie jedna garść ludzi rządzi całym narodem, uciśka go i dręczy!

Nic go już teraz pocieszyć nie mogło. Teklunia mu nie dopomoże, bo czyż zdoła ona tu, w tym domu? Pieprznicki nim zbierze ludzi i wróci, to on, Withof już będzie na tamtym świecie. Dekert, cóż tu Dekert poradzi? Pójdzie do króla, ale czyż król co może w tej republice szlacheckiej. Tu każdy szlachcic większym jest panem na swych śmieciach, niż król w Warszawie. Szlachta zresztą teraz rozdrażniona jest na mieszczaństwo, będzie chciała dać straszny przykład i da go na osobie Withofa.

— Niczego mi już nie żal — mówił sobie w końcu z rezygnacją — tylko tej biednej, nieszczęśliwej mojej żony. O! czyżem ja przypuszczał kiedy, że me miodowe dni małżeństwa takimi będą!

Usiadł na łóżku, zakrył twarz rękami i gorzko płakał.

Kiedy tak Withof siedzi w swem więzieniu miotany żalem, gniewem i rozpaczą, Teklunia wysłuchawszy długich skarg, jęków i narzekań panny Scholastyki, rozpoczęła działanie, chcąc ocalić swego męża. Wiedziała ona dobrze, co go czeka. Choraży nieraz o tem mówił, a wywożąc córkę do klasztoru wołał, że tego Withofa pod batami zabić każe. W obec tego biedna dziewczyna, czerpiąc energię w rozbołałej duszy i w uczuciu głębokiej miłości, jaką miała dla Adama, ratować go koniecznie postanowiła. Była teraz spokojną, zimną zdecydowaną na wszystko. Martwiło ją tylko jedno, że nie miała nie pieniędzy i nie było ich z kąda dostać w Janikowie. Mimo to jednak postanowiła użyć wszystkich możliwych środków. Zaczęła od wezwania do siebie hajduka Franka.

Przyszedł z mroczną fizjonomią i stanął we drzwiach z uszanowaniem. Ale było to tylko pozorne. Napróżno Teklunia używała proźby i obietnic, ustąpić nie chciał. Mówiła mu, że przecież ona jest dziedziczką Janikowa, że jak ojciec umrze na nią spadnie cały majątek, że będzie umiała hajdukowi wynagrodzić jego dobroć, jak również potrafi się zemścić straszliwie; nie to wszystko nie pomagało. Wtedy rozgniewana zawołała:

— Kiedy tak, to ja jako jedyna w tej chwili pani w Janikowie rozkazuję tobie uwolnić pana Withofa.

— Jaśnie panno — mówił chłop pokornie ale stanowczo — mnie i panu Kwiatkowskiemu nieboszczykowi, jaśnie wielmożny pan rzekł, gdyśmy z Warszawy wyjeżdżali: wy macie rządzić i pilnować w Janikowie i na was przelewam moc moją i władzę moją. Nikt więc tu rozkazów wydawać nie może, jeno ja jeden.

— Obaczymy... zwołam gromadę i nakazę cię związać!

— Niech jasnie panna tego nie czyni, bo to na nie się nie przyda, jeno despekt będzie. Gromada wie dobrze, kogo ma słuchać.

To rzekłszy z zuchwalstwem, właściwem chamskiej naturze, skłonił się i wyszedł, zostawiając Teklunię pograżoną w rozpacz.

Jakoż było czego rozpaczać. W Warszawie bowiem z tego powodu zerwała się wielka burza. Dekert otrzymał wprzód, przed chorążym, pismo od Pieprznickiego, donoszące o wszystkim i błagające pomocy dla nieszczęśliwego Withofa. O ucieczce panny z klasztoru Sakramentek wiedział on już, gdyż cała Warszawa o tem gadała, jako o wypadku niezwykłym, ale nieobchodziło go to wiele, gdyż nie wiedział, że do tej ucieczki przyłożył rękę Withof. Dziwiło go tylko, że Withofa od paru dni nie widzi, posyłał nawet do niego ze trzy razy, aż w końcu ktoś w domu zamieszkałym przez tego ostatniego, powiedział posłańcowi, że Withof wyjechał. Wyjazd ten był zagadką dla prezydenta, którą mu wyjaśnił list Pieprznickiego. Przeraził on go głęboko. Wiedział on, że chorąży należy do stronnictwa najbardziej przeciwnego mieszczanom i nie wątpił, że stronnictwo to wyyska nierozsądny krok Withofa na niekorzyść sprawy, która i tak źle stała. Zmartwił się tem tak, że położył się do łóżka. Z tem wszystkim nie chciał opuścić swego sekretarza, którego lubił, a którego sprawa stawiała się w tej chwili ściśle związaną ze sprawą stanu trzeciego. Poprosił więc zaraz do siebie na naradę księdza podkancle-rzego Kollątaja, Paschalisa, Mędrzeckiego i innych. Zeszli się do sypialni prezydenta i gdy im Dekert wszystko przedstawił, zafrasowali się mocno.

— Anim przypuszczał — gadał Paschalis — żeby Withof

tak daleko się posunął. Jam przecie mosanie chodził z Pieprznickim oświadczyć go do chorążego.

Musiał zebrany opowiedzieć wszystko, jak było, a gdy skończył, Mędrzecki rzekł.

— To jasne, nie chcieli mu panny dać dobrowolnie, wziął ją sobie sam. Ale głupio zrobił i w tych gorących czasach, w rozdrażnieniu szlachty przeciw nam, pachnie to gardłem.

— Nie inaczej — mówił ks. Kollątaj — znam ja dobrze pannę przełożoną Sakramentek. Choćby chorąży Janikowski wybaczył, ona nie przebaczy i dla dobrej sławy swego klasztoru i konwiktu szlacheckich dziewczek, jaki tam jest, ściagać będzie Withofa do końca. Napad na klasztor, porwanie z niego panny i to panny szlacheckiej, przez mieszczanina w tych zwłaszcza czasach, jest sprawą bardzo złą.

— Alą przecież ostawić tak Withofa nie można na łaskę i nie łaskę jego wrogów — wołał pocziwy Dekert. — Chorąży, który jest człowiek zawzięty i srogi, ma go w swym ręku. Trzeba Adasiowi dopomódz, inaczej być nie może.

— Jakże mu tu dopomódz? — pytał swym zinnym, surowym głosem ks. Kollątaj. — My mamy ważniejsze przed sobą sprawy, jak bronienie waryata, który wszystko ciska, by polecieć za dziewczyną. Nawarzył piwa, niechże go sobie pije. Ujmując się za nim, broniąc go do pewnego stopnia będziemy współuczestnikami jego przestępstwa, a na tem tylko sprawa straci. Owszem, według mego rozumienia, należy głośno i ostentacyjnie potępić krok warhoła, i zostawić go jego losowi. To jest polityka, a w naszej sprawie rządzić się trzeba polityką, a nie sentymentami.

Surowe to, ale rozumne zdanie,* przemogło w radzie i wszyscy z wyjątkiem Dekerta, zgodzili się na nie.

— Ja na to zgodzić się nie mogę—mówił.—Opuszczenie Withofa, to krok nieludzki. Nie gadam tego wcale, byśmy występowali w jego obronie jako koalicja mieszczkańska, ale prywatnie i pojedynczo starać się o łaskę dla niego możemy.

— Prywatnie, oczywiście że można—odrzekł ks. Kołłątaj. — Waszmość, panie prezydencie, masz wpływy i stosunki i uczynić to możesz, nikt ci tego nie broni. Należy wszelako zawsze o tem pamiętać, że działasz tylko we własnym imieniu.

Na tem ostatecznie stanęło. Dekert tego jeszcze dnia posyłał kogoś zaufanego do Sakramentek, by się wywiedzieć, jak stoją rzeczy, ale w klasztorze, oprócz ucieczki chorążanki nie więcej nie wiadano.

Nazajutrz Dekert zwlókł się z łóżka i poszedł do króla Jegomości. Król wysłuchał go przyjaźnie i radził mu podobne, jak ks. Kołłątaj, by się nie mieszał do tego.

— Wykradzenie panny z klasztoru — mówił król — jest zbrodnią i takiego według prawa, każdy może imać i zabić nawet. Nie mieszajcie się więc do kryminału, żeby izby nie rozdrażniać bardziej przeciw wam. Ostaw młokosa swemu losowi, mój Dekercie. Czemuż nie ucieknie wreszcie, czemuż się dał złapać? Kiedy się atoli dał złapać, ja mu nie dopomóż nie mogę, i radzę wam to samo.

Smutny Dekert wrócił do domu, rozmyślając nad sposobami wyratowania Withofa. Było już jednak zapóźno. Tego samego dnia chorąży otrzymał z Janikowa pismo hajduka, donoszące mu o wszystkim.

XXVI.

Chorąży, otrzymawszy pismo z Janikowa, był jakby piorunem rażony. Domyslał on się, przypuszczał, że nikt inny tylko Withof mógł pannę wykraść, ale nie miał dowodów na to, a przy tem pierwsza wieść o ucieczce Tekluni dotknęła go tak żywo, że przez parę dni czuł się obezsilniwym. Dopiero list hajduka Franka przywrócił mu całą energią. Natychmiast zawiadomił o tem przełożoną panien Sakramentek, a sam pobiegł na sejm i stanom przedstawił zbrodnię, jakiej się dopuścił jeden łyk warszawski i błagał o pomoc, o ratunek stanu szlacheckiego z pod ciężkiej opresyi mieszczańskiej. Skargę jego poparła skarga piśmienna przełożonej klasztoru, którą to skargę odczytał jeden z posłów.

W sejmie podniosła się wielka burza. Wszyscy posłowie nieprzyjaźni mieszczanom, domagali się dekretu sejmowego, rozkazującego chwycić Withofa i ukarać go na gardle. Napróżno spokojniejsi i umiarkowańsi wołali, że to jest sprawa prywatna i sejm ma ważniejsze przed sobą rzeczy, jak zajmowanie się wykradzionymi dziewczkami, nie to nie pomogło. Jeden za drugim powstawał mówca, skarżąc się na zuchwalstwo mieszczan, na nieposzanowanie miejsca poświęconego nabożeństwu, na opresyę, jaki doznaje stan szlachecki.

— Jeno patrzeć — wołał jeden — jak łycekwie sięgną po nasze głowy!

Trwała ta burza i wrzawa ze dwie godziny, aż marszałek widząc, że sobie rady nie da, że umysły coraz bar-

dziej się rozogniają, solwował sesyą na dzień następny. Wielu posłów przystępowało do chorążego i gadało:

— Waś nie czekaj, jeno jedź i łap tego obwiesia łyka...

— Już złapany.

— Ano... czego czekasz? utnij mu łeb jak psu i basta. Nie bój się, nie ci nie będzie, obronimy cię.

Jakoż rada ta zdawała się chorążemu najbardziej przypadać do smaku. Kiedy z sejmu wrócił do domu, hetman Branicki mu to samo gadał:

— Jabym go obwiesił na pierwszej lepszej gałęzi. Masz sposobność przytarcia uszów łykom przytrzymaj go, naucz ich rozumu, niech się nie buntują, niech znają co to jest szlachta. Cheesz dam ci ordynans do pułku w Radomiu dopomoga ci. Choć tam potworzyli jakieś komisye wojskowe, ale mnie posłuchają w wojsku. Jak ty łeb utniesz mieszcankowi, obaczysz jaki strach na nich padnie.

— Nie nowina to, jaśnie wielmożny panie w naszym rodzie ścinać łyby mieszczanom — prawil na to chorąży. — Przed dwustu laty jeden z moich przodków uciął łeb łykowi krakowskiemu za to, że zbłądził mu córkę. I ja to potrafię, choć to inne czasy i łyczkowie gadają o jakimś stanie trzecim. Dam ja im stan trzeci!

— A widzisz! a widzisz! Czyń jak ci mówię a obaczyż jak oni spokornieją. Dziewkę różgami osmagaj i do klasztoru odeślij, a łyka obwies albo mu łeb utnij. Niech krzyczą! pokrzyczą i dadzą pokój, a mieszcankowie morze znać będą.

Takie rady oczywiście najlepiej przypadały do surowego charakteru chorążego. Wieczorem tego samego jeszcze dnia w towarzystwie kilkunastu zbrojnych hajduków

puścił się do Janikowa na całą noc. Konie rozstawione po drodze przez Franka, przeniosły chorążego szybko, tak, że nazajutrz rano był już na miejscu.

W dwie godziny potem Teklunia zapłakana i blada, zamknięta w karoey pod konwojem kilku zbrojnych hajduków, odwieziona została do klasztoru panien Sakramentek w Warszawie.

Na trzeci dzień po przyjeździe chorążego do Janikowa, w poranek pochmurny i wietrzny wzniesiono na rynku Zwoleńskim rusztowanie. Umyślnie sprowadzony kat z Radomia ściał Withofa, ofiarę jedyną na szczęście w całej Polsce sprawy mieszczańskiej.

Pieprznicki zjawił się na czele kilkudziesięciu zbrojnych dopiero wieczorem tego samego dnia. Ale chorążego już nie było w Janikowie. Powrócił do Warszawy za raz w parę godzin po egzekucyi Withofa.

Teklunia umarła w rok potem w klasztorze.

KONIEC.

M8562

